

Odgłosy

NUMER 21 (1417) ROK XXVIII

25 MAJA 1985 ROKU

CENA 15 ZŁ

- Dziesięć pytań architekta
- „Chociaż goło, lecz wesoło”
- Kup pan marmurek!
- Tragik romantyczny
- Tehnienie szaleństwa
- Czy książka może leczyć?

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

Nie napisany wiersz

MATCE mój męski wiek dalekobieżny
za Tobą dzwiczę tak jak pościg.

Gonię Cię wzrostem swej młodości —
a Tyś uciekła w wiek dojrzały —
gdy ja dojrzałem — szron wymościł
Twoje włosy. Teraz są już białe.

Gdy mi na skroniach plomyk śnieżny
nieśmiało jeszcze pali włosy

Kiedyś za metą się spotkamy,
Kiedyś się wreszcie nagadamy,
o matko, matko,
to pewnie będzie mój najlepszy
z nie napisanych nigdy wierszy:
rozmowa z Tobą.

1955



Foto: Grzegorz Gałasiński

Pyszny tatar

ROMAN KUBIAK

— Zatrute było! — powiada
tęga baba i chwytą się pod
boki. — Kupa narodu pójdzie do
piachu, bo jad kielbasiany za-
bija na śmierć!

Licho jakieś czepiło się spo-
kojnego miasta i nijk odstąpić
nie chce. A to pijany bandzior
rozjeżdża autem ludzi co na
przystanku czekali, a to młode
oprychy — niech im lapy po-
usychają — zabruja kościelne
dobro. To znów dziewczyna z
miłości albo przez szkole, z ie-
denastego pietra na bruk...

Nie masz spokoju, nie masz
gdzie odetchnąć, bo dymy wałę-
sają z kominów, a rzeka „Smródka”
płyni gesty, ni to ciecz, ni za-
wiesina. Nawet do Kolumby
mało kto już jeździ na nie-
dziele, bo tam bogacze na każ-
dym skrawku polany ceglane
domy wystawiają. Miałem
strach iść o zmroku, bo w bra-
mach różny element czatuje. Te-
ki co za pięć złotych może
człowieka ukatrupić. A tu, jak-
by mało było zmartwień, je-

szcze to nieszczęsne zatrucie.
— Polakomily się kobiety, o!
co, a trucieli trza wpakować
do pierdla, niech posmakują
razowca z kawą!

6 maja 1985 roku Wojewódz-
ka Stacja Sanitarno-Epidemio-
logiczna w Łodzi zaleciła pla-
cować terenowej w Pabianic-
ach, natchmiastowe wszczę-
cie dochodzenia w związku z
podejrzeniem zborowego zatrucia
mieszkańców miasta. W
szpitalach łódzkich przebywało
bowiem kilku pabianiczian, u
których wystąpiły podobne ob-
awy: wysoka temperatura,
ból, brzocho, kurcze felt i o-
mdlenia, wskazujące na ostre
zakażne zatrucie pokarmowe.
Stan zdrowia dwudziestoletnie-
go mężczyzny określano jako
średnio ciężki.

Tymczasem do przychodni le-
karskiej i Stacji Pogotowia Ra-
tunkowego w Pabianicach ma-
sowo zgłaszają się osoby lżej
lub bardziej dotknięte niedys-

pozycją układu pokarmowego o
cechach nieżyty żołądka. Wszy-
stkie placówki służby zdrowia
na terenie miasta odbierają te-
lefonogram zobowiązujący je do
priorytetowego traktowania o-
cipientów uskarżających się na
dolegliwości żołądkowe oraz do
niezwłocznego informowania
jednostki nadrzędnej o dalszym
rozwoju sytuacji. Pogotowie ra-
tunkowe interweniuje w ośmiu
cięższych przypadkach, dwie
osoby trafiają do szpitala Ska-
ła zatrucia rozszerza się.

Terenowa Stacja Sanitarno-
Epidemiologiczna ustala cechy
wspólne poszkodowanych. Wszy-
scy oni są pracownikami lub
członkami rodzin pracowników
Pabianickich Zakładów Przerwy-
słu Bawełnianego „Pamotex”.
Wstępne rozpoznanie sugeruje,
że bezpośrednio przyczyną zatr-
ucia mogło być spożycie suro-
wego mięsa wolowego, które
pod postacią bełszytku tatar-
skiego rozprzeczowało fabryczne
bufety „Pamotexu”. Istnieje du-
że prawdopodobieństwo, iż za-
trucie wywołały bakterie świet-
nie rozmnażające się na pożyw-
ce z surowego mięsa. Służba
zdrowia udziela pomocy ponad
stu poszkodowanym. Jest ponie-
dzialek, 6 maja.

Nazajutrz absen-
cia chorobowa w
„Pamotexie” osiąga
punkt szczytowy
Chorują głównie pra-

6

STEFANIA DZIĘCIELSKA-MACHNIKOWSKA

Model awansu społecznego

(2)

MODEL PRACOWITEGO ŻYCIA

Preferowany sposób na życie poprzez pracę
nie jest niczym nowym, nieznanym w spo-
łeczeństwie, nie jest zatem odkryciem to co po-
wiem. Chodzi jednak o to, aby model życia pra-
cowitego adaptować do warunków w jakich się
znaleźliśmy, a więc warunków kryzysu gospo-
darczego w socjalizmie, bo w warunkach kry-
zysu gospodarczego w kapitalizmie był spraw-
dzony.

Do tego aby pracować dobrze i wydajnie po-
trzebne są warunki, a więc surowce, maszyny,
energia, organizacja pracy — ale chyba naj-
ważniejsza jest potrzeba zwalczania własnego
lenistwa, wyzwalać chęć do pracy lub po-
prostu zmuszenia się do niej. Człowiek niejed-
nokrotnie musi zmuszać się do pracy, zwalczając
swoje lenistwo, wygodnictwo, bo nie ma zapro-
gramowanej w kodzie genetycznym pracowito-
ści

ci mrówki lub zaprogramowanej „pracowito-
ci” robota. Człowiek pracowity — to ideał chrześ-
cijański i socjalistyczny. Dlatego w Polsce,
kraju o tak znaczącym oddziaływaniu Ko-
ścioła katolickiego, w kraju, w którym podjęto
trud realizacji ustroju socjalistycznego, pracu-
witość nie jest podstawową wartością w modelu
życia? Dlaczego nie miałyby być?

Właśnie życie pracowite, twórcze — jest cie-
kawą, daje radość z tworzenia i zdobywania.
Każdy czytelnik biografii sławnych ludzi łatwo
przekona się, że byli sławni dlatego, że byli
bardzo pracowici, dlatego ich biografie czyta się
z zainteresowaniem, każdy dzień ich życia był
wypełniony twórczością.

Pracowite życie łatwo da się pogodzić z awan-
sem poziomym przez realizację zasady, poprzez
być — mieć, posiadać. Pracowitość w
każdej pracy tworzy podstawę dla pra-
cy innych, zapewnia stworzenie warun-
ków do dobrej pracy maszyn, energii,
surowców, organizacji pracy.

3

Często powraca pytanie: ja-
ka jest nasza kultura? W ja-
kim kierunku rozwija się? Ja-
kie występują zagrożenia i za-
hamowania w jej rozwoju? Czy
możemy być zadowoleni z tego
co już osiągnęliśmy? Co chcielibyśmy i co powinniśmy osiągnąć? Pytania te przedstawił
uczestnikom redakcyjnej dyskusji, reprezentatorem
środowisk twórczych w Łodzi.
Udział w dyskusji wzięli:

— FELIKS FLIS — docent,
dziekan wydziału w Państwo-
wej Wyższej Szkole Muzycz-
nej.

— WIESŁAW GARBOLIŃSKI — profesor w Państwo-
wej Wyższej Szkole Sztuk Plas-
tycznych, członek Narodowej
Rady Kultury,

— HENRYK KLUBA — docent,
rektor Państwowej Wyższej
Szkoły Filmowej, Telewizyjnej
i Teatralnej im. Leona Schillera,
członek Prezydium Narodowej
Rady Kultury,

— MACIEJ KORWIN — sk-
tor Teatru Powszechnego, i
sekretarz Komitetu Środowis-
kowego PZPR Teatru i Estrady,

— EDWARD SZUSTER — li-
terat, radny Rady Narodowej
Miasta Łodzi.

ŚRODOWISKO CZY TWÓRCY?

— Proponuje zacząć naszą
rozmowę od próby odpowiedzi
na pytanie: jak poszczególne
środowiska twórcze oceniają
stan kultury, jakie widzą za-
grożenia jej rozwoju?

je w wytwórniach znacznie
trudniejsze.

Również ocena rozdowstecz-
nienia nie jest taka prosta.
Trzeba sobie zdawać sprawę z
tego, że ludzie zajmujący się
tym mają duże trudności i nie
zawsze proponują taką ofertę,
na jaką oczekuje odbiorca. A
przecież w Łodzi mimo wszyst-
ko zrodziło się kilka interesu-
jących inicjatyw. Mam na

ku literatów, którym na tym
zależy i oni robią wszystko,
aby taki festiwal mógł się od-
być. Gdyby nie oni, nikt by
nie uważał, że udział środowiska
twórczego w życiu kultural-
nym określa jego inicjatywy.
realizacja tych inicjatyw. Pod
warunkiem, że wzbogacają one
to życie. Tak rozumiem dzia-
lanie środowiska, a nie tylko

tylko w upowszechnianiu kul-
tury plastycznej, ale też w
kształtowaniu opinii i kryte-
riów oceny sztuk plastycznych.

— No, a nowe związki?

W. GARBOLIŃSKI: — Nowe
związki są niezbędne, a poza
tym podzieliły środowisko za-
miast je zintegrować. Dziś
kryteria przyjmowania do tych

Elitarna czy masowa? A przede wszystkim — dla kogo?

H. KLUBA: — Mam pewną
wątpliwość, czy stan kultury
mam rozumieć jako wydaj-
ność poszczególnych środowisk,
czy też jako sposób rozpowsze-
chniania tego, co w sztuce szer-
oko rozumianej powstaje?
Wątpliwość moja bierze się
stąd, że nie wszystko, co w Ło-
dzi powstaje łatwo daje się oc-
enić. A powinniśmy chyba
przede wszystkim mówić o Ló-
dzi, tu bowiem pracujemy i
tworzymy. I tak, to co wysta-
wia się w teatrach łatwiej jest
do oceny, a już to, co powsta-

myśli Spotkania Baletowe, O-
gólnopolski Przegląd Spektakli
Dyplomowych Szkół Teatral-
nych, który ma szansę stać się
impresją międzynarodową.
Międzynarodowe Seminarium
Młodej Krytyki Teatralnej.

— Czy można je uznać za
inicjatywy środowisk?

E. SZUSTER: — Takie in-
icjatywy dochodzą na ogół do
skutku tylko wówczas, gdy
środowisko uparcie o nie wal-
czy. Przykładem tego może
być Festiwal Poezji. Jest kil-

jako sume indywidualnych bo-
czynni twórców.

— Ale żeby środowisko mogło
działać, niezbędna jest do tego
organizacja, która zajmie się
określaniem takich inicjatyw,
ich zrealizowaniem i udziałem
w realizacji. Z tego, co wiem,
nie wszystkie środowiska ma-
ją takie organizacje.

W. GARBOLIŃSKI: — Tak,
z tym jest najlepiej. Na-
stąpiła dezintegracja środowi-
ska. Plastycy na przykład nie
mają swego jednego związku.
A spójnią on poważną rolę nie

związków zmieniły się. Wiele
plastyków ma opory natury
tak politycznej, jak i innej
przed wstępowaniem do tych
związków. Wcale to nie wyja-
śnia sytuacji, przeciwnie — je-
szcze ją skomplikowało. A ży-
my przecież w świecie wysoce
zinstytucjonalizowanym, gdzie
bez legitymacji zaświadczenia-
cej o przynależności do jakiejś
organizacji trudno coś uzyskać,
a czasem jest to zupełnie nie-
możliwe. Niezbędne więc jest
zintegrowanie środowisk.

I jeszcze jedna sprawa. Pad-

4

Ogłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejowski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch” 90-950 Łódź ul. Armii Czerwonej 23.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rekwizytów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy; — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; dla indywidualnych prenumeratorów: osób fizycznych zamieszkałych na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch” 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23 00-953 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwrotna jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnym — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1481. P-2.

Profesor Stefania Skwarczyńska laureatką nagrody wydawców

Przybyła nam ostatnio nowa, coroczna nagroda, przyznawana „Za wybitne osiągnięcia twórcze w dziedzinie kultury i nauki” przez fundatorów — Wydawnictwo Łódzkie i Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Podobnie jak przedwojenna nagroda literacka miasta Łódź, ma ona szansę zyskać sobie wysoką pozycję w kraju, zwłaszcza iż nie stawia za warunek związków laureata z Łodzią i regionem, lecz bierze pod uwagę przede wszystkim wkład w Polską kulturę, pomnażanie dorobku polskiej nauki i sztuki.

Pierwszym laureatem została osoba bez kwestii wybitna, wysoko ceniona w kraju i jednocześnie popularna w intelektualnych kręgach Łódzi, wielce zasłużona dla polskiej humanistyki, profesor **STEFANIA SKWARCZYŃSKA**.

Trafny naszym zdaniem werdykt przywołał na myśl czasy, kiedy łódzkie premium miało w całym kraju renomę zaszczytnego wyróżnienia, dzięki temu iż honorowano nim ludzi tak wybitnych, jak Aleksander Prückner, Julian Tuwim, Juliusz Kaden Bandrowski i in., nie wszyscy zresztą związani z Łodzią swym życiem czy problematyką swojej działalności twórczej.

Omówienie choćby najważniejszych osiągnięć i zasług prof. Stefani Skwarczyńskiej dla polskiej polonistyki, wymienienie wszystkich prawdziwie odkrywczych dzieł naszej uczzonej przekracza możliwości prasowej informacji, a usystematyzowana ocena jej twórczego dorobku czeka z pewnością na kompetentnego badacza, do dać by można, iż również pracownikowi, by zdołał ogarnąć cały obszar twórczej myśli Pani Profesor zawarty w liczbie pół tysiąca prac (wymienionych zresztą w „Dokumentacji” Wydawnictwa Łódzkiego pod redakcją Stanisława Kaszyńskiego).

Urodzona w 1902 r. odbyła studia polonistyczne i romanistyczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza, uzyskując w 1925 r. stopień dr filozofii, na podstawie rozprawy „Ewolucja obrazów u Słowackiego”, oyl to zarazem debiut książkowy młodej autorki. Uczyła w szkołach średnich, m.in. od 1932 do wojny w Gimn. im. Orzeszkowej i w Pedagogium w Łodzi. W 1937 r. pierwsza w Polsce habilitowała się z zakresu teorii literatury na Uniwersytecie Lwowskim, na podstawie rozprawy „Teoria listu”, prowadził też wykłady uniwersyteckie. Na krótko przed wojną zostaje członkiem Komisji Historii Literatury Polskiej Akademii Umiejętności, otrzymuje też nominację na profesora zwyczajnego w oddziale łódzkim Wólnej Wszechnicy Polskiej. Z początku wojny wiąże się z uniwersytetem im. Iwana Franki we Lwowie, jako docent romanistyki.

W pierwszych dniach maja 1945 r. Stefania Skwarczyńska przyjeżdża do Łodzi i obejmuje kierownictwo Katedry Teorii Literatury UL, przekształconej następnie w Instytut, kieruje pracami nad „Słownikiem Rozdzajów Literackich”, jest też współinicjatorką i współredaktorką miesięcznika „Znak”. W 1957 r. otrzymuje nominację na profesora zwyczajnego UL, w roku następnym zostaje redaktorem naczelnym pisma „Zagadnienia Rodzajów Literackich”. Jest członkiem Komisji Nauki o Literaturze PAN. Do niezwykle ważnych osiągnięć prof. Skwarczyńskiej należy integracja badań naukowych i dydaktyki w odniesieniu do literatury, teatru i filmu.

Uczona jest członkiem rzeczywistym PAN, dr honoris causa UL, uczestniczyła w ważnych kongresach międzynarodowych, działała aktywnie w ru-

chu pokoju, była jurorem ważnych konkursów literackich, jak również laureatką nagród państwowych, resortowych, nagrody naukowej m. Łodzi, nagrody KUL-u i konkursu im. Włodzimierza Pietrzaka, otrzymała też nagrodę czytelników „Ogłosów”.

J. K.

XIV Ogólnopolski Festiwal Poezji (16 - 17 maja 1985)

Po pięciu latach przerwy powrócił do kalendarza ogólnopolskich imprez kulturalnych łódzki Festiwal Poezji. Może nie osiągnął jeszcze poziomu i rozmachu festiwalu poprzednich jednak trzeba wierzyć, iż jego powtórne narodziny zapowiadają rychły powrót do dawnej świetności. Tegoroczny przyniósł tylko dwa konkursy: na debiutanki, nie publikowany tonik poezji oraz na zestaw wierszy. W pierwszymy dwie nagrody otrzymali (I nagrody nie przyznano): Hanna Kaciewicz-Sygidus z Poznania (debiutowała na łamach „Ogłosów” w roku 1982) i Liliana Barańska z Krakowa. Trzy trzecie — przypadły Eugeniuszowi Michalskiemu (Strzelec Opolskie), Marioli Lewickiej (Legnica) i Januszowi Goldzie (Stefkowo, woj. krosnieńskie). W drugim konkursie I nagrodę przyznano Andrzejowi Gnarowskiemu z Warszawy, dwie II — Krystynie Wrońskiej z Krakowa i Stanisławowi Filipowiczowi z Dzierżonia, trzy III — Zdzisławowi Antolskiemu (Kielce), Aleksandrowi Migo (Krosno) i Harremu Dudzie (Opole). Wyróżnienie otrzymał Krzysztof Maria Sieniawski z Warszawy.

Jury w składzie Andrzej Lam (przewodniczący), Jan Czarny, Tadeusz Chrościelewski, Edward Kolbus, Leszek Zuliński i Ewa Filipczuk oceniło przeszło pięćset zgłoszeń udziału w obu konkursach.

Jak poprzednio tak i tegoroczny Festiwal miał być okazją do refleksji nad obecną naszą rzeczywistością poetycką, forum dyskusyj, ocen i sporów krytyczno-literackich. Mimo iż referaty, które wygłoszono (Andrzej Lam — notabene przedstawił tekst — który wydaje mi się być najciekawszą wypowiedzią o twórczości Galcyńskiego jaka kiedykolwiek powstała, Krzysztof Gąsiorowski, Maciej Krasowski oraz na „sejcie wyjazdowej” w Sieradzu Leszek Zuliński, Andrzej Krzysztof Wasiewicz i Maciej Chrzanoński) do takich dyskusji skłaniały — w toku oficjalnych obrad brakło na nie czasu. Jednak liczne spotkania poetów i krytyków z publicznością, które odbyły się w bibliotekach i domach kultury dały możliwość bezpośredniej rozmowy o poezji. Świadczą o tym roziskrzony czyjś postów, którzy przybywali na wieczorny cocktail (ach, jaki skromny!), przysposobiony przez organizatorów, w pełni usatysfakcjonowani. Nie trzeba było inspirować elokwencji napitek — cieszyła poezja i jej czytelnice wzięcie.

Satysfakcja to też dla organizatorów: Oddział ZLP w Łodzi, Wydział Kultury z Łodzi i Sieradza oraz Muzeum Historii Miasta Łodzi, że ich trud przyniósł dobre efekty.

(GRZ.)

30 lat „Warmii i Mazur”

Przed 30 laty, w 1955 roku, w Olsztynie ukazał się pierwszy numer „Mazur i Warmia”. Był to wówczas miesięcznik. Wydawcą był Wydział Kultury Prezydium WRN w Olsztynie,

a redagował go — redaktor dodatku do „Głosu Olsztyńskiego” — Henryk Święcicki.

Po roku miesięcznik przekształcił się w dwutygodnik i zmienił nazwę na „Warmia i Mazury”. Redaktorem naczelnym został ściągnięty z Warszawy Jan Aleksander Król, poseł Ziemi Olsztyńskiej, działacz ZSL, dziennikarz, były redaktor naczelną „Wsi”. Wraz nim ściągnięta do Olsztyna grupa dziennikarzy z Warszawy, a wśród nich byli pracownicy „Po prostu”. Grupa ta ożywiła pismo, ale na krótki czas. Pojawienie się wielu atrakcyjnych tytułów wioskach w 1956 roku i później spowodowało spadek zainteresowania „Warmią i Mazurami”.

W maju 1957 roku „Warmia i Mazury” stały się tygodnikiem. Zespół wybiera na naczelnego redaktora działacza mazurskiego ze Szczytna — Waltera Późnego. Część zespołu z Henrykiem Święcickim odchodzi do powstałej „Panoramy Północy”, a Jan Aleksander Król wraca do Warszawy.

Po roku „Warmia i Mazury” bierze wydawnictwo „Pojezierze” i staje się ono miesięcznikiem kulturalnym. W 1967 roku powraca do RSW „Prasa”. Od 1 października 1982 roku „Warmia i Mazury” stały się dwutygodnikiem.

Od 1972 roku „Warmia i Mazury” przyznaje coroczną nagrodę. Wśród jej laureatów byli: Jerzy Putrament, Zbigniew Nienacki, Igor Sikirycki, Witold Filler, Tadeusz Chrościelewski, Kira Galczyńska.

Redakcja dwutygodnika „Warmia i Mazury” przesyła najlepsze życzenia: dobrych tematów i uznania czytelników!

Święto księgarskiego stanu

Książka towarzyszy nam niemal przez całe życie. Jest tak samo ważna jak chleb. Jest naszym uczycielem, pomocnikiem, doradcą. I najbardziej wyorobowanym przyjacielem. Ludzie, którzy kochają książki, są ludźmi szlachetnymi, ci zaś, którzy pośredniczą pomiędzy autorem a czytelnikiem ofiarowując temu ostatniemu gotowy produkt ludzkiej przemysłu — są ludźmi o wielkich i wspaniałych sercach.

Wspominam o tym na marginesie imprezy, jaka się odbyła w miniony poniedziałek w Muzeum m. Łodzi a została zorganizowana dla uczczenia 35-lecia P.P. „Dom Książki” w Łodzi.

Spotkanie księgarzy stało się okazją do refleksji, do przypomnienia powojennej historii księgarstwa w ogóle, a łódzkiego w szczególności. Tuż po zakończeniu działań wojennych potrzeba słowa drukowanego była ogromna. Przez pięć lat okupacji polska książka była artykułem zakazanym. Ale książki oferowane przez małe, prywatne księgarnie nie przetawiały najwyższego poziomu, a niejednokrotnie zawierały treści wręcz wrogie odrodzonej Polsce.

Dopiero od 15 stycznia 1950 r. datuje się rozwój państwowej sieci księgarskiej, której współczesnym spadkobiercą jest dzisiejszy „Dom Książki”. O tych i innych historycznych faktach mówił bardzo interesująco i z wielką erudycją — ca dyr. tej placówki mgr Jan Gruszelak.

Z kronikarskiego obowiązku dodam także, iż najbardziej zasłużeni łódzcy księgarze zostali uhonorowani wysokimi odznaczeniami państwowymi, wielu otrzymało „Honorową Odznakę m. Łodzi”, inni odznakę „Zasłużony Działacz Kultury” — jeszcze inni odznaczenia resortowe, listy gratulacyjne, dyplomy i cenne albumowe wydawnictwa.

E. IW.

Komu nagrodę „Ogłosów” za rok 1985

Po raz drugi ogłaszamy „Regulamin nagrody „Ogłosów” za upowszechnianie kultury w roku 1985”. Ale tym razem wyraźnie już w tytule zaznaczamy, że nagroda dotyczy osiągnięć w upowszechnianiu kultury w 1985 roku, a przyznana będzie w 1986 roku.

Po raz pierwszy nagrodę „Ogłosów” — jak wszyscy pamiętamy — otrzymał Antoni Szram. Zgłoszono wówczas 15 kandydatów. Jury stwierdziło, iż nie wszystkie one były wystarczająco — zgodne z „Regulaminem” — uмотywowane i udokumentowane. Z tego powodu upoważniło przewodniczącego jury do skomentowania doświadczeń wyniesionych ze swojej pracy, aby w przyszłym roku, następnym jury miało łatwiejszą pracę. Tak więc korzystając z tego upoważnienia, chciałbym zwrócić uwagę na kilka spraw, które do tej pory nie były dość wyraźnie zaakcentowane i nie dość precyzyjnie sformułowane.

1. Jest to może przykre, ale nie wszyscy zgłaszający kandydatów do nagrody dokładnie przeczytali „Regulamin”. Wynikało bowiem z niego, że nagroda była tylko i wyłącznie za osiągnięcia w upowszechnianiu kultury, które miały miejsce w 1984 roku. Nagroda jest coroczna i premiuje nie „całokształt pracy”, ale konkretne osiągnięcia.

Pod adresem jury zgłoszono propozycje, aby nagrodę przyznawano za dokonania w sezonie kulturalnym, czyli od września do czerwca następnego roku. Jury propozycje te odrzuciło. Pod uwagę brane są tylko dokonania w danym roku kalendarzowym.

2. W projekcie regulaminu na rok 1985 ustaliliśmy termin nadawania umotywowanych wniosków do 31 grudnia 1985 roku. W redakcji doszliśmy jednak do wniosku, że termin ten należy przesunąć o miesiąc. A więc wnioski należy przysyłać do redakcji do 31 stycznia 1986 roku. W ten sposób powstaje możliwość pełnej oceny prac dokonanych w całym roku kalendarzowym.

3. Mimo że zgłoszono 15 kandydatów do nagrody, jury po wstępnej selekcji zakwalifikowało jako zgodne z „Regulaminem” tylko 6 kandydatów. Nie wystarczy bowiem zgłosić kandydatów, napisać, że kandydat to wspaniały człowiek i wybitny działacz i na tym poprzestać. Trzeba pamiętać, że nagroda jest przyznawana za konkretne osiągnięcia w konkretnym czasie. Teraz za 1985 rok. A więc uzasadnienie musi obejmować — obok stwierdzeń ogólnych, bo te stanowią jakby materiał pomocniczy — to, co kandydat dokonał konkretnie w 1985 roku.

Każdego roku chcemy przyznawać nagrodę za rezultaty w upowszechnianiu kultury osiągnięte w poprzednim roku; w 1986 za 1985, w 1987 za 1986 i tak dalej. Trzeba, przy zgłaszaniu kandydaty, koniecznie o tym pamiętać, bo inaczej cały wysiłek na nic.

4. W tym roku jury — jako że dopiero powstają doświadczenia — przyjęło wszystkie zgłoszone kandydaty i zażądało tylko dodatkowych uzasadnień. Nie wszyscy zgłaszający wywiązali się z tego. Ze szkoda dla swych kandydatów. Teraz wymagane będzie jednoczesne zgłoszenie kandydata wraz z uzasadnieniem. Brak takiego uzasadnienia będzie równoznaczny z dyskwalifikacją kandydata. Sądzę, że nie tylko można, ale trzeba tego uniknąć. Nagrodę naszą traktujemy bardzo poważnie i wszystko wskazuje, że nasi Czytelnicy również.

Publikacją „Regulaminu” otwieramy drugi rozdział w dziełach nagrody „Ogłosów”. Regulamin opublikujemy jeszcze kilkakrotnie. Ale już dziś trzeba pilnie rozglądać się za kandydatami.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Regulamin nagrody tygodnika „Ogłosy” za upowszechnianie kultury w roku 1985

1. Nagrodę tygodnika „Ogłosy” za upowszechnianie kultury w 1985 roku w wysokości 50 tysięcy złotych przyznaje jury w wnioskach Czytelników „Ogłosów” oraz stowarzyszeń twórczych, regionalnych, instytucji zajmujących się działalnością kulturalną.

2. Kandydatami do nagrody mogą być ludzie lub zespoły ludzi, którzy w 1985 roku wyróżnili się oryginalnymi koncepcjami, inicjatywami, pomysłami, eksperymentami, poszukiwaniem nowych form, poczynaniami organizacyjnymi oraz wybitną aktywnością w upowszechnianiu kultury, co znalazło potwierdzenie w praktyce.

3. Nagroda jest niepodzielna i może być przyznana jednej osobie lub zespołowi.

4. Wniosek o przyznanie nagrody powinien być sformułowany na piśmie, dokładnie udokumentowany działalnością obejmującą rok 1985 i zgłoszony w redakcji tygodnika „Ogłosy” do 31 stycznia 1986 roku.

5. Jury może odstąpić od przyznania nagrody, jeśli ilość kandydatów będzie mniejsza niż trzy, albo jeśli nadesłane wnioski nie będą odpowiadały wymaganiom regulaminu.

6. Fundatorem nagrody tygodnika „Ogłosy” jest Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”.

7. Jury nagrody tygodnika „Ogłosy” na wniosek redaktora naczelnego „Ogłosów” powołuje dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.

8. W skład jury nagrody tygodnika „Ogłosy” wchodzi: — przedstawiciel Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, — dwóch członków zespołu tygodnika „Ogłosy”, — przedstawiciel Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi,

— przedstawiciele stowarzyszeń twórczych, regionalnych, zawodowych — literatów, muzyków, artystów, dziennikarzy i innych. Skład jury nie może przekraczać 11 osób.

9. Wyniki pracy jury zostaną ogłoszone po 1 maja 1986 roku.

Minął tydzień

NA XII PIĘTRZE CENTRUM PRASOWO-TELEWIZYJNEGO

Gościliśmy radzieckiego uczonego dr hab. WIKTORA CHOREWA. Jest on pracownikiem naukowym Instytutu Słownoznawstwa i Bałkanistyki Akademii Nauk ZSRR. Wybitny znawca literatury polskiej, tłumacz wielu książek polskich pisarzy (Tumaczył między innymi książki Wacława Bilńskiego i Jerzego Wawrzaka Wiktor Chorew publikuje w prasie radzieckiej szkice o literaturze polskiej, bierze udział w pracach wielu redakcji radzieckich pism i wydawnictw zajmujących się literaturą krajów socjalistycznych.

W redakcji „Ogłosów” obradowała też Komisja Kultury KD PZPR Śródmieście. Komisja zapoznała się z koncepcją organizacji centrum prasowo-telewizyjnego w wieżowcu i przyległym budynku, zajmowanym jeszcze przez „Otex”, przy ul. Sienkiewicza 3/5 oraz z możliwościami prowadzenia w centrum prasowo-telewizyjnym działalności integrującej środowiska kulturalne miasta. Komisja wyraziła poparcie dla idei centrum prasowo-telewizyjnego oraz zaniepokojenie z powodu opóźniającego się przejęcia budynku zajmowanego przez „Otex”. Przeprowadziła też analizę rozmieszczenia sił partii w środowiskach kultury.

Na temat pracowitego życia nie trzeba pisać, po prostu trzeba tak żyć, tak wychowywać dzieci, a wtedy opiekować się będzie trzeba tylko ludźmi chorymi ulomnymi, niesprawnymi.

Jak często model życia pracowitego jest odrzucany, świadczą choćby masowe odejścia na wcześniejszą emeryturę. W pełni sił twórczych ludzie porzucają pracę, aby iść na utrzymanie innych, choć nie są chorzy, ulomni, niesprawni. Jak zatem mogą oczekiwać, że ich dzieci i wnuki będą chcieli na nich pracować?

Odczodzą na wcześniejszą emeryturę, bo wolą to, aniżeli pracę, bo emerytura ich jest równa pensji na niższym stanowisku, bo mogą być albo „pierwsi” albo wola się wycofać jakby nie zdając sobie sprawy, że stanowią przykład dla młodych. A jeżeli młodzi „załatwią” sobie wcześniejszą emeryturę po ukończeniu 40 lat życia? Wcześniej emerytury powinny być dla

rangi problemu pierwszoplanowego. Trudności w zaopatrzeniu nekają przede wszystkim kobiety, ograniczając drastycznie ilość czasu, którym mogą swobodnie dysponować, oznaczając go na fałszywe cele, które uważają za ważne, realizować takie zainteresowania na jakie mają ochotę, warunki materialne i intelektualne.

Równouprawnienie i awans powinny oznaczać równe prawo do szacunku niezależnie od miejsca w społeczeństwie, prawo do niewykonywania funkcji kierowniczych, a mimo to bycia jednostką wybitną. W tym względzie potrzebna jest z jednej strony zmiana spojrzenia na problem równouprawnienia i kariery samych kobiet, jak i wszystkich modelotwórczych instytucji i organizacji. Na sprawę tę należy spojrzeć podobnie jak na sprawę młodzieży, bardziej rzeczowo, realistycznie. Problem kariery kobiet podjęłam nieprzypadkowo w kontekście młodzieży, ponieważ właśnie one stanowią jej półowę.

Cóż proponuje? Proponuje awans w ramach klasy, w ramach zawodu, bez zmiany pozycji w

Historia ma swoich autorów...

ANNA LIPOWICZ

We wrześniu 1949 roku, cztery lata po zwycięstwie nad hitlerowskimi Niemcami, powstał Związek Bojowników o Wolność i Demokrację. Do tego momentu uczestnicy walk z okupantem na polskiej ziemi oraz na wszystkich frontach antyhitlerowskiej koalicji zrzeszali się w jedenastu stowarzyszeniach. Czynne uczestnictwo w II wojnie światowej oraz walka w obronie niepodległości i demokracji stanowią tytuł przynależności do organizacji kombatanckiej. Na rodowód zbawców składają się chlubne tradycje wolnościowe i wywołanie narodu polskiego.

Zjednoczenie ruchu kombatanckiego przypadło na trudny okres, który nie sprzyjał pełnej realizacji przyjętych założeń i aktywizacji związku. Od połowy 1948 r. system polityczny i poszczególne jego elementy, głównie za sprawą zmiany w linii politycznej PPR, dotknięte zostały kryzysem. Tak więc już na Kongresie Zjednoczeniowym ZBoWiD zwyciężyły nielubiane teorie o tzw. prawicowo-nacjonalistycznym odchyleniu w partii. Idea zjednoczenia się wszystkich uczestników walk wolnościowych została wypaczona. Poza szeregami ZBoWiD pozostały liczne rzesze tych, którzy na skutek nieuzasadnionej nieufności odepchnięto od organizacji. Pod zarzutami zdrady narodowej znalazło się wielu członków i działaczy wszelkich ugrupowań polskiego ruchu oporu. Starano się pomniejszyć, sfalszować i przemleć patriotyczny wkład narodu w wyzwolenie kraju. Wielu byłych uczestników ruchu oporu dotknięte niesprawiedliwe represje.

System ogólnego komendowania, zanik demokratycznych form życia wewnątrzzwiązkowego, lekceważenie praw statutowych członków i niższych komórek organizacyjnych, poważnie ograniczyły możliwości twórczej pracy w ramach związku. W tej sytuacji możliwości samodzielnego i aktywnego działania w ZBoWiD były znikome. Od 1951 r. nastąpiła tzw. reorganizacja działalności stowarzyszenia, w toku której ujawniły się tendencje likwidatorskie. Panująca atmosfera podejrzliwości i nieufności doprowadziła do znacznego zmniejszenia szeregów członków związku. Liczba ich zmalała z 400 tys. w dniach zjednoczenia do niespełna 50 tys. w 1955 r.

W okresie 1949—1955 nie odbyło się ani jedno posiedzenie Rady Naczelnej ZBoWiD. Od 1952 r. nie odbywały się zebrania plenarne Zarządu Głównego, znaczna ilość kół przestała istnieć, w pozostałych zaś praca obumarła. Okres stalinizmu doprowadził do zaprzestania obrzygniętego ludzkiego kapitału. W 1956 roku zaistniała realna możliwość reaktywowania ZBoWiD jako organizacji ściśle związanej z masami byłych kombatanów i członków ruchu oporu cieszącej się autorytetem i poparciem całego społeczeństwa. Proces demokratyzacji kraju spowodował, iż wiele ogniw organizacji ożyło. Tysiące ludzi zaczęło zgłaszać się do związku, wykazując chęć aktywnej pracy na rzecz jego rozwoju. Kombatanicy chętnie włączyli się w twórczy, demokratyczny nurt odnowy. Związek zdecydowanie poparł decyzje wydane na VIII Plenum KC PZPR w październiku 1956 r.

Uchwały Rady Naczelnej ZBoWiD zapoczątkowały zasadniczy zwrot w działalności organizacji. Na podstawie wniosków wyciągniętych ze złych doświadczeń lat minionych, stworzono możliwości zrzeszenia się w związku wszystkich uczestników walk narodowowyzwoleńczych, którzy zaakceptowali program budowy socjalizmu. Nowe metody pracy politycznej i organizacyjnej związku spowodowały szybki wzrost liczby członków. Praca w ZBoWiD wymagała nie tylko aparatu etatowych pracowników, ale przede wszystkim społecznej organizacji ludzi, bezinteresownie oddających swój czas i wysiłek dla wspólnego dobra.

Uchwały Rady Naczelnej z roku 1956 i II Kongresu ZBoWiD (wrzesień 1959), nakreśliły zadania, które miały wyznaczyć kierunki działalności związku. Wiele zdobytych Pezdzicznika zostało wykorzystanych, co pozwoliło organizacji odzyskać swoją tożsamość. Lata

swej działalności ideowo-wychowawczej i społeczno-politycznej koncentruje się na:

— umacnianiu spójności własnych szeregów oraz rozwijaniu inicjatyw sprzyjających ugruntowaniu procesów integracyjnych środowiska kombatanckiego, odpowiadających socjalistycznej odnowie życia społeczno-politycznego;

— pogłębianiu patriotycznych postaw swoich członków, ich aktywnego stosunku wobec podstawowych problemów narodu i państwa, materializujących się na gruncie porozumienia narodowego;

— współuczestnictwu w procesie kształtowania historycznej świadomości społeczeństwa, a zwłaszcza młodego pokolenia, zaszczerpienia cech i umiejętności obywatelskiego myślenia i działania w oparciu o postępowe, patriotyczne i rewolucyjne tradycje narodu;

— aktywnym uczestnictwem w walce o pokój i bezpieczeństwo świata. Związek wykazuje wiele inicjatyw, by zapewnić w maksymalnym stopniu realizację swych założeń programowych. Składają się na nie różnorodne formy działania od organizowania i uczestnictwa w uroczystościach i obchodach jubileuszowych wydarzeń historycznych ważnych dla każdego Polaka, przez szeroko zakrojoną pracę z młodzieżą, działalność wspomnieniową do aktywnego udziału w międzynarodowych organizacjach kombatanckich.

Trudno przedstawić wszystkie dziedziny zainteresowań stowarzyszenia. Podkreślić jednak należy ogromne zaangażowanie Związku w pracę na rzecz społeczeństwa.

Srodowisko kombatanckie ma swoją specyfikę. Scala je wspólnota przebytej drogi, rodzaca silne więzi interpersonalne. To na nich opiera się, służy zarazem ich pielęgnowaniu. Działalność komisji i klubów środowiskowych, skupiających kombatanów o wspólnych rodowodach wojennych.

Zbawidowcy stanowią już dziś specyficzną grupę demograficzną. Z racji wieku, stanu zdrowia i wyniszczających przeżyć wojennych, a także często trudnej sytuacji materialnej, związanej z niskim wymiarem pobieranych rent i emerytur, potrzebują daleko idącej pomocy.

W związku z VII Kongresem ZBoWiD nasuwa się szereg refleksji dotyczących stowarzyszenia i jego członków. Może w obecnej sytuacji, w chwili, gdy mamy ponad 800 tysięcy zrzeszonych w Związku kombatanów, nie najważniejszą będą dla nich podjęte uchwały. Znaczenie istotniejsze wydaje się być problem zajmowanego przez nich miejsca w społeczeństwie, zyciowego stosunku do nich władz państwowych, partyjnych, organizacji młodzieżowych.

Każdy naród winien pielęgnować swoje tradycje, właśnie między innymi poprzez właściwą i sprawiedliwą ocenę dobru ludzi, którzy swoją młodość i życie poświęcili walce o niepodległość, sprawiedliwość i demokrację. Obowiązkiem pokolenia powojennego jest przywrócenie im ich dziedzictwa. Wzajemnie tego powinno być między innymi pełniejsze ukazywanie tych ludzi i ich organizacji. To oni bowiem byli twórcami pokojowych podstaw kolejnych powojennych pokoleń. Oni są podmiotami historycznego procesu, który nie stanowi jakiegoś przypadkowego splotu działań anonimowych jednostek, grup, narodów. Proces ten miał swoich autorów, z których większość jeszcze żyje wśród nas. I to musimy wiedzieć i widzieć. Tę prawdę trzeba przekazywać dorastającemu pokoleniu, które nie zawsze, w swej wprawdzie krótkiej edukacji miało dobrych nauczycieli. Patriotyzmu nie można się nauczyć, jeżeli będzie on pojęciem abstrakcyjnym. Należy więc ukazywać konkretne postawy, zachowania zgodne z zasadą verba docent, exempla trahunt. Wykorzystywanie dobru kombatanów może przyczynić się do urealnienia podstawowych pojęć, takich jak ojczyzna, naród, patriotyzm, internacjonalizm i będzie jednocześnie aktem historycznej, dziejowej sprawiedliwości.

Model awansu społecznego (2)

ludzi naprawdę tego potrzebujących, powinno to być prawo nie oznaczające, że każdy ma obowiązek z niego korzystać. Aby tak było, potrzebna jest zmiana sposobu myślenia o „życiu” i socjalizmie.

Model życia pracowitego jest odejściem od modelu awansu pionowego. Powstaje konieczność uświadomienia, że społeczeństwo polskie połowy lat osiemdziesiątych jest społeczeństwem jakościowo i ilościowo innym niż to, w którym ukształtował się model pionowy awansu społecznego.

Polska połowy lat osiemdziesiątych to 37 milionów ludności, kraj nasycony ludźmi z wyższym wykształceniem. Ludność posiada co najmniej ukończoną szkołę podstawową na poziomie 7—8 klas. Za kilka lat dominować będą roczniki wchodzące do produkcji — absolwenci 8-letnich szkół podstawowych plus 2—3-letnich szkół zawodowych. W społeczeństwie, w którym kadry są młode i wykształcone, a awans w rozumieniu lat powojennych jest bardzo trudny. Tak jest we wszystkich podobnie rozwijających się społeczeństwach. W tych warunkach powstają bardzo ważne problemy kariery zawodowej i równouprawnienia kobiet.

O ile w modelu z lat pięćdziesiątych awans polegał na wspianiu się po drabinie stanowisk, za tym szły zarobki, mieszkanie, przywileje, to awans współczesnego człowieka powinien dotyczyć nie stanowisk — ale prestiżu indywidualnego i poziomu życia bez zmiany przynależności klasowej lub wspniania się po drabinie hierarchii stanowisk.

Prestiż indywidualny to wynik własnej pracy człowieka, pracy zawodowej, działalności społecznej w miejscu pracy i poza nią. Awans ekonomiczny to wynik podnoszenia umiejętności, fachowości, wiedzy, sprawności działania, własnej i zespołowej, podnoszenia sprawności działania instytucji zatrudniającej. Awans ekonomiczny powinien wynikać z wysokiej jakości wykonywanej pracy, a zatem i jakości wykonywanego produktu. Osiągnięcie tego celu powinno być wspomaganie przez zespół instytucji kształcących, deksztalczących, doradzających, konsultujących. Awans ekonomiczny — to nie prosty przyrost lat pracy, ale przyrost sprawności działania człowieka.

Prestiż — skorelowany z zarobkami — stworzyć może system interesującego awansu pionowego. Awans jako uzyskanie prestiżu społecznego, uznanie ludzi w miejscu pracy, bądź zamieszkania, poprzez inicjatywy działalności pozazawodowej i realizacja tych inicjatyw.

Wielu „upowszechniaczy” kultury — tak sami siebie nazywają, wskazuje na brak zainteresowania i uczestnictwa ludzi w kulturze, szczególnie robotników. Nie podejmują dyskusji, dlaczego tak jest, inny to problem. Mnie chodzi nie o działalność instytucji, ale o koncepcje indywidualną człowieka, uczestnictwa w kulturze szeroko rozumianej.

Człowiek wchodzący w samodzielne życie zawodowe będzie miał dwie możliwości: 1) kariery zawodowej — rozumianej jako awans pionowy i 2) awansu kulturalnego — czy prestiżowego, nie wiem, jak lepiej nazywać tę drogę. Nie wyklucza to, że jednostki mogą realizować karierę i awans, ale wartość obu musi być jednakowa dla jednostki i równo oceniana i uznawana w społeczeństwie.

Nie przypadkiem podejmuję tę sprawę w odniesieniu do młodzieży i kobiet, ponieważ obie te kategorie najczęściej poszukują dróg równouprawnienia. Kobiety i młodzież czują się pokrzywdzone, nierównouprawnione w społeczeństwie.

Czy kobiety czułyby się bardziej równouprawnione, jeżeli niektóre z nich zajmą częścię niż obecnie stanowiska w hierarchii instytucjonalnej w państwie?

W rozważaniach podejmuję sprawę kobiet nie w kategoriach równouprawnienia, ale kariery, ponieważ w gruncie rzeczy kobietom domagającym się równouprawnienia w obecnej sytuacji pełni praw społecznych, politycznych i obywatelskich, dostępu do wszystkich zawodów (poza tymi, które mają negatywny wpływ na kobiety jako matkę) właśnie chodzi o kariery.

Prawda jest, że kobiety w niższym stosunku do liczebności i poziomu wykształcenia zajmują kierownicze stanowiska w różnych sferach zarządzania, co jest powodem do niezadowolenia. W moim przekonaniu kariery są dla zdolniejszych, utalentowanych, ludzi bardziej ambitnych i bardziej operatywnych. Nieosiągnięcie stanowisk kierowniczych nie powinno być problemem do zmartwień i zabiegania o z góry ustalone liczby miejsc, jakie kobiety gdzieś powinny zajmować. Problem równouprawnienia kobiet aktualnie polega na zrównaniu ilości czasu wolnego — a więc czasu poza pracą, obowiązkami żywymi i rodzinnymi. Dotyczy to kobiet pracujących zarobkowo — bo niepracujące mają czasu więcej, a poza tym uczestniczą w karierach męża, nawet noszą mężowskie tytuły — „pań dyrektorów”, „kierowniczych”, „profesorowych”.

W sytuacji kryzysu gospodarczego, jak przeżywamy, ilość czasu, jaką pochłania to, co nazywamy gospodarstwem domowym, urasta do

organizacji formalnej, sądząc, że jest to jedyny możliwy i konieczny element wychowania i socjalizacji, i to nie tylko dzieci i młodzieży, ale i dorosłego społeczeństwa. Myślę, że ułatwi to rotację na stanowiskach, że będzie służyło dobrze jednostce i społeczeństwu. Wielu kierowników być może chętnie będzie rezygnowało z funkcji kierowniczych, ponieważ nie będzie to degradacja, ale po prostu realizacja innego sposobu drogi życiowej.

BYĆ CZY MIEĆ?

„Być” czy „mieć” — mieszczański czy humanistyczny sposób życia. Mieć — egoistycznie, bez skrupułów, kosztem jednostek czy zbiorowości, lub mieć — w wyniku własnej pracy, wysiłku, starań, współdziałania z ludźmi we wspólnym dobrze rozumianym interesie. „Być” i „wiedzieć”, „być” i „działać”, „być” i „ba”, „być” i „użytecznym” owo dylematy współczesnego Polaka, jeżeli nawet nie werbalizowanie to codziennie realizowanie. Niektórzy ludzie chcą „być”, inni chcą „mieć”, a jeszcze inni chcą być posiadaniem lub posiadać w wyniku bycia jednostką twórczą.

Każdy człowiek, niezależnie od płci, wieku, wykształcenia, zawodu, dokonuje wyboru. Wyboru dokonuje jednostka i całe społeczeństwo w sytuacjach codziennych, pracy, nauki, w rodzinie, sytuacjach napięć, konfliktów, kryzysów, stabilizacji, spokoju. Wybory są uwarunkowane zarówno osobowością człowieka, jak i sytuacją społeczną, polityczną, gospodarczą. W wyniku wyborów następuje polaryzacja większej liczby jednostek po stronie mieć lub być przez posiadanie, rzadziej po stronie być i mieć przez bycie. Podstawowa kwestia w problemie jest wybór stylu życia, w którym jedno z czołowych miejsc zajmuje praca — jako wartość, praca jako źródło wartości.

W analizach, diagnozach, prognozach, zwraca się uwagę na pracę, przyjmując założenie, że jeżeli ludzie będą cenili pracę zgodnie z ideologiami (dla przykładu katolicką i komunistyczną) zaakceptują i zinternalizują ją w swym etosie jako nadrzędną, to wówczas wiele problemów współczesnego państwa, gospodarki i obywateli zostanie szybko rozwiązane. Nie sposób nie zgodzić się z takim punktem widzenia, ale jak to osiągnąć? W społeczeństwie silnie eksploatowanym jest postawa polegająca na oczekiwaniu, na zaspokojeniu w pierwszym rzędzie potrzeb, po to, aby zaakceptować pracę. Powstają w związku z tym koncepcje postulujące, aby każdy pracownik otrzymywał zapłatę składającą się z dwóch części. Część pierwsza — tylko za to, że wyraża gotowość pracy, że zapisany jest w jakimś biurze kadry jakiegoś zakładu pracy. Część druga — to zapłata za wysiłek włożony w pracę, za rezultaty pracy. Oczekuje się, że rząd, państwo, da obywatelowi to co jest dlań konieczne. Jest to postawa, która znajduje wielu zwolenników, ale nie odpowiadająca realiom, sytuacji społeczno-gospodarczej kraju. W tym sposobie myślenia są elementy modelu lat pięćdziesiątych, modelu ideologicznego, który nie prowadzi do sukcesu społecznego, narodowego.

Oczekiwania na to, że ktoś da, załatwi, charakteryzują wszystkie grupy społeczne, ale szczególnie niebezpieczne są jako jedyny wzór do naśladowania dla młodzieży. Eksploatując postawy młodzieży, czynią to nie tylko dla wygody. Niepokoją wypowiedzi części ludzi młodych, którzy chcą szybko otrzymać wykształcenie, stanowisko, wysoką pensję, samochód, praktycznie automatycznie, kolorowy TV.

Są niecierpliwi, tak jak zawsze ludzie młodzi. Ale czy niecierpliwość jest dobrze wykorzystana. Taką postawą budzi nie tylko niepokój i chęć działania na rzecz młodzieży, ale i niechęć, a niekiedy niezyczliwość i obawy różnych środowisk, co prowadzić może do podziałów, nikomu niepotrzebnych, szkodliwych.

Szuka się winnych tego stanu rzeczy. Znajdują się ich szybko, starsi promienni, decydenci, rząd, partia. Ja chciałabym znaleźć przyczynę nie szukając winnych w nie dopasowanym do warunków stylu życia.

Przedstawione myśli, jak sądzę, dyskusyjne, powstały pod wpływem tego wszystkiego, co się dzieje w socjologii i polityce, w sprawie młodzieży, jak i tego, co myślę i czego oczekuję młodzieży. Socjologowie analizują problematykę młodzieży mając na uwadze model awansu, z okresu swej młodości, a politycy nie mówią lub może nie uświadamiając sobie jasno tego faktu, chcieliby pociągnąć za sobą młodzież przez oferowanie jej tego, co im oferowali ich przodkowie, czyli obiecują coś czego nie da się zrealizować i tym samym stają się niewiarygodni.

STEFANIA
DZIĘCIELSKA-MACHNIKOWSKA

warzyszenie Filmowców Polskich. A nie ma. Ot, taki jest stan wiedzy o najprostszych sprawach.

CO TO JEST ŚRODOWISKO?

M. KORWIN: — A może spojrzmy orawdnie prosto w oczy. I zapytajmy. Czy w Łodzi istnieje coś takiego jak środowiska twórcze?

— I jaka jest odpowiedź na to pytanie?

M. KORWIN: — Stawiam pytanie. Spróbujmy na nie odpowiedzieć wszyscy. Mogę tylko

H. KLUBA: — Nie można poważnie mówić o inspirującej roli POP, kiedy uchwały w sprawie kultury podejmowane przez partię nie są realizowane. Przykre to, ale trzeba powiedzieć, że partia nie zajmuje się poważnie sprawami kultury. Nie myślę tu o wydziałach do tego powołanych, ale o partii jako całości.

E. SZUSTER: — Ostatnie plenarne posiedzenie Komitetu Łódzkiego PZPR o kulturze odbyło się przed 11 laty. Przeczytałem opanownie uchwałę z tamtego plenum KL i stwierdzam, że był to rejestr pobożnych życzeń. Żadnych konkretnych. Nie wiadomo na dodatek, do kogo adresowanych, kto te pobożne życzenia miał spełniać. Mam nadzieję, że po 11 latach coś się jednak zmieniło i te-

Olga Olgina, to jej marzeniem były konkursy wokalne. Odbył się tylko jeden, bo i tu zadziałał mechanizm „poślijcie piekła”. Jak ktoś wychyla się ponad przeciętność, to my go zaraz na dół, aby równał do średniego poziomu!

W. GARBOLIŃSKI: — A czy z faktu, że nasze propozycje nie trafiają do odbiorcy nie należy wyciągnąć wniosku, że są chybione? Ze ten odbiorca oczekuje od nas czegoś innego?

M. KORWIN: — Też zadaje sobie takie pytanie. Nie wyciąga się na przykład wniosku z faktu, że widzowie teatru stanowią w około 80 procentach młodzież. Nikogo nie obchodzi, czy te młodzież interesuje to, co ogląda w teatrze. Czy nie należałoby więc robić przedstawień specjalnie dla młodzieży?

mem. Nie różnią się programem, swoim indywidualnym profilem. Mamy aktorów, którzy mają etaty i dlatego sądzą, że muszą być w teatrze. Nie boją się konkurencji. Maja prace zapewnioną do emerytury. To bardzo dobrze. Ale to nie pobudza do poszukiwań, do rywalizacji. A bez tej rywalizacji trudno jest robić jakąkolwiek sztukę, a masowa szczególnie. Proszę spróbować wystawić musical bez specjalnie przygotowanego do tego aktora, który nie będzie stałe doskonalił swoich umiejętności choćby z obaw, że przyjdzie ktoś lepszy, z wyższą sprawnością.

— Mamy za to rywalizację w dół. Pewność pracy nie tylko, że nie sprzyja rywalizacji, ale rodzi tendencje do spychania w

dziele? Czy to będzie instytucja, która będzie koordynowała informacje kulturalna w mieście?

M. KORWIN: — No, a informacyjna rola prasy? Czy może być z niej zadowolony? Ja raczej nie. Informuje się od wydarzeń do wydarzeń, a często to nawet nie są wydarzenia. Od „Odgłosów” na przykład oczekiwaliśmy szerszego spojrzenia na teatr i ich repertuar.

F. FLIS: — Ja znowu oczekiwałbym szerszego spojrzenia na szkolnictwo muzyczne.

H. KLUBA: — Każdy ma jakieś życzenia i uwagi. Ja sądzę, że „Odgłosy” zbyt wiele chce powiedzieć, przez co zatracają promocje pomiędzy różnymi problematyka i zaciemniają swój profil.



Feliks Flis

Elitarna czy masowa? A przede wszystkim — dla kogo?

podzielić się moimi spostrzeżeniami, na podstawie których narodziła się ta wątpliwość. Nie znam się na plastyce, muzyce, ale jako aktor muszę mieć kontakt z tymi dziedzinami sztuki. Budzi to zdziwienie wśród moich kolegów. Im to widać jest niepotrzebne. Ale to nie wszystko. Jeden z dyrektorów teatru, po dwu latach pobytu w Łodzi, zapytał mnie, jak się dostać do mojego teatru. Wielu aktorów nie chodzi do innych teatrów. Ba! Nie chodzi też do kina, chyba, że dla rozrywki. I nie wiem, czy inaczej jest w innych grupach zawodowych. Jeśli więc istnieje taki brak wewnętrznych więzi, to czy możemy mówić o środowisku?

H. KLUBA: — Inne spostrzeżenie. Szkoła filmowa podpisała umowę z Uniwersytetem Łódzkim o współpracy. Już po tym fakcie, w luźnej rozmowie, wyrażono żal, że w Łodzi nie ma takiego miejsca, gdzie spotykałyby się ludzie różnych profesji, których łączy zainteresowanie życiem kulturalnym, umysłowym. Przysłałoby się nam coś na kształt „Krakowskiej Kuźnicy”.

E. SZUSTER: — Gdzie można byłoby spotkać się na co dzień, a nie tylko od święta.

— Nie ma miejsca, czy potrzebny?

M. KORWIN: — To może dobrze, że nie ma takiego miejsca, gdzie wymieniano by poglądy. Boję się, że nie byłoby co wymieniać.

F. FLIS: — U nas ciągle dużo się mówi o różnych potrzebach, składa deklaracje, a jak przyjdzie do konkretnej pracy, to się wszystko jakos rozmydla. Coś się zaczyna i nie kończy. W 1984 roku spotkał się w Komitecie Łódzkim PZPR, gdzie dyskutowano o kulturze. Miały być następne takie spotkania, ale na jednym się tylko skończyło. Wszystko to sprawia na mnie takie wrażenie, że czekamy ciągle, aby ktoś za nas zaczął pracować, działać. Przecież w każdym środowisku istnieją ludzie, którym o coś chodzi, do czego dążą. Niech więc nie czekają, aż środowiska okrzepną, pozbierają się, stworzą wewnętrzne organizacje, ale wezmą się do roboty.

M. KORWIN: — Nie neguję, że związki twórcze są potrzebne. Ale nie przeceniałbym ich roli. One na ogół teraz koncentrują się na sprawach socjalno-bytowych. ZASP na przykład walczy o stawki. No i bardzo dobrze. Ale to nie jest program. A nam potrzebny jest rozsądny program.

Czy taki program ma Komitet Środowiskowy PZPR Teatru i Estrady? Nie. Nie ma. Zależałyśmy mieszkania, inne sprawy z dziedziny spraw socjalno-bytowych, bo ktoś to musi robić, ale z programem obejmującym sprawy ideowe, artystyczne nie ma to nic wspólnego. Poza tym środowisko partyjne w teatrze nie jest liczne, nie może reprezentować wszystkich, tylko jakąś część.

F. FLIS: — Ale ta grupa może odegrać rolę inspirującą. Nasza organizacja partyjna jest dość liczna, 30 osób. Mamy wpływ na innych.

— I odgrywać tę rolę inspirującą?

F. FLIS: — Niezupełnie, bo my też musimy być inspirowani, a nie jesteśmy. Te inspiracje odgórna rozumieć nie jako system nakazów, ale ścisłe, konkretne określenie celów. Niech tych celów do spełnienia będzie mniej, ale niech to będzie konkretne.

raz podjęta uchwała będzie musiała być inna.

H. KLUBA: — Nie chciałbym, aby zrozumiano mnie tak, że skoro instancje partyjne mało zajmują się sprawami kultury, nie są do tego zmuszane przez swoje ciała kierownicze, jak choćby plenarne posiedzenia komitetów, to już nas to rozgrzesza i możemy nic nie robić. Tak nie jest i tak być nie powinno. Na przykład Rada Artystyczna Teatru Studyjnego, 83 postanowiła zwrócić się do Komitetu Dzielnicowego PZPR na Widzewie z prośbą o pomoc w znalezieniu patronów dla tego teatru. Chodzi nam o to, aby zainteresować zarządy zakładów pracy programem tego teatru. Dzisiejszy robotnik, to przecież człowiek wykształcony. Jest to potencjalny, wspaniały odbiorca sztuki w różnych jej formach. Trzeba o niego zabiegać. I my chcemy to robić. Już robimy.

DLA KOGO TE PROPOZYCJE?

F. FLIS: — Tak, w zakładach pracy, w wielkich zakładach jest wspaniały odbiorca. Tylko, jak trafić do niego? Jeszcze przed rokiem 1980 zaplanowaliśmy cykl audycji muzycznych w jednym z domów kultury. Chcieliśmy zbliżyć tego odbiorcę do muzyki, licząc nawet, że w przyszłości będzie częstym widzem w Teatrze Wielkim, w filharmonii. To był piękny zamiar. Skończył się fiaskiem. Na dobrze zaplanowaną imprezę przyszło kilku słuchaczy i to krewnych pracowników domu kultury. Ale coś tu się działo innym ludziom, kiedy studenci szkół muzycznych też niechętnie chodzą na koncerty. Uważają, że koncerty w filharmonii są dla miasta i ich to już nie obowiązuje.

H. KLUBA: — Są też wielkie zawody sportowe i na stadionie pustki.

W. GARBOLIŃSKI: — Ale jak przyjechał do Łodzi Teatr Narodowy z Warszawy z „Lilla Weneda”, to wolnych miejsc nie było.

M. KORWIN: — Bo to przyjechał Narodowy, i z Warszawy, bo spalił się, bo ludzie poszli, aby obejrzeć warszawskich aktorów, choć „Lilla Weneda” nie jest sztuką łatwą w odbiorze. Trudno mi uwierzyć, że ludzie poszli właśnie na tę sztukę.

— Sznobizm też może być powód. Jeśli przerodzi się w coś trwałego, w nawyk chodzenia do teatru.

M. KORWIN: — Oby tak było. Ale obliczono, że łódzka publiczność teatralna stanowi 6 pełnych widowni Teatru Narodowego. To są właśnie ci, którzy chodzą do teatru systematycznie. Reszta, około 80 procent, to młodzież, która przychodzi się do teatru.

F. FLIS: — Fiasko niektórych imprez bierze się z czegoś innego. Działania tu mechanizm „poślijcie piekła”. Co byśmy tam nie mówili o randze i znaczeniu środowisk twórczych, to przecież liczą się w tym indywidualne inicjatywy. Nigdy nie jest tak, że całe środowisko jednocześnie wpada na jakiś pomysł. Są to więc czyste inicjatywy, pomysły, sukcesy i klęski. Wpada więc ktoś na dobry pomysł. I co się dzieje? Idzie wśród zainteresowanych opinia: — to jest impreza liska, on wygrał swoje interesy, więc my albo nie popieramy, albo przyglądamy się obok siebie. Nas to nie interesuje. Gdy żyła

— Z repertuarem, który odpowiadałby na jej zapotrzebowania?

M. KORWIN: — Oczywiście. Ale nikt się tym nie zajmie bo to niepoważne jest robić coś dla młodzieży czy dla dzieci. Reżyser, który sknoć „Dziady” uznawany jest za twórcę ambitnego i poważnego, ten, kto zajmuje się twórczością dla dzieci i młodzieży — choćby robił to znakomicie — w opinii środowiska się nie liczy.

F. FLIS: — To jest bardzo ważne, aby odbiorcy sztuki uczyć od dziecka. Już w szkole wyrobić nawyk trwałego kontaktu ze sztuką.

— Kto ma to robić? Szkoła nie dysponuje odpowiednio przygotowanymi do tego nauczycielami.

F. FLIS: — Tak. To jest problem. Żeby uczyć w szkole muzyki potrzeba w Polsce około 14 tysięcy fachowo przygotowanych nauczycieli. Powstała zatem trwała strata, bo nie ma kto uczyć dzieci i odbiorcy, i uczestnictwa w muzyce. Z innymi dziedzinami sztuki jest chyba podobnie.

CZY POSIADAMY KULTURĘ MASOWĄ?

— Czy naprawdę jest aż tak źle? Przecież przy rozwoju nowoczesnych środków przekazu można uczyć sztuki posługując się centralnie przygotowanymi pomocami naukowymi. Ich wykorzystanie wymaga tylko odpowiedniego nawyku u nauczyciela. W każdym domu jest adapter, magnetofon, projektor. Rodzice też tu mogą odegrać pozytywną rolę. I często tak się dzieje.

F. FLIS: — Coś w tym jest. Nawet muzyk mówi, że wola usiąść wygodnie w fotelu, włączyć doskonałą aparaturę odtwarzającą i spokojnie posłuchać dobrej muzyki niż iść na koncert. Ale czy nawet najlepiej wykonana płyta czy taśma może zastąpić żywy kontakt z odtwórcą?

H. KLUBA: — Nie wolno nam zamykać oczu na to, że tradycyjne formy odbioru sztuki odchodzą, zastępując je nowoczesność. I nie jest to tylko moda. Jeśli wykorzystamy się do nowe formy, taśmy, płyty, kasety, to sztuka ma szanse wejść do domu, zastąpić odbiorcę w jego mieszkaniu. Wystarczy tylko wycisnąć rekę i włączyć aparaturę.

F. FLIS: — To nie ma potrzeby budowania w Łodzi filharmonii.

H. KLUBA: — Jest. Ale nie można zamykać oczu na fakt, że codziennie do Polski przybywa 5 tysięcy magnetowidów.

— Jeśli się tego umiejętnie nie wykorzysta, jeśli nie zaprezentuje się atrakcyjnej oferty w postaci kaset wideo, to wszystko pójdzie na żywioł i rzeczywiście będzie z tego tylko szkoda.

W. GARBOLIŃSKI: — W sztuce zawsze istniał podział na sztukę eksperymentalną, poszukiwawczą, bez której nie ma rozwoju i na tę, która wykorzystuje już nowości nie tylko formalne i jest adresowana do szerokiego odbiorcy. Sztuka masowa. Tylko my te sztuki masowa nie bardzo umiemy robić.

E. SZUSTER: — Masowa, to wcale nie znaczy, że nie musi być ambitna i na dobrym poziomie.

M. KORWIN: — I masowa to nie znaczy, że jednorodna, taka sama. A tak niestety jest. Mamy teatry, które różnią się od siebie nazwą, lokalizacją, pozio-

dół każdego, kto się wyniesie trochę ponad średniość.

M. KORWIN: — A widzę, jeśli nie ma tego, czego oczekuje, co go interesuje, ucieka. Tak na przykład młodzież ucieka w rock na niskim poziomie. Wiele szumu zrobił spektakl w Teatrze Wielkim, w którym występowała „Republika”. Pożądaniem na to widowisko i ogarnęło mnie przerażenie. Sirotna plastyczna tego spektaklu jest zrobiona tak bez gustu i smaku, że aż strach bliździ.

— Trzeba się zastanowić, czy zalew rocka w radiu i telewizji, a także na koncertach wziął się sam z siebie, czy nie był też wynikiem sytuacji, jaka powstała u nas na estradach, a także w radiu i w telewizji. Wiele zespołów, wielu piosenkarzy uprawiających inne gatunki twórczości nagłe straciło powodów politycznych zainteresowanie dla tego, co robili. Ich miejsce zajęli młodzi. Podobnie się to młodym słuchaczom i widzom. Sale koncertowe są pełne. Tak się zresztą dzieje i w innych krajach. Czy mamy zamiar na to czy? Udać, że tego nie ma?

M. KORWIN: — Ja mówię tylko o tym, że poziom tej muzyki jest niski.

E. SZUSTER: — Powstało takie przekonanie, że zainteresowanie rockiem jest podejrzane politycznie. A tym zjawiskiem trzeba zająć się poważnie. Skoro to się młodym podoba, to niech otrzymają muzykę na wysokim poziomie, a nie byle co.

H. KLUBA: — Sądzę, że nasze wewnętrzne zjawiska należy rozpatrywać w szerszym kontekście. Możemy narzekać na model naszej kultury masowej. Możemy nawet mówić, że jej nie ma w ogóle.

— Co byliby chyba przesda.

H. KLUBA: — Tak. Nasza kultura masowa, która zresztą próbujemy robić niesmiało i nieudolnie, jest poddana wpływom. Położenie Polski powoduje, że ściera się tu wpływy z Zachodu i Wschodu. I to nie od dziś. Mówimy, że jest inwazja rocka. Ale w takich rozmiarach jak u nas ta inwazja sięga tylko do Bugu. Pełniemy więc rolę swego rodzaju przekaźnika, ze Wschodu na Zachód i odwrotnie. Zatem i model naszej kultury jest tkany z różnych wpływów. Tak było i tak będzie.

— Jaka jest więc rola naszych twórców?

H. KLUBA: — Przede wszystkim bronić wartości narodowych naszej kultury, rozwijając je, pomnażać.

— Ale wracając do upowszechnienia kultury. To zastanawiam się, jaka tu jest, a jaka powinna być rola informacji. Byłem niedawno w Moskwie. Zdumiałem się, jaka tam jest znakomita informacja o tym, co dzieje się w życiu kulturalnym miasta. Na każdej stacji metra kioski, gdzie nie tylko można dowiedzieć się, co gdzie grają, ale i kupić bilet. Na kinach wielkie plandze o granym filmie.

CZY TYLKO INFORMACJA?

— W Łodzi powstaje Centrum Informacji Kulturalnej.

E. SZUSTER: — Domyślam się, że będzie to miejsce pracy paru ludzi, w które utopi się pare milionów złotych.

H. KLUBA: — Powstać coś takiego, ale zupełnie nie wiem co to ma być. Podejrzywam, że mało kto wie. Czy to będzie jakie miejsce, gdzie będzie się dzwonić, aby dowiedzieć, co się

— Czy to trochę nie wynika w ogóle z tego, co się dzieje w naszym życiu, z oczekiwań czytelników, którzy co tydzień za własne pieniądze już w ciągu jednego dnia wykupują i tak niewielki nakład pisma?

H. KLUBA: — Nie przeczę. Chciałbym natomiast powiedzieć, że wiele przyczyn, jakie tu wymienialiśmy są istotne i składają się na taką sytuację kultury, jaka teraz istnieje.

— Jakże jest więc wyjście?

H. KLUBA: — Potrzebna jest konkretna polityka kulturalna. To znaczy, że musi być precyzyjnie określone, jaka filozofia, jakie wartości polityka ta skłania jest upowszechniać. Powiedzieć, że socjalistyczne — to zbyt ogólne.

W. GARBOLIŃSKI: — Te polityki powinno określić państwo. Państwo — jak do tej pory — zajmuje się rozdzielaniem pieniędzy. To nie jest polityka. Daje się stypendia twórcom. Dobrze. Ale po pierwsze — trzeba popierać twórczość, dzieła a nie konkretne osoby, które są dobrze widziane. Po drugie jeśli już daje się pieniądze, to trzeba coś w zamian żądać. Najczęściej daje się pieniądze i niczego w zamian się nie żąda. Według mnie stypendia powinny być brzmia za dzieła, albo fundować warunki, w których dzieła te powstawałyby. A nie tylko gestem mecenasów wobec twórcy, i po trzecie — mecenas nie może traktować twórcy instrumentalnie. Widzieć go tylko i jedynie wtedy, gdy jest potrzebny do tej czy innej akcji politycznej.

E. SZUSTER: — Dopiero rok pracuje w komisji stypendiów przy prezydencie Miasta Łodzi i być może mam małe rozczepienie, ale do tej pory nie spotkałem się z żądaniem rozliczenia stypendiów, to znaczy z pytaniem, co dzięki temu powstało? To nie jest polityka kulturalna.

M. KORWIN: — Tesknota za polityką kulturalną to jedno a tesknota za „człowiekiem lokomotywa” — to drugie. Gdyby tak mogło to się połączyć.

— Kto to ma być ta „lokomotywa”?

M. KORWIN: — To taki człowiek, który dąży do tego, aby było dobrze, aby kultura się rozwijała, którą promokowałyby środowiska, twórców, miał niepokój i wywoływał potrzebę zmian, działania, ruchu.

H. KLUBA: — Dlaczego tylko jeden? Dałby radę?

M. KORWIN: — Gdy pracowałem we Wrocławiu w wydziale kultury pracował pan Sojta. On „doganiał” kulturę w mieście i robił to dobrze. O kulturze we Wrocławiu było głośno. Odszedł i zrobiło się cicho. Czasem wystarczą jeden człowiek, który wie czego chce i umie to osiągać.

E. SZUSTER: — To dobrze, że niekiedy nas stan kultury w Łodzi i nie tylko w Łodzi. Ale my ciągle traktujemy te kultury jak coś, co da się łatwo kształtować. A tak nie jest. Jest to długi i trudny proces. Właśnie proces. Chodzi zatem o to, aby zdawać sobie z tego sprawę i mieć świadomość, jak na ten proces wpływać. I nie oczekiwać wielkich zmian w krótkim czasie.

Dyskusję prowadziła i opracowała: BOGDA MADEJ



Wiesław Garboliński



Henryk Kluba



Maciej Korwin



Edward Szuster

Foto: Grzegorz Galasiński

Nie obyło się bez kłopotów

KRZYSZTOF BARANOWSKI

W kilka dni po wyzwoleniu Łodzi zjawił się tu dawny profesor Uniwersytetu Wileńskiego, Bolesław Wilanowski z pełnomocnictwem upoważniającym do zorganizowania wyższego szkolnictwa. W planach Bolesława Wilanowskiego leżało utworzenie wielowydziałowej uczelni, poluniwersytetu, który na wzór niektórych uczelni zachodnich składałby się zarówno z wydziałów politechnicznych, uniwersyteckich, ekonomicznych, rolniczych, artystycznych itp. Projekty te napotykały jednak na bardzo poważne opory ze strony dawnego rektora Wolnej Wszechnicy Polskiej Teodora Viewegera, a także ze strony znacznej części środowiska technicznego. Dlatego też już w pierwszych dniach marca 1945 r. Rada Miejska wystąpiła z apelem do najwyższych władz o wydanie aktów erekcyjnych zarówno dla politechniki, jak i osobno dla uniwersytetu. Ponieważ w Ministerstwie Oświaty wciąż otwarta była sprawa wyższego szkolnictwa stolicy, przybył do Łodzi 11 marca minister Stanisław Skrzyszewski, na specjalnej konferencji poinformował miejscowe społeczeństwo o zamiarze ulokowania w tym mieście tymczasowo kilku wydziałów Politechniki Warszawskiej.

POMYŚL, KTÓRY NIE WZBUDZIŁ UZNANIA

W kilka dni później minister Stanisław Skrzyszewski mianował inż. Władysława Kuczewskiego pełnomocnikiem władz dla reaktywowania Politechniki Warszawskiej, której siedziba miała być Łódź. Na skutek panującego wówczas chaosu zapomniano o tej decyzji i zawiadomienie profesora Wilanowskiego, który nadal zajmował się sprawami utworzenia wydziałów politechnicznych. Doszło więc do przewrótów i incydentów, gdy w biurze jednego z dostojników miejskich spotkali się zaledwie te same sprawy prof. Bolesław Wilanowski i przysiany tu delegat rektora inż. Władysława Kuczewskiego.

Władysław Kuczewski z całą energią zabrał się do prac nad przeniesieniem do Łodzi Wydziału Elektryczno-Mechanicznego oraz utworzeniem Wydziałów Inżynierii i Architektury. Szereg innych wydziałów miało być przeniesionych do Łodzi jesienią 1945 roku. Wykonano już urzędową pieczęć z napisem „Politechnika Warszawska z tymczasową siedzibą w Łodzi”. Projekty Władysława Kuczewskiego napotykały jednak na ostry sprzeciw ze strony warszawskiej profesury tej uczelni. Dlatego też, gdy 4 kwietnia 1945 r. referował on sprawę przeniesienia uczelni do Łodzi, obrzynała większość profesorów zdecydowanie wystąpiła przeciwko temu.

Również w Łodzi koncepcja ulokowania tutaj przejściowo kilku wydziałów Politechniki Warszawskiej nie wzbudziła zbytniego zachwytu. Coraz częściej zaczęto myśleć o stworzeniu zupełnie odrębnej Politechniki Łódzkiej. Dlatego też, gdy rektor Władysław Kuczewski 8 kwietnia 1945 r. przybył do Łodzi spotkał się z mało entuzjastycznym przyjęciem. Zresztą i sam Kuczewski, zdając sobie sprawę ze znacznych oporów ze strony warszawskiej profesury, znacznie ostygł w swym entuzjazmie co do tymczasowego przeniesienia stołecznej politechniki do Łodzi. Na wspólnej konferencji w Zarządzie Miejskim w Łodzi ustalono więc, że przy poparciu Politechniki Warszawskiej zorganizowana będzie w tym mieście nowa uczelnia techniczna, dla której miasto miało przydzielić odpowiednią liczbę budynków dla celów badawczych i dydaktycznych oraz mieszkań dla osiedlających się w Łodzi profesorów.

To kompromisowe rozwiązanie spotkało się z ostrym sprzeciwem ze strony ministra Stanisława Skrzyszewskiego, który poczuł się tym dotknięty. Miał on wówczas jakoby wypowiedzieć się, że zdecydowanie nie zgodził się na powołanie w Łodzi odrębnej uczelni. Powoli jednak jego niektórzy najbliżsi współpracownicy, jak również

i profesorowie warszawskiej uczelni zaczęli go coraz bardziej przekonywać do projektu pozostawienia w stolicy Politechniki Warszawskiej, a utworzenia w Łodzi zupełnie nowej i odrębnej uczelni technicznej.

W Ministerstwie Oświaty następowały powoli zmiany poglądów.

DECYZJE PRZYCHODZIŁY Z TRUDEM

W sferach ministerialnych zaczęto się zastanawiać, co do osoby przyszłego rektora Politechniki Łódzkiej. Po przeprowadzeniu szeregu konsultacji zdecydowano się na osobę dotychczasowego profesora Politechniki Warszawskiej Bohdana Stefanowskiego. W ostatnim momencie przed podpisaniem nominacji minister Stanisław Skrzyszewski wystąpił z nowym projektem. Obojętnie Politechnice Warszawskiej doszło do poważnych sporów między energicznym i nazbyt arbitralnym rektorem Władysławem Kuczewskim a miejscową profesurą. W ministerstwie powzięto wówczas decyzję o przesunięciu Kuczewskiego na inne stanowisko. Niespodziewanie minister Skrzyszewski zdecydował się na mianowanie go rektorem-organizatorem Politechniki Łódzkiej. Zarówno jednak wiceminister Władysław Biedkowski, jak i inni dostojnicy ministerstwa zwrócili wówczas uwagę Skrzyszewskiemu, że decyzja jego obrazi nie tylko Bohdana Stefanowskiego, z którym odbyło już decydujące rozprawienie, ale również i szereg innych osób. Z wielkim trudem udało się im przekonać ministra, aby zrezygnował z tego projektu. Nominacja dla Bohdana Stefanowskiego została podpisana, natomiast Władysław Kuczewski trochę później mianowany został rektorem-organizatorem Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Formalnie Politechnika Łódzka utworzona została dekretem z tego samego dnia co i Uniwersytet Łódzki, a mianowicie datowanym 24 maja 1945 r. Bardzo często jednak za datę

jej powstania uważa się dzień 8 maja 1945 roku, w którym Bohdan Stefanowski przybył do Łodzi i od razu rozpoczął energiczną akcję mającą na celu utworzenie nowej uczelni.

REKTOR I INNI

Osoba rektora Bohdana Stefanowskiego bardzo różnie była oceniana przez ludzi, którzy z nim współpracowali. Był on uczonym o niespożytej wprost energii, który cały swój czas poświęcał dla spraw związanych z organizacją przez siebie uczelni. Jednocześnie nie posiadał on dyplomatycznych talentów, a pewne sprawy przecinał w sposób ostry i zdecydowany, niekiedy mało taktowny. Z tych też przyczyn czasem najzupełniej niepotrzebnie zrażał sobie ludzi lub też wchodził w nieistotne konflikty.

Obok Bohdana Stefanowskiego obrzymiły zasługi dla rozwoju Politechniki Łódzkiej położył jej pierwszy prorektor, a z kolei drugi po Stefanowskim rektor tej uczelni, przedwojenny profesor chemii Uniwersytetu Warszawskiego, Osman Achmatowicz.

Od początku organizowania Politechniki w Łodzi napotymano na bardzo poważne trudności. Po pierwsze — potrzebne były do tego odpowiednie budynki. W trudnych warunkach pierwszych powojennych lat budowa nowych gmachów dla tej uczelni była prawie niemożliwa. Należało więc myśleć o zaadaptowaniu dla tych celów starych budynków fabrycznych. Nowo powstającej uczelni udało się uzyskać znaczne zaplecze przemysłowe na terenie leżącym między ulicami Zromskiego, Radwańska (obecnie Karola Świerczewskiego), Gdańska i Żwirki. Już w maju 1945 r. rozpoczęły się pierwsze prace nad przystosowaniem niektórych fabrycznych budynków dla celów wyższej uczelni technicznej. W ciągu 1946 i 1947 r. szereg gmachów zostało zaadaptowanych dla potrzeb Politechniki. A również i w latach następnych szły dalsze prace adaptacyjne. W ciągu kilku lat uczelnia zyskała odpowiednie pomieszczenia potrzebne zarówno do prac badawczych, jak i działalności dydaktycznej. Dzieki energii prorektora Osmana Achmatowicza oraz bliskich jego współpracowników udało się uzyskać odpowiednią liczbę mie-

szkań dla profesorów oraz innych wykwalifikowanych pracowników tej uczelni.

POKONYWANIE PRZESZKOD

Bardzo trudnym i skomplikowanym problemem było pozyskanie dla nowo powstałej uczelni odpowiedniej aparatury badawczej. Częściowo udało się ją uzyskać przez zakupy zarówno w kraju, jak i za granicą. Często otrzymywano ją jako dary od różnych instytucji przemysłowych.

Najtrudniejszym problemem, jaki stanął przed nową uczelnią techniczną, był brak odpowiedniej kadry. Brak było nie tylko wykwalifikowanych profesorów, którzy by mogli pokierować katedrami, ale również kandydatów na stanowiska pomocniczych pracowników z zakresu przedmiotów technicznych. Wielu zdolnych ludzi zabrał przemysł, tworząc dla nich dogodne warunki pracy i oferując znacznie wyższe wynagrodzenie niż to mogły uczynić wyższe uczelnie.

Dlatego też z bardzo dużym uznaniem odnieść się trzeba do działalności rektora Bohdana Stefanowskiego, prorektora Osmana Achmatowicza oraz szeregu ich najbliższych współpracowników, którzy zabiegali o ścisłą współpracę do Łodzi najlepszej kadry naukowej, jaką można było pozyskać w tamtych latach. Nie wszyscy kierownicy katedr reprezentowali najwyższą wiedzę fachową, niektórzy z nich byli tylko dobrymi praktykami bez odpowiedniego dorobku naukowego. Mimo to udało się zapewnić uczelni niezbędną kadry profesorską, a także zdolnych pracowników pomocniczych, z których wyrosła kadra profesorska reprezentująca bardzo wysoki poziom fachowy.

Politechnika Łódzka odczuwała w bardzo poważny sposób bliskość o wiele bardziej atrakcyjnej Warszawy, do której przeniosła się pewna liczba profesorów o najwyższych kwalifikacjach.

TAKI BYŁ POCZĄTEK

Początkowo, na Politechnice Łódzkiej istniały trzy wydziały, a mianowicie Elektryczny, Chemiczny oraz Mechaniczny z Oddziałem Włókienniczym. Od września 1947 r. dotychczasowy

Oddział Włókienniczy został przemianowany na nowy Wydział Włókienniczy. A wreszcie od września 1950 r. utworzony został piąty Wydział Chemii Spożywczej.

W pierwszych latach istnienia Politechniki Łódzkiej nie była uczelnia zbyt duża. Na początku roku akademickiego 1945/46 studiowało na niej niewiele więcej niż tysiąc studentów. Dopiero na początku roku 1949/50 liczba ich wzrosła do blisko dwóch tysięcy. Bardzo szybko jednak nastąpił wzrost liczby studentów w następnych latach i już na początku roku 1955/56 liczyła ona około sześciu tysięcy studentów. Była to uczelnia o wyraźnie „męskim” charakterze. Tak np. w roku 1946/47 mężczyzn było wśród studentów przeszło 91 procent. Przez następny szereg lat liczba ich wynosiła również około 90 procent. Dopiero znacznie później, a mianowicie w połowie lat pięćdziesiątych, spadła ona do mniej więcej 80 procent.

W pierwszych latach istnienia Politechniki Łódzkiej — zarówno na niej, jak i na wszystkich tego typu uczelniach, utrzymywał się system czteroletni, który zresztą praktycznie przeciągał się bardzo często na pięć, sześć lub nawet i siedem lat. Po zaliczeniu odpowiednich wykładów i ćwiczeń oraz zdaniu odpowiednich egzaminów absolwenci tych studiów otrzymywali stopnie inżynierów dyplomowanych. Od stycznia 1948 r. na uczelniach technicznych zostały wprowadzone studia dwustopniowe. Studia inżynierskie wraz z praktyką trwały przez trzy i pół roku, a później przez cztery lata. Absolwenci ich otrzymywali stopnie inżynierów. Następnie zaś mieli prawo kierować się na dwuletnie studia magisterskie. Ten dwustopniowy system obowiązywał tylko do 1954 r. Wówczas zaś zamieniony został na studia pięcioletnie, a ich absolwenci otrzymywali stopnie magistrów inżynierów. Ze względu na zbyt trudne studia w pierwszych latach istnienia Politechniki Łódzkiej liczba jej absolwentów nie była duża.

Mimo tego, że Politechnika Łódzka była w Łodzi uczelnią zupełnie nową, bardzo szybko poczęła ona odgrywać w życiu miasta poważną i istotną rolę.

„Chociaż goło, lecz wesoło”

ADAM BIENKOWSKI

4. Praca „Bratniaka” żywo interesował się rektor UŁ profesor Tadeusz Kotarbiński. Z taką samą energią walczył o zdobycie pomocy naukowych dla pracowni, jak i matercy dla akademików, żywności dla stolówek i leków do zorganizowanej w Polsce Akademickiej Przychodni Lekarskiej, znakomicie zresztą wyposażonej.

Pewnego dnia, gdy jedliśmy z Julianem Pelcem obiad w „Gesiaku” dosiadał się prezes „BP” Antek Rajkiewicz (obecnie profesor UW), były minister pracy, piacy i spraw socjalnych.

— Dobrze koledzy, że was trafili! Jutro mam się zameldować u „dziadka” w rektoracie, podobno jest jakaś draka u dziewczyn w „Jedynce”.

„Jedynka” to był I Żeński Dom Akademicki, przy al. Kościuski 17.

— Dobrze Antos — odpowiedzieliśmy — ale po co my tam potrzebni?

— Nie ma wiceprezesa, a powinna być delegacja. Pasujecie. Julek wygląda jak prawdziwy syn malarzowskiego chłopca, a Adam jak niedożywiony inteligent-gruzlik.

Następnego dnia zameldowaliśmy się w rektoracie przy ul. Narutowicza. Jego Magnificencja serdecznie się z nami przywitał i od razu przystąpił do rzeczy.

— Proszę, przeczytajcie ten list.

Podał nam epistołę napisaną na sześciu stronach prośbego papieru. Była to skarga pracownika, starszego urzędnika Narodowego Banku Polskiego, znajdującego się dokładnie vis a vis żeńskiego akademika przy al. Kościuski. Panie skarżyły się, że od pewnego czasu ich koledzy, i to nawet poważni ojcowie rodzin, codziennie biorą nadgodziny i do późnego wieczora siedzą w banku. Dzięki temu NBP Oddział I nie ma zupełnie załogi i zajmuje czołowe miejsce w kraju, ale te nadgodziny to skutek niernormalnego prowadzenia się studentek z pracownikami.

Jak zapadł zmrok — pisały — zapalają światła w pokojach, biegają w dezablu, a co gorsza zakładając nocne koszule rozbiierają się do naga! Same to widzieliśmy! Takie młode a

już reputel! Rektorze — apelowały — sprowadź swoje studentki na drogę cnoty!

Pod pismem kilkanaście podpisów.

Zrobiło się głucho i... śmieśnie. Jego Magnificencja przerwał milczenie:

— Drodzy koledzy, mam do was poważną pretensję. Wiecie przecież, że zawsze możecie liczyć na finansową pomoc uczelni. Od dawna powinni być tam założone franki i zastony. Rozmawiałem już z kwesturą, odbierzcie pieniądze i jak najszybciej kupcie firanki do wszystkich akademików.

Prof. dr Tadeusz Kotarbiński był dla studentów wzorem człowieka uczelnianego. Prawdopodobnie, godność, tolerancja — tego uczył nas na co dzień. Pozostawił po sobie nie tylko naukowe dzieła, lecz i naśladowców, godnych uczniów.

5. Profesorowie UŁ, zwłaszcza pierwszych lat, stanowili bogaty przegląd indywidualności naukowych, charakterów, postaw, czasem odbiegających od przyjętych norm, a jakże bliskich studentom. Im większy był dziwak, tym bardziej lubiany przez młodzież. Sam się łapie na tym, że gdy mi dziś smutno, wspominam tamte czasy, anegdota o naszych pedagogach, rozróby, od których my młodzi nie stroniśmy, kawały, które sobie nawzajem robiliśmy. Trudno wtedy nie uśmiechnąć się!

Postrachem studentów prawa był profesor zwyczajny Ludwik Domański — wykładowca prawa cywilnego. Był to cywilista o europejskiej sławie, znakomity pedagog, ale już starszy i do tego samotnik. Studentów traktował jak stado baranów, którym wiedzę trzeba łąpać kłosem do łba. Egzaminował w mieszkaniu przy zbiegu ulic Tramwajowej i Narutowicza. Mieszkał na parterze. Egzaminu przypadła na koniec maja lub w czerwcu i okno od pokoju profesora zawsze było otwarte. Od siódmej rano przed oknem pedagoga czekało kilku delikwentów na egzamin. W kilka minut po siódmej ukazywał się w oknie profesor w szlafroku i... w ręku butelkę na mleko mówił:

— Niech no tam który skoczy po mleko, rogaliki i pół paczki masła.

Największą sztuką było złapać siatkę i dokonać zakupów! Kto to zrobił, pierwszy przystępował do egzaminu. Wydawało mu się, że będzie miał fory. Była to nieprawda. Prof. Domański do siedmiu potów wyciskał biednych studentów. Do tego deprymował biedaka wtrącając uwagi jak:

— Ale pan głupio gada, gdzie pan przeczytał te idiotyzmy?

Czasem łapał za indeks i wyrzucał go za okno.

6. Wielu profesorów miało jakieś „ptaszki”, czyli „odchylki” od normy. Przejawiało to się u każdego inaczej, ale nie razito, wręcz odwrotnie, im kto miał większą „ptaszka” tym bardziej był lubiany i anegdota o nim krążyły po całej uczelni.

Profesor Jan Namitkiewicz — specjalista od międzynarodowego prawa prywatnego — miał zwyczaj egzaminowania u siebie w domu w pałacyku przy ul. Gdańskiej. Mieszkał tam z młodszą od siebie o trzydzieści parę lat żoną i sześciolatnim synkiem, rudym weneckim półdiabłem. W czasie egzaminu wpadał co parę minut ten najmłodszy Namitkiewicz, wywalał język, lub pokazując poczęm się studentowi znany ruch ręki, wykrykiwał:

— O, tyle zdasz, gównu umiesz!

Tata był zachwycony inteligencją synka i komentował:

— Nie masz racji synku, pan to umie, tylko zapomina!

No i szczęśliwie kończyło się trójka, ale później jeszcze trzeba było podyskutować, jakie to dziś są inteligentne dzieci.

Największym dziwakiem był profesor Józef Jurczyński — wykładowca antropogeografii Polski. Nie egzaminował na uczelni, ani w domu, lecz wyłącznie na skwerku placu im. Dąbrowskiego. Miał tam swoją ławkę, jak kropki deszczu to brał delikwenta pod parasol i chodził po alejkach. Był to człowiek o głębokim sercu, nikomu nie postawił dwójki. Egzamin zaczął od pytania, gdzie pan pracuje? I z tej branży pytał. Każdy był na to przygotowany i wymyślał sobie takie miejsce pracy, z czego był najlepiej przygotowany. Co drugi był więc referentem w Centrali Mieczarskiej lub Tekstylnej. Wielu łapało się za przemyśl węglowy. Przynałem się, że jestem dziennikarzem. Liczyłem, że zapyta o ilość pism w Polsce, struktury wydawnictw itp. Trochę się zdziwiłem, gdy zapytał:

— Co to jest papierówka?

Papierówka — powiedziałem — wczesna odmiana jabłka, bardzo smaczna.

— Nie proszę pana, to specjalna odmiana

sosny przeznaczona na celulozę, z której powstaje papier rotacyjny. No, ale dla dziennikarza nie papier najważniejszy, lecz to co na nim drukuje.

Bożyszczem naszych koleżanek był profesor Borys Łapicki — kierownik katedry prawa rzymskiego. Ten starszy, szpakowaty pan był zawsze nienagannie ubrany, a z dala można go było poznać po sztywnym szarym kapeluszu typu „eden”. W stosunku do pań zawsze dżentelmeński, ale na egzaminie niezwykle wymagający. Był to chyba najtrudniejszy egzamin na prawie i dopiero ten, kto go zaliczył, mógł powiedzieć, że jest studentem tego wydziału. Wiele naszych koleżanek i kolegów nie przeskoczyło tego progu.

W jego gabinecie, na biurku, stała fotografia syna Andrzeja. Wiedzieliśmy, że bardzo go kocha, ale ma jednocześnie żal, że jednak nie poświęcił się naukowej karierze prawniczej, a został aktorem. Jeśli ktoś na egzaminie plótł bzdury, to wyganiał go z gabinetu. Przed tym jednak pokazywał na fotografię syna i przestępował.

— Jeśli pan się nie weźmie do rzetelnej nauki, to skończy pan tak jak mój syn — zostanie pan aktorem!

Bodaj że w 1947 r. „kawalarzem” roku został okrzyknięty prof. dr Wacław Fabierkiewicz Kierownik katedry ekonomii politycznej. Był miłośnikiem i fanatykiem teorii ekonomicznej Johna Keynesa, Anglika, który położył podwaliny pod nową ekonomię kapitalizmu. Po to, by zaliczyć u niego egzamin, trzeba było na pamięć znać teorię pieniądza, interwencjonizm państwowy itp. Pewnego dnia stał się u niego na egzamin kolega, który studiował w Lublinie, a teraz przeniósł się do Łodzi. Oczywiście otrzymał pytanie o Keynesie. Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, bo Anglik nie był w tak wysokiej estymie u lubelskich profesorów. Przyparty do muru oświadczył, że Keynes to uczeń Marksa! Prof. Fabierkiewicz przez chwilę zaniemógł, potem zerwał się z fotela, wyskoczył na korytarz i krzyknął:

— Panie Makowski! Szybko do mnie!

Pan Makowski był seniorem wydziałowych woźnych. Gdy przydreptał, profesor zadysponował:

— Przynieś pan szybko drabinkę!

Chwycił przyniesioną drabinkę, przystawił do ściany, wszedł i przykładając dwa palce do krzyża zawołał:

— Panie Makowski! Znasz pan mnie z Wilna. Przysięgam na ten krucyfiks, że jeszcze takiego idioty nie miałem na egzaminie!

C.D.N.

cownicy administracji, oddziału wykazalni oraz ich rodziny. Często chorują dzieci. Zaczęła potrzebować podawania antybiotyków. Pogotowie wzywane jest tylko dwukrotnie, w szpitalach przebywa osiem osób, ale przychodnie lekarskie donoszą o wyraźnym spadku zgłoszeń. Wydaje się, że sytuacja została opanowana.

Sanepid ogłasza wyniki dochodzenia: źródłem masowego zatrucia jest mięso wołowe zakażone pałeczkowatymi bakteriami salmonelli, której nosicielem mogły być insekty, gryzonie lub osoby stykające się z mięsem — prawdopodobnie podczas przerabiania go na befsztyki. Stołówka „Pamotexu” poddawana sa szczegółowej kontroli, a ich pracownicy przechodzą badania. Mimo wyraźnych oznak słabnięcia fali zatrucia, doświadczeni lekarze przestrzegają przed zbyt optymistycznym Wydarzenia dnia następnego potwierdza ich obawy.

3 maja mieszkańcy Pabianic wiedzą już co było przyczyną masowego zatrucia, a mimo to... A mimo to służba zdrowia, szczególnie w godzinach popołudniowych, udziela pomocy kolejnym poszkodowanym z ewidentnymi oznakami ostrego nieżyty żołądka. Lekarze mają sześćdziesiąt siedmiu nowych pacjentów, karetka pogotowia odwoła dwoje z nich do szpitala w Łodzi. Łączna liczba chorych z objawami zatrucia dochodzi do prawie dwustu pięćdziesięciu osób.

Sytuacja, którą przewidzieli doświadczeni lekarze, ma bezpośredni związek z... imieniem Stanisława. Słusznie przy-

puszczano, że w niektórych domach drogocenny tatar będzie przechowywany z myślą o ozdobienu biesiadnego stołu. Nadzieje, iż alkohol skutecznie zabija wszelkie bakteryjne świństwa okazały się błonne...

9 maja w szpitalach przebywa piętnaście osób. Terenowa Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna podejmuje decyzję o zamknięciu centralnej stołówki „Pamotexu”. Trwała zabieg sanitarna i badania personelu kuchni.

Do pewnych kręgów społeczeństwa dociera „przeciwi”, jakoby kierownictwo fabryki skłonne było przyznać poszkodowanym stu procentowe zasiłki chorobowe. Niestety, szczegółowe badania wykluczają możliwość symulowania zatrucia. Niebezpieczeństwo jest praktycznie zażegnane.

A tymczasem, jak zwykle niebawale aktywne środowisko jarmarczno - kolejkowo - maglowe kipi wprost sensacyjnymi doniesieniami. Jedna wersja głosi, że ludzie padają nieczymy muchy po azotokwie, a ich zwłoki wywozi się do Łodzi, żeby cichcem spalić je razem z paszurdną chorobą. Druga wersja głosi, że w drukarni nie mogą nadać z nekrologami, bo epidemia zabiera całe rodziny — bezbożników w pierwszej kolejności. Trzecia wersja głosi, że... Nie ma jedynie wątpliwości co do tego, że nieszczone mięso było stare, śmierzdzące i wylazło z niego robale. Sanepid jest innego zdania.

Dochodzenie pozwala ustalić, że wołowina przeznaczona dla przyzakładowej kuchni pochodziła z rzeźni w Łodzi i via zakłady mięsne w Pabianicach trafiła do „Pamotexu”. Dostawa opiewała na sto kilogramów, była fakturowana jako mięso świeże. „Pamotex” posiada własny samochód-chłodni.

którym wołowinę przetransportowano do magazynu stołówki. Czynności tych dokonano 30 kwietnia br. Dwa dni później zaraz po majowym święcie kierowniczka stołówki natchniona apetycznym wyglądem mięsa postanowiła nadać mu postać smakowitego tataru. Tak też się stało. Z czterdziestu kilogramów wołowiny, cebuli, jaj i oliwy uzyskano prawie pięćdziesiąt kilogramów potrawy. Przerobem zajęli się dwaj pracownicy kuchni legitymujący się stosownymi uprawnieniami oraz

sób wystąpiły lekkie zaburzenia: bóle głowy, brzucha, podwyższona temperatura, skutecznie likwidowane przy pomocy domowej apteczki.

Ci zaś, którzy chomikowali tatar, żeby wzbogacić nim niedzielne „wielkie żarcie” albo wystawić go dopiero na imieninowy stół, zapłacili cenę braku elementarnej wyobraźni. Nawet gdyby mięso nie było zakażone, spożywanie go po tak długim okresie przechowywania powinno skończyć się żołądkowymi sensacjami.

W szczelinach i zakamarkach takich budowli kryją się zwykle hordy dzikich lokatorów: myszy, szczurów i prusaków, które tylko czekają na gwałtownie światła. One to prawdopodobnie dopadły świeżej wołowiny zanieczyszczając ją odchodami zawierającymi pałeczki salmonelli. Bakterie te niezwykle szybko rozmnażają się w warunkach tlenowych, szczególnie na pożywce z surowego mięsa. Skala zatrucia zdaje się potwierdzać zadziałanie takiego scenariusza.

Przy okazji kontroli okazało się, że kuchnia „Pamotexu” nie ma zgody władz sanitarnych na przyrządzanie w niej niektórych wyrobów garnażeryjnych, w tym befsztyków tatarskich. Młoda kierowniczka stołówki zaprzeczyła jakoby świadomie łamała przepisy. W dokumentach kuchni odnaleziono stosowny zakaz wydany przed kilkoma laty. Mimo istnienia zakazu, tatara przyrządzano i rozprowadzono tu co najmniej pięćdziesiąt razy.

Fabryczna stołówka „Pamotexu” wydaje siedemset obiadów dziennie, śniadania i zupy regeneracyjne. Na jej zapleczu produkuje się wyroby garnażeryjne, głównie salceson i kaszankę, sprzedawane potem w bufetach zakładowych. Jednym z podstawowych składników dań jest mięso. Wierprzowina „Pamotex” ma własną, jako że na terenie zakładu mieści się i znakomicie prosperuje chlewnia na ponad sto tuczników. Mięso wołowe i drób dostarczane są z zewnątrz. Dzieł własnej bazy zaopatrzeniowej, tylko jeden raz w tygodniu kuchnia serwuje obiady bezmięsne. Na zapleczu stołówki pracuje dwóch rzeźników, a efekty ich pracy kierowane są także do kuchni przedszkola, żłobka i ośrodka

wypoczynkowego. Wszystko to odbywa się w delikatnie mówiąc, nie najlepszych warunkach sanitarnych. Logicznie rzecz biorąc należało się spodziewać takiego finału.

Po zamknięciu stołówki kierownictwo „Pamotexu” stanęło wobec problemu, jak zorganizować obiady dla prawie siedmiuset pracowników. Z pomocą przyszły stołówki sąsiednich zakładów oraz gastronomia miejska.

Nie wiadomo, jak długo potrafa zamknięcie fabrycznej stołówki i czy przeprowadzone w niej zabiegi dadzą Sanepidowi podstawy do cofnięcia decyzji. Władze Sanepidu mocno powatpiwiają w skuteczność czynności doraźnych i kosmetycznych.

Kiedy salmonella była już w odwrocie, kwitła wymiana ustnych informacji.

— Moja złociutka, toż te dranie siekały szczurze mięso i zapaskudzały nim kiebasę!

— Coś podobnego! A nie mówiłam, że świniny nie nastarcza, taki naród żarty na mięso. Tfu, bandyci jedni — żeby ich poskrecało za nasze krzywdy.

— Nie ma rady, złociutka, trza odkarmić swojego świniaka w komórkę i zaszlachtować go na święta. Jutro wyśle starego na rynek...

Nieszczęście wszelako najlepszą jest pożywką dla płotki — lepszą znacznie niż surowa wołowina dla salmonelli. Tego dnia ogniki przed garnażeryjnymi sklepami były jakby trochę krótsze...

ROMAN KUBIAK

Pyszny tatar

aktualnymi badaniami lekarskimi. Nazajutrz tataru podzielono na trzy części i rozdysponowano do trzech zakładowych bufetów. Popyt niechybnie zmniejszyłby podaż, lecz doświadczone bufetowe ze stoickim spokojem dzieliły równo: po trzydziestu dekagramów mięsa na głowę. Na czele ogonka stanęła administracja. Kilka minut później apetyczna woń była jedynym wspomnieniem po tatarze. Był piątek, 3 maja.

Ci, którzy skonsumowali tataru jeszcze tego samego dnia postąpili rozsądnie, albowiem potrawa ta charakteryzuje się wyjątkowo krótkim terminem przydatności do spożycia. Dzięki temu śladowe zakażenie mięsa nie zdążyło rozprzestrzenić się w jego masie. Tyko u kilku o-

W niedzielę, 5 maja pierwsi poszkodowani znaleźli się w szpitalach. Wiele osób sadiło, że ich żołądkowe kłopoty są jedynie następstwem przejedzenia, przepicia lub zdemerowania, toteż wizyte u lekarza odkładano na czas nieokreślony. W poniedziałek interwencja lekarska była już niezbędna.

Sprawnie działający Sanepid zbadał wyecinek pozostałej części wołowiny nadal przechowywanej w chłodni „Pamotexu”. Mięso było zdadne do konsumpcji, natomiast poważne zastrzeżenia budziły miejsce i sposób jego przechowywania. Stołówka i kuchnia zakładowa mieszczą się bowiem w starych budynkach, świetnie pamiętających czasy niemieckich fabrykantów.

Byli to jeszcze większy naiwniak niż Drecki. Patrząc marzycielskim okiem bazarza, najwidoczniej szarobielskiej władzy taką oto przypowieść:

— Pewnego razu przyszedł do mnie szwagrosz, niejaki Jan Powalski. Pokazał mi książeczkę czekową i rzucił propozycję nie do odrzucenia: „Ja wypiszę, ty wypłacisz i masz swój warsztat”. Odpartem taktownie, że nie mogę puścić się na taki numer, bo dopiero co wyszedłem z zakładu karnego. Szwagier jednak kusił, nalegał i tak białamuch, że z rozpaczy zaprowadziłem go do H. Dreckiego. No i ci dwaj z miejsca się dogadali. Wtedy Powalski zapytał, czy nie chciałbym sobie trochę pojeździć. Ano, czemu nie? Jak do różnych miast, to chętnie...

— Wyście, Oleśko, są miłośnikami turystyki, tak?

— Broń Boże, panie władzo! Ja jestem człowiekiem pracy. Owszem, lubię zwiedzać ziemię ojczyzną, ale w tym wypadku chodziło o to, że chciałem się usamodzielnić i otworzyć prywatny zakład poza siecią PSS. W związku z tym musiałem sobie nakupić różnych elementów do reperacji parasolek. Jak tamci załatwiali swoje sprawy na poczcie, ja łaziłem po sklepach z częściami w Kaliszu, Sieradzu lub w Kutnie i kupowałem, co trzeba. Raz tylko coś nam nie wyszło...

— W sklepie czy na poczcie?

— Na ulicy, panie władzo. W Zduńskiej Woli zepsuła się syrenka i musieliśmy wracać do Łodzi taryfą. A w syrence to ja zawsze siedziałem z tyłu i nie przysłuchiwałem się rozmowom, jakie prowadzili szwagier z Dreckim, bo miałem na głowie warsztat.

— I o czekach nic nie wiecie, rzecz jasna?

— Owszem, widziałem, kiedyś, jak Powalski wypiekał na kolanie jakiś papier, ale nigdy nie rozmawiałem z nim na ten temat. A o żadnym podziale pieniędzy w tydzień nie słyszałem.

Przybliżony do muru Drecki walał się po kuli w pierś i wyznał ze skrucha:

— Moja wina, towarzyszu poruczniku! Tak, wziąłem „działkę” w kwocie 23 tys. ale wyleciała mi z głowy, bo natychmiast wszystko przepuściłem ze swoją chorowitą konkubina. Bo w kryzysie leczenie też kosztuje...

Szwagier Jan Powalski nie miał w kartoteczce żadnego poważnego czeku. Młodość przemawiała za jego niewinnością. Młodość za przyszłość narodu, uczy się na błędach i szczerze wyznaje skrucie.

Przyznaje się do winy, ponieważ jestem dwudziestotrzyletnim bezdzietnym żonkiem — oznajmił z logiką debila w stanie wolnym. Pracowałem w „Centrału” jako ślusarz precyzyjny przy dorabianiu kluczy. No i pewnego razu, jak byłem jeszcze kawalerem, wychodząc z pracy znalazłem na parkingu brązową szaszetkę. Wrzuciłem ją do torby, pojechałem do domu, położyłem na półce w bibliotece i o wszystkim zapomniałem.

Kiedy agent Jan Malisz usłyszał, co zapodaje Powalski, ponownie wpadł w furję, ale milicja zastopowała go delikatnie, żeby sobie nie zrobił krzywdy. Ochłonawszy ze wzburzenia, jeszcze raz złożył dokładne wyjaśnienie w tej sprawie. Pamiętam dobrze, iż robiąc zakupy przy stoisku „Cepelli” postawiłem torbę na ladzie. Torba była obwarta, na wierzchu leżała szaszetka. Potem poszedłem na parking. Jedną ręką otwierałem drzwi volkswagena, w drugiej trzymałem torbę, ale tak, że szaszetka nie mogła

wypaść. Postawiłem torbę na tylnym siedzeniu i pojechałem do domu. No i dopiero tam stwierdziłem brak szaszetki. Oprócz kilku dokumentów były w niej m.in. feralna książeczka czekowa, dowód osobisty, dziesięć tysięcy złotych, prawo jazdy oraz japoński kalkulator kieszkowy marki „Casio”.

No cóż, nie można stwierdzić jednoznacznie, że Powalski ukradł szaszetkę z torby Malisza. Pozostaje jednak faktem bezspornym, że ją sobie przywłaszczyl. Padło więc niewinne milicyjne pytanie, czy on na zawsze zapomniał o tej szaszetce.

— No, nie na zawsze — odparł ze wstydem. — Najpierw zapomniałem, ponieważ miałem się żenić i włączyć myślałem o mojej spragnionej miłości narzeczonej i o przyszłym szczęściu rodzinnym. Ale w dzisiejszych czasach każda przyjemność kosztuje, za wszystko trzeba płacić. Drepcząca myśl o forsie na wesela przypomniała mi o szaszetce. Najpierw wziąłem dwa tysiące, potem resztę. Następnie pojechałem robić zakupy ślubne. Przed wyjazdem do Warszawy strzeżliło mi do łba, żeby zabrać z biblioteki jedną książeczkę, właśnie czekową. W ten sposób moglbym załatwić wesele na okaziciela.

Okazało się, że Powalski mógł sobie również załatwić żonę na okaziciela. Zaczepiwszy na ulicy przechodnia, zwierzył mi się z miłą nieszczerliwego kochanka, że właśnie się żeni i chce zrobić zakupy, ale z tej miłości i ogromnego wzruszenia zapomniał dokumentów. Gdyby więc on wypełnił czek, to czy przechodzień nie byłby tak uprzejmy i nie pobral pieniędzy na swój dowód osobisty. Człowiek był uprzejmy, załatwił to od ręki na poczcie i Powalski wrócił do Łodzi z butami i garniturem ślubnym. Wówczas pomyślał z radością, że jak dobrze pójdzie, to załatwi na okaziciela nie tylko księżkę, taksówkę i wódkę weselną, ale i, co za tym idzie, także żonę.

Podczas malej przedślubnej stypy, zwanej pofocnie nocą kawalerską, pijany dorabiacz kluczy zwierzył się przyszłemu szwagrowi, że ma do zrealizowania książeczkę czekową. Pomysłowy Oleśko natychmiast zorientował Henia Dreckiego z dowodem osobistym i wyruszył w podróż przedślubną po urzędach pocztowych. Pracował zwykle przez dwa dni, w różnych miejscowościach, ale w pewnych odstępnach czasu — pod koniec i na początku miesiąca.

W dobie reformy gospodarczej bank może zniszczyć nie tylko prywatnego faceta, ale i przedsiębiorstwo państwowe. Bank jest tak wszechwładny i tak samodzielny, że szuka przestępców na własną rękę. A gdyby tak milicja dostała nazwisko Dreckiego już po pierwszym zrealizowanym czeku, z pewnością szybko by go rozszyfrowała.

Szczerze mówiąc, sprawa tej marnej ćwierci miliona niewarta byłaby rozzmuchiwania, gdyby nie fakt szalonego popłochu w banku. Obawy nie były jednak bezpodstawne. Gdyby bowiem o drugi klient zaczął gubić czyste książeczki czekowe, a uczciwi znalazcy typu Powalski rozmnażali się jak grzyby po deszczu, to banki na pewno by splajtowały.

Ala dobro zawsze zwycięża zło. Romantycznie w noc poślubną Powalska została samutełka, skazana na mękę niespełnionej miłości i walkę z rozbudzoną poażdliwością. Zadowolony Powalski nie zadowolony skonstruował nasa cnoty, ma teraz faktyczną żonę na okaziciela.

Żona na okaziciela (2)

RYSZARD BINKOWSKI

Po raz pierwszy szwagier Oleśki zaprowadził Dreckiego do UPT w Łodzi. Na miejscu pan Janek wypełnił czek na nazwisko Jana Malisza. Naiwniak Drecki podszedł śmiało do okienka, ale próba podjęcia forsę zakończyła się fiaskiem.

— Niestety, nie mogę panu wypłacić — powiedziała kręcąc głową kasjerka.

— Coś nie gra?

— Hm, jakby tu powiedzieć? Mam wątpliwości...

— Względem czego, hę?

— Charaktery pisma na okładce książeczki i na czeku coś mi nie pasuje, proszę pana.

Drecki okazał zdziwienie, ale nie protestował. Ostatecznie nie jego sprawa, tylko Jana Malisza.

Później jednak Drecki zaczął „wypłacać”. Rozpytany na tę okoliczność oświadczył, że książeczkę zawsze „wypłacał” Jan Malisz. W związku z tym milicja zarządziła konfrontację. Henryk Drecki popatrzał na Jana Malisza okiem sprytnego śledczego, po czym stwierdził autorytatywnie:

— Ależ tak, proszę panów! Jest to bez wątpienia ten facet, którego Oleśko przyprowadził do mieszkania mojej konkubiny. Później jeździ-

łem z nim do urzędów pocztowych i on wypełniał czeki, a ja brałem pieniądze. Poznaje go po sylwetce i po rysach twarzy. Co jak co, ale pamięć to ja mam dobrą.

Agent J. Malisz najpierw zszalał z osłupienia, potem zaś, rozwścieczony do żywego, chciał mu natychmiast strzelić w dzień, lecz milicjanci nie dopuścili do bliższej konfrontacji. Pokazali mu znak „stop”, chociaż nie byli to chłopcy radarowcy, i facet zdolał się jakoś opanować. Nie ma to jak łagodna perswazja i rzetelne środki prewencji. Uspokojony Malisz oświadczył:

— Przysięgam na akt oskarżenia, że mam dwóch szwagrow, ale żaden nie nazywa się Oleśko. Poza tym, owszem, jeżdżę samochodem, ale nie jakiś tam przedpotopowy mydelnicę, tylko volkswagenem.

Milicja sprawdziła. Jan Malisz nigdy nie posiadał syrenki. Wobec tego należało zapytać szwagra Antoniego Oleśkę, co on o tym wszystkim myśli. Okazało się, że jest to trzydziestoletni żonaty ślusarz z nowo narodzonego dzieckiem i młodzianką żoną na utrzymaniu. Pracował w branży Malisza, tzn. był również agentem, tyle że prowadził społeczeński zakład usługowy pt. „Naprawa Parasolek”. W dokumentach miał jeden poważny czek, zrealizowany w 1975 r. Czek opiewał na sumę sześćset lat. Był to rachunek za świadczenie licznych usług dla ludności. Polegały one na włamaniach do samochodów prywatnych i do komórek.



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Niedziela, godzina jedenasta. Dwa piętra. Dzielnicy Domu Kultury „Polesie” zgola nie przypominają szacownej placówki kulturalnej, raczej zwyczajny bazar. Zeby tylko dwa pietra! Bazarowa atmosfera panuje na schodach i na podwórku, nie mówiąc o kawiarence i sznurze samochodów przed DDK.

Bazar oficjalnie nazywa się „Ogólnopolska Gielda Kolekcjonerów i Hobbistów”, która jest organizowana przez Klub Kolekcjonerów i Hobbistów, właśnie przy polskim DDK działającym.

Wolacamy po dwadzieścia złotych za bilet wstępu i przeskakamy się wśród sprzedawców i kupujących. Granica między jednymi i drugimi jest dość płynna: obok tych, którzy zalegalizowali się i za dwieście złotych wykupili prawo ekspozycji swego towaru na stolikach, są jeszcze handlujący „z reki” — mają jakieś pojedyncze przedmioty, książki, monety itp.

Można tu kupić obraz olejny (rzadko!), stary zegar, bibelot, naczynie szklane lub porcelanowe, dokumenty, numizmaty, dawno wycofane z obiegu banknoty. Także drobne militaria, szablę itp. Orderów tyle, że wystarczyłoby na udekorowanie pułku wojska, składającego się z samych bohaterów!

Wreszcie książki. Najwięcej chyba, zajmują większość stolików na pietrze. Czego tu nie ma! Bestsellery ostatnich lat z „Pogoda dla bogaczy” i „Sztuka kochania” na czele, kompletne niemal serie wydawnicze, jak np. poszukiwane biografie sławnych ludzi. Na osobnych, ekspozycyjnych miejscach publikacje dotyczące historii drugiej wojny światowej, literatura SF, kryminały. Królową encyklopedii i słowników, wstydliwie wychylają się spośród szacownych woluntariuszów egzemplarze Playboya i Penthouse'a...

Wśród książek błysnie czasem zegarek elektroniczny albo minikalkulator; czasem elektroniczna zabawka...

Wśród hobbistów po tej i tamtej stronie lady nie brak kolekcjonerów biletów NBP z wizerunkami naszego największego kompozytora: konspiracyjne szepoty między młodymi ludźmi o czujnych spojrzeniach świadczą o tym może nie bezpośrednio, ale przekonywująco.

Niektóre transakcje odbywają się w sposób dość niezwykły: ich uczestnicy nie sobie nie pokazują, wymieniają tylko ustne informacje, a potem oddalają się... Co zostało sprzedane? Za ile? Tego nie dowiemy się ani dyżurnicy w cywilu inspektor Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, ani przedstawiciel Komisji do Walki ze Spekulacją...

Ciekawe, że i książki czasem sprzedaje się w podobny sposób, bez wymowy rąk z kieszeni:

— Chce pan „Wachlarz” i „Cichociemnych”? Po pięć tysięcy, mogę zaraz przynieść...

Z daleka chyba nie przyniesie. Zresztą po co, skoro „Cichociemnych” można kupić na jednym ze stoisk za 3500 zł. Ciekawostka, bo o dwa metry dalej już tylko za 2800 złotych!

W tłumku spotykamy znanych, ludzi znanych i szacownych, których przynęta to miłość do książki albo kolekcjonerskie hobby. Ale i „marginu” też nie brak: oto młodzieniec z wyraźnymi, z dala widocznymi śladami wczorajszego, wesołego wieczoru i wiadomym „chuchem” podtyka nam pod nos używany zegarek ręczny — osiemset — wprężając się schrypiałym głosem. O tej porze to pewnie właśnie podziemna cena półlitrowki nektaru pn. „Vistula”...

Nawet w toalecie natknąć się można na dżentelmenów wymieniających na oficjalne środki płatnicze zielone portrety prezydentów niezbyt zaprzyjaźnionego mocarstwa.

Książki kochałem zawsze, od dziecka. Nigdy nie byłem za mój, ale zawsze miałem na książkę. Nawet za Niemca... Nie paliłem, nie piłem bimbru, kupałem za bezcen stare, fest-cze sprzed pierwszej wojny.

wydania Sienkiewicza, Prusa i Orzeszkowej.

A najbliższą książkę kupiłem po wojnie — w końcu lat czterdziestych, jeszcze potem, w pięćdziesiątych, kupowałem mnóstwo: były tanie, czasem przynosiłem z księgarni po kilkanaście tomów. Całe mieszkanko — nie starczyło pótek...

Wtedy też... nie, nie wtedy, to było później, gdzieś na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zacząłem książki sprzedawać. Planowo, systematycznie i świadomie: było ich za dużo, w chałupie się nie mieściły... Sprzedawałem — bardzo tanio — w prywatnym antykwariacie na pasażu Schillera. Nie cenno tam nie zanosiłem, skądże! Ja tylko wyzbywałem się tego, co i tak nie było mi potrzebne — jakieś śmieszne starocie, jakieś lektury młodzieżowe w rodzaju Karola Maya, jakieś powieści, które niezbyt przypadły mi do serca i wiedziałem, że drugi raz po nie już nie sięgnę...

W siedemdziesiątym dziewiątym poszedłem na emeryturę. A już rok później, w osiemdziesiątym pierwszym chyba, doszedłem do wniosku, że mi ta emerytura nie starczy. Postanowiłem sprzedać trochę książek.

Tego dnia nigdy nie zapomnę — niosłem do antykwariatu paczkę sześciu czy siedmiu książek, które nie były już tylko zbędną makulaturą. Niosłem książki wartościowe, piękne. Te książki, które kochałem. Serce mnie bolało...

Ceny są, jakby powiedział Bogdan Smoleń „różne, różniaste”: Oto album „Skarby Jasnej Góry” za 3200 zł, a obok jedna z najdroższych książek ostatnich miesięcy — „Kamień na kamieniu” Myśliwskiego za jedyne 400 zł.

Czterotomowa encyklopedia można kupić za 28 tys. złotych. Niespodziewanie droga jest „Wojna polska 1839” Leszka Moczulskiego — 7 tys. złotych. Czyżby nazwisko autora wystarczało za reklamę?

Rzucamy okiem na „Jodżiana” — „Miłość staropolska” Kuchowicza od 600 do 800 zł. De Sade — sześćset, „Czarnaście łódzkich miesięcy” Dziecielskiej i Matuszaka — tylko 300 zł (!). Biografie Napoleona i Richelieu po dwa tysiące...

Nie sposób zrozumieć, skąd się biorą te ceny. Są średnio o dwadzieścia, trzydzieści procent wyższe od antykwarycznych. Nie jest to jednak reguła; całego Stachurę można kupić za dwa tysiące zł, a w antykwariacie aż za 4500...

Można nabyć nowe wydanie „Ulissesa” Joyce'a za dwa i pół tysiąca, a stare — za dwa tysiące...

Można wreszcie kupić... obwołany książek! Też towar. Kosztują po trzysta zł. Z wyjątkiem Hemingwaya — ten kosztuje aż sześćset!

Zdarzyło się, że za jednotomową encyklopedię handlarz żądał 16 tysięcy!

A np. scenariusze filmowe Szulkina wydane pod tytułem „O-bi, o-ba” można kupić za 200 zł, podczas gdy nominalna cena jest tylko o 50 zł niższa.

Cykl historyczny Jasienicy — tj. „Polska Piastów”, „Polska Jagiellonów” i „Rzeczpospolita Obojga Narodów” — osiem tysięcy pięćset. Za połowę tej sumy można dostać „Kuchnie Polską”, a „Pisma, mowy i rozkazy” Piłsudskiego tylko za trzy tysiące...

Nikt nie wie, skąd się biorą takie kalkulacje — jedno jest pewne — są to ceny „równowagi”, ceny rzeczywiście umowne... Mają zresztą tendencję do znacznych ruchów — oto „Blaszany bebenek” Güntera Grassa wkrótce po tym, jak się ukazał, osiągnął cenę 5 tysięcy złotych. Dziś można go kupić za połowę tej sumy...

Wreszcie „Raz w roku w Skirólkach”. Dwa miesiace temu „chodzili” za trzy tysiące złotych. Teraz cena spadła do tysiąca. Wznowienie „Załatwilo” tę obniżkę...

Wówczas też byłem pierwszy raz na bazarze, jako sprzedawca — zauważyłem, że cenę bazarową korzystniejszą są

od antykwarycznych. Wkrótce też odkryłem giełdę w polskim domu kultury. Od tego czasu jestem tu co niedziela.

Kiedy uszczupliłem swój księgozbiór o ładne kilkadziesiąt tomów zacząłem wreszcie rozumieć prawa tego rynku — tu się nie tylko kupuje, tu się sprzedaje i wymienia. Dla człowieka, który zna się trochę na tym towarze, który ma trochę czasu i polapie się w mechanizmach tego handlu — może to być źródło zarobku. Legalnego, no, prawie legalnego...

Można zarobić i wcale nie wyprzedawać się. Znałem dotąd jeden narłotycki: czytanie, czytanie przez całe noce. Poznałem drugi: handel książkami. Wciążą jak hazard. Raz zarobisz, nawet nieźle, innym razem do-

ANDRZEJ KAROLCZAK, JANUSZ KOZŁOWSKI

Kup pan marmurek!

że, ale po giełdzie niosę do domu jakiś skarb, prawdziwy skarb...

Jak się to robi? Bardzo różnie... Zaczynałem od penetrowania księgarń w małych miastach. Kiedy w Łodzi jakaś książka zniknie z półek w ciągu kilku godzin, to w Głowniu, w Łowiczu czy w Łasku znaleźć ją można jeszcze i po dwóch miesiącach.

Potem zorientowałem się, że książki można kupić tutaj, nie ruszając się z miejsca. Trzeba tylko przyjść wcześniej — wtedy napotyka się tu najrozmaitszych ludzi, zwłaszcza młodych, którzy przynoszą książki, o których wartości często sami nie mają pojęcia. Chcą sprzedać szybko, można wytartować u nich niską cenę... Nie lubią pytań o pochodzenie książek. Żadnych pytań nie lubią...

Oczywiście, zdarzają się przypadki spekulacji — mówi pani Elżbieta Wybrańska, kierownik Działu Oświatowego DDK, wyciągająca swego rodzaju nadzór nad giełdą — ale to tylko margines. Klub Kolekcjonerów i Hobbistów dba o jej — by tak rzec — czystość. Gielda ma swój regulamin, który m.in. zakazuje sprzedaży przedmiotów, które mają wartość użytkową — ubrań, sprzętów gospodarstwa domowego itp. Co do książek, to regulamin zabrania wystawiania na sprzedaż tytułów przed upływem dwóch lat od daty wydania. Zabrania także żądania cen wyższych niż antykwaryczne...

— Akurat obydwu wymogi są często łamane. Ceny z reguły są wyższe niż antykwaryczne!

— Nie sposób postawić przy każdym stoisku kontrolera. Jak łatwo zauważyć, przy książkach nie ma wywieszek z cenami, każda transakcja jest umową między sprzedającym a kupującym. Jeśli chodzi o nowe książki, to przedstawiciele Klubu Kolekcjonerów starają się, na ogół z powodzeniem, eliminować je ze stoisk. Na każdej giełdzie jest przedstawiciel Komisji do Walki ze Spekulacją oraz funkcjonariusz MO. Przypadki spekulacji są i tak nie do uniknięcia. Ale przecież społeczna korzyść z takiej giełdy jest i tak znaczna. Nie chcielibyśmy wylewać dziecka z kąpielą i jakoś drastycznie ograniczać giełdową swobodę. Te giełdy są bardzo istotną częścią działalności klubu, który właśnie w tym roku obchodzi swoje dziesięciolecie.

— DDK pobiera opłaty za wstęp i za prawo ekspozycji towaru. Czy to są znaczne sumy? Na co są przeznaczone?

— Wpływy od uczestników giełdy sięgają dwudziestu tysięcy tygodniowo. Ponośmy jakieś koszty, związane choćby z urządzeniem, zwiqzane z pracami giełdowych pomieszczeń. Reszta pieniędzy zasila kasę Domu Kultury.

Taka giełda to dobra rzecz. Dla wielu znakomita okazja. Mówię o kupujących, o bibliofilach. Są i tacy, co tu zarabiają. Czy nieuczciwie? Tu jest czysty handel. Ceny kształtuje popyt...

Ceny były zresztą różne. Były i wyższe niż dziś. To wtedy, kiedy ludzie w książkach lokowali pieniądze, co i dziś się zdarza. Jak w biżuterii, Encyklopedia, słownik, leksykon, to były wówczas największe bestsellery. Atlasy, podręczniki akademickie, nawet w obcych językach. Ceny były rekordowe.

Ten run chyba minął, mamy coś w rodzaju stabilizacji. Handel na giełdzie jest mniej nerwowy, ceny raczej stałe. Chyba mniejszy dopływ książek z kradzieży.

Drogo jest. Drogo, ale co dziś jest tanie?

A książka to taki towar bez którego jedni mogą żyć, a drudzy znów nie potrafią. Znam to z własnych doświadczeń: Kiedy chce, bardzo chce, mieć jakąś książkę to ona mi się śni po nocach. Każdą sumę dam, dziesięć innych sprzedam! Myślę, że za niektóre, rzeczywiste strasznie wywindowane ceny, ponoszą odpowiedzialność wydawcy. Są książki, których nakład nie wyczerpie się nigdy: „Pan Tadeusz” czy Trylogia, powinny być wznawiane co rok. Bo co rok dostają nowi czytelnicy. Powinny być jak chleb „w ciągłej sprzedaży”.

A są takie książki, co leżą na półkach i w magazynach, aż się doczekają przemiana. Ja rozumiem, że są potrzebne. Ale można przewidzieć ilu ludzi potrzebną. Np. trzy tysiące starczyłoby, a drukuje się w stu tysiącach...

Łódzki Klub Kolekcjonerów i Hobbistów działa w DDK „Polesie” już dziesięć lat. I tyleż bez mała lat ma poleska giełda. W ostatnim okresie przestała być monopolistką: równie frekwencyjna i atrakcyjna — przynajmniej, jeśli idzie o ofertę książkową — była giełda w gmachu „Budimexu” przy ul. Sienkiewicza, a ostatnio także „Teofilowska Gielda Rozmaitości” w ZDK „Teofilów”. Nieźle zorganizowana, dobrze reklamowana, i co najważniejsze o 50 proc. tańsza giełda teofilowska, nie przycią-

ga jeszcze tylu bibliofilów i zbieraczy jak poleska. Szkoda, bo warunki ekspozycji są tu doskonałe, a i handlarzy spekulatorów, amatorów szybkiego zysku i zwyczajnego nabijania w butelkę zdeorientowanego klienta, prawie nie spotkasz. Ma to zresztą odbicie w cenach: kiedy odwiedziłem ZDK „Teofilów” można było tam nabyć „W pepku Ameryki” Wańkowicza za jedyne czterysta złotych, pewnienowska czterotomowa „Historia Polski” zaledwie za „patyka”! Encyklopedię dla dzieci za taką samą cenę, a w pełne osłupienie wprawiła nas cena „Wrzosa” Rodziewiczówny — tylko 20 zł wyższa od nominalnej!

Jak poinformował nas instruktor SDK z ul. Rydzowej pan Jan Gołębiowski, organizuje się także giełdy płyt i akcesoriów muzycznych, zimowego sprzętu sportowego. Wszystkie dochody z tych imprez przeznaczane są na dofinansowywanie imprez rekreacyjnych dla mieszkańców osiedla.

Tutaj się zdarza kupić książkę o dziewiętej, a o dwunastej sprzedać ją ze stuprocentowym

albo jeszcze większym zyskiem. Na moich oczach ktoś kupił Levi-Straussa za trzysta złotych i po kilkunastu minutach oferował go za pięć tysięcy! Sprzedał, oczywiście...

Wśród tych handlarzy, których tu widzimy, i tych co mają stoiska, i tych, co handlują z reki, są tacy, którzy mają powiązania z pracownikami księgarń i antykwariatów. Kupują od nich albo wręcz sprzedają w ich imieniu. Im też zależy na tym, żeby sprzedać szybko. Z tego trzeba umieć skorzystać. Często warto kupić książkę i odłożyć — za parę miesięcy znajdzie się ktoś, kto gotów słono za nią zapłacić... Trzeba mieć nosa, trzeba znać ten kapryśny rynek.

Był czas, że na bazarach można było kupić za śmieszne pieniądze książki, których nie było jeszcze w księgarniach — przeciekały na rynek wprost z drukarni. Ryzykowny to był handel, nikt nie miał wątpliwości co do jego granic. Ale korzystny... Ostatnio coraz rzadziej coś takiego się zdarza. Może w drukarniach lepiej pilnują? Jest czego. Książki to majątek, ogromny majątek...

Mam tu wielu znajomych. Mam takich, u których kupuję, mam stałych odbiorców. Czasem pytają o określony tytuł. Zapisuję w notesie. Może się akurat trafi? Może znajdzie w antykwariacie, może u ulicznego bukinisty...

A najbardziej lubię zamieniać. To się tu często praktykuje. Jakiś szlachetniejszy taki handel bez pieniędzy... Czysty. Za coś, co nie jest mi potrzebne, albo za coś, co mam w dwóch egzemplarzach dostaję nową książkę, o której marzyłem.

Giełdy — zwłaszcza ta w polskim DDK — są prawdziwym salonom wydawniczym. Pełnią nie tylko określoną rolę handlową i — nie wahamy się przed tym określeniem — kulturową. Jeśli oczyścić je z brudnawego nalotu snobizmu, przemijających mód czytelnicy, szwindli i sposobów lokowania kapitału...

Giełdy z powodzeniem „konkurować” mogą z organizowanymi przez Polskie Towarzystwo Wydawców Książek przeglądami dorobku edytorskiego, połączone z konkursem na najlepsze publikacje roku.

Gdyby kierownicy naszych oficyn wydawniczych byli czystszyi bywalcami giełd, mieliby sporo materiału do przemyśleń. Może byłoby mniej „niefortunnych” publikacji, mniej błędów wydawniczych i nakładowych? Może...

Na giełdzie ma i będzie miała miejsce spekulacja.

Raz będzie to wyciskanie cen najpopularniejszych bestsellerów, jak „Pogoda dla bogaczy” czy „Raz w roku w Skirólkach”. Innym razem będzie to perfidne wykorzystywanie hobbisty; ktoś, kto konsekwentnie zbiera biografie sławnych ludzi (seria „marmurki” — jak mawiają handlarze) ten wsupła ostatnie grosze, żeby zakupić brakującą w kolekcji pozycję. To dlatego biografie Beethovena można kupić za — bagatelą! — pięć tysięcy złotych, choć na egzemplarzu widniała cena antykwaryczna — 2.000 zł.

Jednak nie spekulacja i ordynarny wyzysk stanowią o istocie giełd. Są tylko marginesem. I jeszcze jedno. Kiedy niedawno ukazała się książka Leona Chajna o wolnomularstwie, sprzedawano ją na bazarach i na giełdzie po zawyżonej cenie, podczas gdy można było spokojnie kupić ją w księgarniach!

Chyba wydawcy i księgarze powinni wyciągnąć z tego — wcale nie odosobnionego faktu — wnioski. Coś nie tak jest z informacją wydawniczą?

Powodzenie giełd książki świadczy chyba także o tym, że forma kiermaszu, kiedyś nieodłącznej części wielkomiejskiego pejzażu małego — nie przeżyła się wcale. Przeciwnie, potencjalni bywalcy kiermaszów książki tłoczą się w niedzielne przedpołudnia w „Poleskim Domu Kultury”, w „Budimexie”, w ZDK „Teofilów”.



Foto: Grzegorz Galasiński

Młodość

Najpierw się fika i chodzi na rękach, wystercza kończynami w cztery strony świata i w stronę Gwiazdy Polarnej, póki nie opanuje właściwych odruchów rozkładu myśli na czynniki pierwsze. Czyną żeby czyn twój nie miał kształtu beczki, pchną się falami: niechaj twoja krew skapie na papier atramentem, który rysuje świat: wykrój garnitur. Zniknij na białym odjeżdżając stoniu.

Piękno

Gdy myjesz włosy znowu jesteś rybą, gorące morze i słońce wypala trawy na brzegach, skały tną fale jak statki gdy płyną, schną włosy, drzewa składają liście na stoły wisi żółknąca trawa a słońce wysusza liście i zwija, rozciąga ubrania, jutro nikt swego żagla nie wydmie by ci sprawił radość.

Składniki elegii

Okna otwarte na letni smierch, świszce kamień szlifierski, zaraz tryśnie krew. Hałas chłopcy. Nimfy w kraciatych spodniach i ona pastro malowana, z jej uszu wiszą złociste sonety. Chłód bije tylko z wielkich komnat bogini a biedny człowiek daje się strząsać jak flaska po bibie. Puste krzyżówki dróg. Źródła pacinacze potem. Aluminiowy Księżyc. Najlepiej odejść stąd w pierwszych trzewiakach.

Starość

Ach ten Dionizos w podeszłych leciech! Kłoczą w parku, trzęsą mu się ręce gdy rozstrząskuje swoją łaskę w drzewgi. dziewczęta wypadają ze swoich kryjówek i odfruwają ze śmiechem. Ach ten Dionizos! Leży w parku na brzuchu, nogami na północ, broda mu się zieleni jeszcze po skonaniu a on oddycha. Jak to całe miasto choć już jest martwy, ach ten Dionizos.

Przekład:
BOŻENA MACIEJEWSKA
BOHDAN DROZDOWSKI

Wiersze pochodzą z tomu „Kości szalonego człowieka”, który ukazał się nakładem Wydawnictwa Literackiego.



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Niedziela z „Jarmarkiem” czyli groźby Leoncica...

— Panie Wojtku! Można z panem zamienić parę słów?...
— Wojciech Pijanowski: — Można, tylko o czym mniej więcej?
— Więcej niż mniej o „Jarmarku” na przykład, niespodziewanej a służbowej wizyty w Łodzi i imprezie, którą, jak wiecie gminna głosi, zamierzacie nam zafundować...
— W.P.: — O kochany, to ja zawiadamiałem... — Krzysiek, Włodek, przeczesał się — będzie wywiad dla prasy.
— Włodzimierz Zientarski: — Dla prasy zawsze występujemy jako tercet egzotyczny, żadnych wywiadów na własną rękę!

Krzysztof Szewczyk: — Jak pan to ładnie zrobisz, będzie ekstra teledysk z dedykacją...
— Może być Steve Wonder?
— K.S.: Chciałem zaproponować coś z Fogga, no, ale proszę bardzo, niech będzie „wujek” Steve, zaklepane.
— No to jedziemy, czytamy pytanie pierwsze, tu się ukazuje sezar: Dlaczego tak mało ostatnio „Jarmarku” w telewizji?

— „Tercet” (na wysłuch, choć nienacalnie): — Czy można prosić drugi zestaw pytań?
— Niestety...
— W.P., K.S., W.Z.: — Może jakoś tak ozdobnie: bo czas antenowy jest, program się chyba nie przejdzie, tylko — jak mawiają żydziwi — czasem są sprawy ważniejsze niż serwowanie ludziom idiotycznych rekordów, sier i zabaw.
— Za dużo dostajecie listów, a w ogóle ten powszechny anauz jest meco przesadzony...
— Ciepło, ciepło...
— Przypnijcie się: pomysłów nie staje?

— Wracz przeciwnie — na trzy programy mamy w każdej chwili z góry i czwartki w rezerwie też.
— No to uchylicie rabka tajemnic.
— Dużo masz pan tego miejsca w gazecie?
— Papier na wagę złota, więc może te najciekawsze pozycje.
— Dobra, lecimy wariant „depeza PAP”: będzie rewelacyjny poradnik w trudnych sytuacjach życiowych, przedstawimy nowych ciekawych ludzi — jak szalenie przystojny szef naszego biura, pan Wojtek, buda „alpinista” z Wrocławia, który nie ruszając się z miasta zdobywa Mount Everest, będzie hit 40-lecia, czyli prywatny teledysk Krzyska...
— Szewczyk śpiewa, reszta akompaniuje?
— Niezupełnie tak, ale nasze własne słowa, muzyka, aranż, choreografia, ten cały kit, a jest to — dodam w tajemni-

cy — taka śliczna chała, że bezapelacyjnie wedrze się na szczyt wszystkich możliwych list przebojów.
— No dobra, a teraz przyznajcie się czym przebojowym chcecie uraczyć łodźian?
— Stary, nie tylko łodźian, impreza jest ogólnopolska, ale jak znam życie większość biletów będzie do sprzedaży w Łodzi, no, może jeszcze na Dworcu Centralnym, ale to już sprawa gospodarzy i dystrybutora, czyli waszego Centrum Kultury Młodych.
— Dowiem się wreszcie co szykujecie?
— „Jarmark” na wolnym powietrzu, czyli największa, najatrakcyjniejsza impreza „plenerowa”, z okazji Dnia Dziecka, ale nie tylko dla dzieci. „Niedziela z Jarmarkiem” na stadionie ŁKS w dniu 2 czerwca.

— Wojciechu P. and Comp.: garść szczegółów, a voila...
— Właściwie łatwiej byłoby wymienić czego tam nie będzie, no ale niech stracie. Chceemy zacząć od godziny 10, ale — uprzedzam — jak nie będzie frekwencji, czyli „maks” jak na meczu Widzewa, to nie zaczniemy! Wyślemy wszystkich na rodziców, teściów i znajomych; taka impreza trafia się tylko raz!
— Dobra, dobra, kto będzie grał w te piłki?
— Oho, chłopaki, są jakiejś przecieki... Decyduję (ech, jak to brzmi...) zaproponowali nam taką kwotę za udostępnienie płyty boiska do wspólnej zabawy, że Telewizja murowane posłabi z torbami. Ale będzie supermecz: Kadra Trenera Piechniczka (w odwodzie mamy jeszcze Mistrza Kraju) kontra Kadra Jarmarku.

— No fajnie: wy trzej i co dalej?
— Kochany, nas sa miliony, ale wprowadziliśmy ostrą selekcję i by nie pioszyć przeciwnika dodamy tylko, że między innymi zagra u nas trzech facetów z najciekawszymi nogami w PRL, będzie i dziewczyna, będzie zawodowicz reprezentujący futbol amerykański, a być może niejaki... Phil Collins!
— Zaspiewa?
— Nie, wylicznie będzie kopał w przeciwnym razie bilecik byłby dwukrotnie droższe zapewne.
— No, tanie i tak nie buda, 700 złotych to też ładny grosz...
— Dostosowujemy się do ogólnych tendencji, ale poważnie: dla dzieci buda po trzy setki, a poza tym — jakie atrakcje!
— Zamieniam się w słuch...
— Będzie mówił głownie: gwiazdy piosenki z Wielkiej Brytanii i Szwecji, naszych śledem, może osiem kapel z Lombardem, Papa Dance, może Ladv Punk na czele. No, a przyjdź na słynną Monaco Blues Band to mała frajda?

— Wciąż czekam na wasze bomby sezonu...
— Wszystkiego i tak nie pociemy, bo nasza zasada niespodzianki, ale będzie na przykład pierwszy występ oryginalnych pojazdów, oczywiście własnoręcznie zbudowanych. Mogą to być maszyny do szycia, wanny i inne wehikuly; radzimy pospieszyc się z robotą! Zwycięzca wyjedzie na wczasu zagraniczne, w dwie osoby!
— Idziecie na ostro...
— A co! Będzie oryginalny, niepowtarzalny wielobój Jarmarku, w ramach którego zmierzyc się trzeba m.in. w palanta i pokonać przeciwnika na rozwieszona nad wodą linie. Ponadto — uwaga kibice — specjalne premie za oryginalne ubiory, transparenty, napisy, „powiewadla” i tym podobne meczowe przejoza. Zapewnione wystepy w telewizji!
— A propos: transmisja letni rozumem na bieżaco?
— Jasne, z całej imprezy zreszta, mecz rozpoczynamy o godzinie 14, a ponadto z łódzkiej zabawy nakreścamy dwa godzinne programy.
— Czyżby koniec atrakcji?
— Koniec! Dopiero zaczęliśmy. Będzie autorodeo, spadochroniarze i ich popis, wybory Miss Jarmarku (tylko nosi się licza...), będzie możliwość uwiecznienia się z ekipa Jarmarku na wspólnym zdjęciu, wystapia kaskaderzy, strażacy, ech, kto tam nie wystąpi...
— A handlowe atrakcje?
— No jednak macie przecieki! Rzeczywiście, w wolnej chwili dla ochoty będzie można się ustawić w kolejce po atrakcyjne towary, będzie też giełda staroci.
— A wasze ukochane rekordy?
— Będziemy bili sporo, różnych, ale o tym sza, nie odkrywamy wszystkich kart. Jak będzie pełny stadion, to podamy takie jedyne, prawdziwe zakończenie serialu „Niewolnica Isaura”. Jeśli wolnych miejsc na trybunach będzie zbyt dużo...
— Nie podacie numeru telefonu Leoncica.
— Żeby tylko! W każdą sobotę powtarzane będą najnudniejsze odcinki, już my to załatwimy!
— Powiało groza, powiecie więc gdzie można kupić bilety, bo powtórki można już nie przeżyć.
— A proszę bardzo: wszystkie biura podróży, ruchome punkty sprzedaży przed największymi domami towarowymi czy choćby w kasie stadionu w dniu imprezy.

Następnie odbyła się konferencja prasowa, na której sympatyczna trójka z Jarmarku nadal straszyla Isaura, krwiożercza Rosa i Leoncicem. Już lepiej wybrać się na te imprezy na ŁKS-ie. Mimo iż niewolnictwo podobno zostało zniesione...
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO — OBYCZAJOWA

OPOWIEŚCI HENRYKA RZEWUSKIEGO

Wspomniał ją po latach Zygmunt Szczepny Feliński w swych „Pamiętnikach” (Lwów 1911). Rzecz dzieje się w Cudnowie, rezydencji hrabiego Henryka:
Z powodu miejscowej kościelnej uroczystości wiele osób zebrało się u mnie na śniadaniu, a między innymi kilku oficerów konsystorskich w okolicy. Wszystkie przekąski rozdawione były zawczasu na stole, każdy zaś ze współbiesiadników brał, co mu się więcej podobało. Przypadkiem tak się zdarzyło, iż na jednym końcu stołu umieszczono na stole mi-nogi, na przeciwległym zaś końcu również na talerzu, przygotowano dla palących cygara. Otóż jeden z młodych oficerów, dla którego cygara były rzeczą całkiem nieznaną, widząc, jak któryś z gości zjadał smacznie mi-nogi, i sądząc, że przy nim stały też same specjalny, sporządził sobie z ostem i z oliwą kilka cygar i spożył je do ostatniego kawałka, jakby najwyborniejsze przysmak.

POETA I PARODYSTA

W książce Adama Amilkara Kosińskiego „Miasta, wale i zamki polskie” (Wilno 1851) znajduje się „Podróż koleją żelazną z Warszawy do Częstochowy” wyprzedzająca o 40 lat z górą głośną „Piełgrzymkę do Jasnej Góry” Reymonta. Opis Piotrkowa ubarwił Kosiński a negdota z czasów stanisławowskich, zawierająca czterowiersz przypisywany Tomaszowi Kajetanowi Węgierskiemu:
Stanisław August 5 czerwca 1776 r. przybył tu (do Piotrkowa) z Wolborza; tak samo według tradycji miejscowej miał przed wiekami przybyć Sobieski. Jeden tedy z pijarów, dobry człowiek lecz niegdy poeta, robiąc z tego wypadku porównanie obydwu monarchów, między innymi te wiersze napisał:

Janina i cny Ciotek równą sławę mają,
Oba jednakim trybem do nas przybywają.
Drzyj więc, zuchwały Turku, bo następcą
Jana
Przymusi cię, że będziesz giął przed nim
kolana.
Król niedną apologię przyjął laskawie, dworzanie aplauzów nie oszczędzali, tegoż dnia przeciw śmiano się cichaczem, bo ktoś, a podobno przytomny wjazdowi Kajetan Węgierski sporadował w następny sposób wiersze patra poety:
Janina i cny Ciotek równą sławę mają,
Choć do Piotrkowa jednym trybem
przybywają.
Pociesz się zatem, Turku, bo następcą
Jana
Nie zmusi cię giąć, bo sam kornie gnie
kolana.
Janina — to herb Sobieskich, Ciotek zaś — Poniatowskich, zawarte w tekście aluzje polityczne odnoszą się do propagandy antytureckiej inspirowanej przez ambasadorów rosyjskich w Polsce.

KRASZEWSKIEGO MYŚLI O KSIĄŻCE I O CZYTANIU

Przygotowane do druku w obszernym wyborze przez piszącego te słowa wypowiedzi autora „Starej baśni” (ukazały się w stulecie śmierci pisarza w 1987 r.) określają rolę książki w życiu jednostki i społeczeństwa oraz korzyści płynące z umiejętności czytania. Kraszewski ukazuje tu jeszcze jedno oblicze: żarliwego miłośnika książki:

Nazywałbym największym moim nieprzyjacielem tego, który by mi książki odebrał, byłoby to może więcej niż życie odebrać (1831).
Bez taniści ksiąg i ułatwienia dróg do ich nabywania, nie można się spodziewać upowszechnienia ich między ogromną nie czytających klasą. Spuścić się zaś na powolną reformę edukacyjną, moralną, na wpływy itp. trudno bardzo; raczej by od ksiąg tę samą reformę rozpocząć należało, która inaczej jak przy wielkim ich upowszechnieniu dopełnić się nie może (1838).
Dzieło powinno być jak orzech; biada dziurawemu i bez ziarna. A ileż to książek, nie wyjmując bardzo serio i niezmiernie uczonych, w których tylko lupina i próżnia (1845).
Była jedna książka w domu, to tak jak mysz, przyprowadzi za sobą i drupę, i trzecią i już ci nie dadzą spokoju (1861).
Piśmiennictwo dziś tak obrzytmio rozrosło, naturalnie całe do potomności przejdzie nie może. Co z niego zostanie? Co zginie? Tego nie zgadnie nikt, bo niepodobna przewidzieć, na jakie kataklizmy społeczne i kosmiczne świat narazony będzie. Biblioteki nasze może spotkać los aleksandryjskiej. Literatura też, tak jak dziś jest, głównie służy potrzebom dnia każdego i służba ta stanowi jej obowiązek (1837).

LEDWO NIEPRAWDA

Czemu to białołowy pchły bardziej kęsają niż otroków? Ze ony smaczne mięso mają.
Wespazjan z Kochowa Kochowski (XVII w.)

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Teatralna oferta dla szkół

Lubimy sobie pomarzyć na sbył słabe zainteresowanie społeczeństwa sztuką, domagamy się nieraz, żeby przygotowywał ludzi już z młodu do odbioru sztuki, ale nieczęsto podejmujemy działania, które mają szansę ten stan rzeczy zmienić. Stosunkowo niedawno informowaliśmy z uznaniem o oryginalnej formie przedstawienia dla szkół średnich, wypracowanej przez grupę artystów Teatru Powszechnego, tym razem miło nam donieść o nowym teatralnym działaniu pod auspicjami Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi i Łódzkiego Domu Kultury, realizowanym przez Stowarzyszenie Artystyczne. Tego samego dnia, w dwóch różnych miejscach, zapoznaliśmy się z dwoma odrębnymi programami, przygotowanymi przez trzyosobowe ekipy aktorów Teatru Studyjnego im. Tuwima i Teatru Nowego, przeznaczonymi dla klas VI i VII szkół podstawowych. Jeszcze inny program realizuje się dla uczniów klas VIII.

Nie jest naszym głównym zadaniem ocena obejrzanych programów pod względem artystycznym, mamy bowiem na względzie, podobnie jak inicjatorzy tego przedsięwzięcia, przede wszystkim pożytki edukacyjno-wychowawcze. Ale przecież nie są to sprawy, które można by całkiem odizolować, chodzi bowiem nie tylko o poszerzenie czy ugruntowanie wśród młodzieży wykształcenia ogólnego i społecznej wartości i postaw, lecz również o rozwój jej wrażliwości estetycznej, o wytworzenie wśród młodych potrzeby obcowania ze sztuką. Słowem, to co zamierza się uczniom w tych teatralnych „lekcjach” pokazać, powinno być zawsze wartościowe artystycznie, zarówno repertuarowo, jak i wykonawczo, a towarzyszące przedstawieniu słowo komentujące powinno odpowiadać wymaganiom metodyki.

Młodzi aktorzy ze „Studyjnego”, występujący przed uczniami klasy VI jednej z szkół w pięknej sali widowiskowej „Praxeru” przy ul. Nowotki, pokazali fragmenty dwóch sztuk, posługując się zarówno kostiumem, jak i fragmentaryczną dekoracją. Wybrano z „Gemsty” scenę dyktowania miłosnego listu przez Cześniaka Dydalskiemu, której komizm sytuacyjny i słowny dociera niezawodnie do dziesięcioletnich 12-13-latków, jak o tym świadczą reakcje widzów. Sukces Fredry tym większy, że aktorom nie najłatwiej przychodziło

wcielić się w postacie ludzi o tyle starszych, i to z odległej epoki. Do tych ról trzeba chyba więcej aktorów, a może i cyklowego doświadczenia.

Za to fragmenty z „Balladyny”, pierwsze zetknięcie się tytułowej bohaterki z von Kostynem, a potem jej rozmowa z Pustelnikiem okazały się bardziej dostępne młodym wykonawcom. Miałbym jednak pewne wątpliwości, czy końcowy komentarz, dotyczący teatru i gry aktorskiej, odpowiednio zainteresowaniu i możliwościom percepcyjnym przeciętnego szóstoklasisty.

Całkiem inaczej — bardziej spójnie — pomyślano program dla szóstoklasistów, wykonywany przez troje aktorów z „Nowego” w sali DK „Lutnia” przy ul. Łanowej, poświęcony w całości komedii dell'Arte, a realizowany na podstawie świetnego scenariusza lekcji teatralnej Jerzego Hutka.

Brył to, powiżane komentarzem, fragmenty „Szelmostw Skapena”, „Parad” i „Mieszczanina szlachciecem”. Spektakl mógł stanowić wzór działania artystyczno-wychowawczego, zarówno pod względem poznawczym, jak i dobrego smaku, należy się więc uznanie całej trójce. Młodzień od-bierała wprawdzie przedstawienie jak najlepiej, wydaje się jednak, że byłoby ono jeszcze trafniej zaadresowane do młodzieży szkół średnich, gdzie z pewnością ponownie wraca się do komedii dell'arte.

Do nowego przedsięwzięcia teatralnego należy więc odnieść się jak najzybciej, co dotyczy szkół, a ściślej mówiąc dyrekcji szkolnych i władz oświatowych. Dobrze byłoby, żeby jeszcze przed wakacjami zapoznano się z tą propozycją teatralną jak najwięcej szkół i żeby można było wyszczególnić ewentualne kontropropozycje na temat takich czy innych korektur programu.

Ofertę ze strony artystów i instytucji kultury już mamy, pozostałe tylko albo ją przyjąć, albo nadal narzekać na nieprzygotowanie młodego pokolenia do uczestnictwa w sztuce i... na brak stosownych działań. Co do nas, to nie jesteśmy za jalowym narzekaniem...
JERZY KWIECIŃSKI

Sprawy bólu i szczęścia, radości i cierpienia towarzyszą ludzkości przez całą jej historię. Walka o szczęście człowieka nie może być źródłem wstydu, jest naturalnym jego dążeniem. Oprócz wielu elementów składających się na pojęcie szczęścia, podstawowym, a nawet warunkiem, było zawsze zdrowie i to zarówno fizyczne jak i psychiczne.

Mimo niezaprzeczalnych sukcesów medycyny coraz dotkliwiej nekają nas choroby cywilizacji. Teraz kiedy żyjemy, zdawaloby się, szczęśliwiej, dłużej, nekają nas one jeszcze bardziej. Rozpowszechniająca się choroba cywilizacji — znieczulica — osłabia szanse pomocy drugiemu człowiekowi. Współczesna medycyna dysponuje obrymym arsenałem metod postępowania, leków znieczulających i przeciwbólowych. Ale ciężko chorego człowieka cierpi nie tylko z powodu bólu somatycznego. Przede wszystkim dlatego, że uświadamia sobie jednocześnie destrukcję swego życia prywatnego.

„W czasie choroby rodzą się myśli, które by nigdy nie zrodziły się w jasnym świetle zdrowia. Kto nigdy nie chorował, nie zna siebie” — pisał Romain Rolland.

Sklonność do rozmyślań nad sobą jest u człowieka tym większa im większa jest jego choroba. Nad znalezieniem najlepszych sposobów pomocy cierpiącemu człowiekowi rozmyślają od lat humaniści.

Cierpienie jest czymś więcej niż sam ból i nie tylko z dolegliwości ludzkiego ciała wynika, zatem nie same tylko środki farmakologiczne mają wpływ na przywrócenie zdrowia. Chodzi tu o inne jeszcze metody, które nie działają odrobinie, a najczęściej współdziałają wspólnie z lekami. Człowiek jest istotą biopsychiczną i tylko wszechstronne spożycie na problemy pacjenta jest nieodzownym warunkiem właściwego ustawnienia procesu diagnostyczno-terapeutycznego. Nie można leczyć choroby, należy leczyć chorego.

LECZYĆ CIAŁO, ALE I DUSZĘ

Do lecznictwa wprowadzono wiele metod wspomagających, jak ergoterapia, muzykoterapia, choreoterapia, z drugim skutkiem stosowania i w Polsce. Za jedną z najbardziej skutecznych została uznana metoda biblioterapii, czyli leczenia książką. Książka ma największą szansę działania na kilka sfer psychiki jednocześnie, a zatem najszerszą i więc najskuteczniejszą.

Błędem natomiast byłoby sądzić, że są książki, które leczą trzustkę, wątrobę czy inny chory organ. Książka nie leczy choroby, leczy właśnie chorego; biblioterapia zatem jest metodą wspierającą. Niestety, leczenie poprzez książkę jest nadal mało znaną dziedziną wiedzy, mimo że metodą tą leczy się w innych krajach od 1927 r., oficjalnie zaś drogą uchwały biblioterapia weszła do lecznictwa w 1955 r.

W Polsce pierwszy punkt biblioterapeutyczny powstał przy Akademii Medycznej w Krakowie w 1965 r. Dalszych 20 lat nie zmieniło również stanu świadomości naszego społeczeństwa. Jest on jeśli nie zerowy, to z pewnością niewielki. Osiągnięcia światowe z tej dziedziny prezentowane są u nas jedynie przez pisma specjalistyczne a nie ogólnodostępne, popularne. Wiele periodyków jak np. „Poetry Therapy Association” (o leczeniu poezją) w ogóle do nas nie dociera. Nic też dziwnego, że temat wywołuje rozmaite reakcje, od zaniepokojenia poprzez niedowierzanie do ironii włącznie.

Rodowód i skuteczność tej metody sięga w odległą przeszłość aż do starożytności, gdzie biblioteki, np. w Tebach, miały napisy „Lek dla duszy”, natomiast w świątyniach kapłani za pomocą słowa, śpiewu i recytacji fragmentów z Hezjoda czy Homera uzdrawiali chorych. Najważniejszą była głęboka wiara ludzi we własne uzdrowienie i w dobroczynne słowo kapłana.

I o taką wiarę chodzi dzisiaj, wiarę popartą już wiedzą co najmniej popularnonaukową, że książka może wyrównywać stany psychiczne, co w konsekwencji ułatwia działanie leków przyspieszając procesy uzdrowienia.

Lekarze mówią: „On nas psychicznie odrzuca, on nie chce wyzdrowieć”. Chory musi sam powiedzieć: CHEĆ! Z tego słowa wynika ak-

tywność, współuczestniczenie chorego w zwalczaniu własnej choroby. W potocznym języku powiedzenia: „rozkleił się” czy „wziął się w garść” to nie innego tylko dezintegracja czy integracja psychiki chorego, stan gotowości lub brak gotowości na leczenie. Dezintegracja psychiczna wynika nie tylko z choroby somatycznej, ale z leków, urazów, kompleksów, osamotnienia, nudy, apatii czy obojętności. Z punktu widzenia medycyny psychosomatycznej książka może te stany poprawić jak i pogorszyć, zatem poprawę stanu psychicznego pacjenta może spowodować tylko odpowiednia książka.

Znany psychiatra Antoni Kepiński uważał, że tylko działanie rozładunku stany napięcia psychicznego czy lękowego. Pacjent niestety pozbawiony jest możliwości działania. Jedyną dostępną aktywnością chorego w szpitalu, a więc i działaniem, jest sam fakt czytania książki, jak też współuczestniczenie w działaniu bohaterów na drodze utożsamiania się z nimi, co występuje u około 80 proc. czytelników. Przy wielu ograniczeniach swobody, kontynuowanie zainteresowań jest jak gdyby jedynym rodzajem więzi chorego z jego dotychczasowym normalnym życiem. Możliwość taką stwarza przede wszystkim książka, przenosząc chorego z ograniczeń fizycznych ciała w sferę spraw intelektualnych.

Czy książka może leczyć?

Metoda biblioterapii ma największe zastosowanie w leczeniu wszelkich nerwic, urazów psychicznych, zaburzeń osobowości i zachowań. Coraz częściej stosowana jest w klinicznym leczeniu alkoholizmu i narkomanii. W drodze identyfikacji z bohaterem, książka odregowuje chorego, wywołując z podświadomości różne tłumione popędy, zmniejsza niepokój i napięcie emocjonalne, poprawia nastrój, odwraca uwagę od własnych, często urojonych problemów.

DLA KAŻDEGO CO INNEGO

Dla każdego pacjenta inna książka jest odpowiednią i to jeszcze w zależności od aktualnego stanu zdrowia: jedne mobilizują psychicznie, inne wzbudzają zainteresowanie życiem, przyrodą, sztuką, kontemplują piękno. Są jeszcze takie książki, które ułatwiają wgląd w życie psychiczne własne i innych ludzi, pozwalają zrozumieć różnorodność zachowań ludzkich. Czasem przez lekturę tych ostatnich własne problemy nabierają innego wymiaru, stają się mniej ważne, a czasem po prostu bardziej zrozumiałe. Ta nowa świadomość uzyskana w konfrontacji z książką zmniejsza napięcie, podenerwowanie, urazy. Reakcje psychiczne, ale i fizyczne wywołane przez treść książki to często: przyspieszona akcja serca, podniesione ciśnienie, tętniczne krwi. Czasem szokująca treść książki przeżywana przez czytelnika jako prawdziwa może wywołać skurcz naczyń wieńcowych, atak bólów, może wywołać śmiech i łzy, uczucie spokoju bądź wstydu, pobudzenie seksualne itd.

Reakcje na treść książki zależą także od percepcji. Ludzie ocytani, inteligentni a typologicznie reagujący mniej emocjonalnie, mogą czytać książki o dowolnej treści, gdyż ich przeżycia szybko się intelektualizują osiagając właściwy dystans. Najgłębsze reakcje wywołują książki u osobników o skłonnościach do historii, łatwo ulegających autosugestii, nie mających

KSIĄŻKA NIE ZASTĄPI LEKARSTWA, ALE...

Metoda biblioterapii ma największe zastosowanie w leczeniu wszelkich nerwic, urazów psychicznych, zaburzeń osobowości i zachowań. Coraz częściej stosowana jest w klinicznym leczeniu alkoholizmu i narkomanii. W drodze identyfikacji z bohaterem, książka odregowuje chorego, wywołując z podświadomości różne tłumione popędy, zmniejsza niepokój i napięcie emocjonalne, poprawia nastrój, odwraca uwagę od własnych, często urojonych problemów.

Leczenie w takich przypadkach ma na ogół zorganizowany charakter. Oprócz leczenia indywidualnego częściej prowadzi się terapię grupową. Zostały opracowane przez naukowców różnych dziedzin: medycyny, socjologii, psychologii całe systemy leczenia nie tylko książką, ale uwzględniające nawet rodzaje literatury.

Do odregowania pacjenta psychoterapeuci wykorzystują często dramat. Już Zigmund Freud pisał, że uczestnictwo w przedstawieniu spełnia dla widza dorosłego takie same funkcje jak zabawy dla dzieci: funkcje identyfikacji z bohaterem. Dramat jest najbardziej sugestywny. Rozwój wypadków odbywa się tu przez działanie, a więc jest najbliższy realnym sytuacjom życiowym. Chory przeżywa problemy, czasem tragedie, przy jednoczesnym zachowaniu pełnego bezpieczeństwa w roli widza. Walory dramatu wykorzystali lekarze pozwalając uczestniczyć również czynnie swoim podopiecznym w „psychodramie”.

SZCZEGÓLNE ZNACZENIE POEZJI

Szczególne walory terapeutyczne posiada poezja. Zbiorowe słuchanie recytacji wiąże grupę, stwarzając poczucie bezpieczeństwa. Ten walor poezji od dawna wykorzystuje się we wszystkich obrzędach religijnych. Przy leczeniu poe-

zją wykorzystuje się nastrój, treść i rytm. To rytm leży u podłoża życia biologicznego, to z rytmu płynie ukojenie, zadowolenie. Wymienię dla przykładu choćby taniec, pływanie, kolysanie dzieci do snu itp. Leczenie poprzez dobór odpowiedniego rytmu, jak uodowodniono zmniejsza czas trwania i nasilenie lęku, zmniejsza skłonność do introwersji, wywołuje z zahanowań.

Ogromnie ważne staje się zastosowanie biblioterapii w rehabilitacji, gdzie nie tylko uwzględnia się ruch i pracę. Równie ważnym jest trening psychiczny; staje się on zasadniczym momentem usprawnienia, jednocześnie daje pożyteczną broń w walce z niedołęstwem fizycznym.

Przystosowanie do upośledzonej sprawności przechodzi na ogół przez kilka faz, od regresji czyli zupełnej bierności, wręcz buntu, poprzez przystosowanie do życia, na początku w gronie inwalidów, a potem ludzi pełnosprawnych. W każdej fazie pacjenta inna książka jest mu potrzebna: początkowo mówiąca jak sobie radzić choćby w znalezieniu pracy, prowadzeniu domu, później zaś mówiąca o budujących postawach inwalidów i sukcesach przez nich osiągniętych, co przecież potwierdza życie.

RÓWNIEM DLA LUDZI STARSZYCH

Metodę biblioterapii wykorzystuje również geriatrya w myśl zasady, że tylko nie zajęty umysł jest nieszczęśliwy. Książką winno się zająć człowieka starszego, przez nią wskazać mu sens życia, ukształtować godną postawę wobec udręk starości a nawet tragedii śmierci. Obniżenie się funkcji życiowych i szereg morfologicznych zmian w poszczególnych systemach i organach nie powinno być przyczyną tragedii, a zwykłym biologicznym dopełnieniem się. Rzecz w tym, żeby równolegle dopełniać się psychicznie, osiagając te dojrzałość życiową, taką filozofia, która potrafi łagodnie nas kołysać. Człowiekiem starym jest tylko ten kto zrezygnował z walki o życie, kto się poddał dobrowolnie wiekowi.

Spoleczeństwa starzeją się coraz bardziej, duży odsetek dzieci rodzi się upośledzonych fizycznie lub psychicznie, z codziennych wypadków przybywa duża liczba kalek. Jeśli dodamy do tego rzesze niewidomych, głuchoniemych, znerwicowanych, to liczba osób wymagających wielokierunkowej pomocy urasta do problemu społecznego.

Wszystkie kraje cywilizowane starają się ten problem łagodzić różnymi dostępnymi metodami. I my, słysząc nie możemy być głusi i widząc nie powinniśmy przejść obok tych spraw niewidomi.

Człowiek potrafi znieść wszystko co wiecie mu las. Stara się zachować to, co mu jeszcze zostało, ale spróbujmy mu w tym pomóc.

ELŻBIETA CIEPLUCHA-PAWLICKA

Portret mężczyzny z brodą na tle graciarni



Widoczny na zdjęciu obywatel z brodą patrzy prosto w obiektyw. Uważny, a nawet i mniej uważny obserwator dostrzeże, że fotografowany nie został przez fotografa zaszkoczone, że sam się do zdjęcia przygotował, upozował nawet. Tuż za plecami obywatela z brodą daje się dostrzec górą jakichś splezionych gratów, nieco dalej czarna (może innego koloru?) zasłona. A więc obywatel

z brodą fotografowany został w jakiejś graciarni. Powtórne spojrzenie na fotografię pozwala dostrzec po obu stronach pomieszczenia framugi rzeźbionych wysokich drzwi. Już się dźwiał takich drzwi nie robi. Więc pomieszczenie na zdjęciu to prawdopodobnie korytarz w starym domu. Gdy spojrzymy jeszcze raz, za czarną zasłoną w głębi zobaczymy kawałek ościężnicy — a zatem pomiesz-

czenie, gdzie został sfotografowany człowiek z brodą to korytarz w starym domu, prowadzący w głąb, w pewnym miejscu przegrodzony rucielarnią. Tyle o fotografii miejsca, gdzie została wykonana fotografia.

Po drugiej stronie fotografii ktoś (może widoczny na zdjęciu człowiek?) napisał długopisem: „Bałuty, 10.IV.1985, Broda Czwarta”.

Aha, jeżeli czwarta, to były widoczne i trzy inne. Jak, gdzie, kiedy? I po co? Dlaczego?

Niestety nikt z siedzących obok mnie w ciepłe popołudnie w Parku Siedzia nie był w stanie udzielić żadnych informacji na temat znalezionej przeze mnie fotografii. Wszyscy zgodnie twierdzili, że brody nigdy nie nosili, portret nie ich, a jeden (jak się później okazało) prywatny rzemieślnik zaklinał się na wszystko, że podatkowi placi regularnie, a rozchody i przychody zapisane ma akuratanie.

Już wiedziałem, że tu niczego ciekawego nie dowiem się nie tylko o Pierwszej Brodzie, ale nawet o Czwartej. Czekano mnie dłużej i uciążliwie siedziwo.

Ponieważ szewe nie opowiada zwykle, w jaki sposób robi buty, nie będę opowiadał o metodach, ale od razu przejdę do rezultatów przeprowadzonego dochodzenia.

Pierwsza Broda widoczna na zdjęciu mężczyzny zaczęła kiełkować piętnaście lat temu. Wtedy to bowiem w wyniku konkursu objął on stanowisko Konserwatora Zabytków miasta Łodzi. Zaczął urzędowanie w niewielkim pokoiku przy cztery metry, w mieście, którego ulice przecinają się w większo-

ści pod kątem prostym, gdzie piłkarze byli zawsze bardziej hotubieni niż bisarze i gdzie o zabytkach mówiono zwykle półgębkiem, bez specjalnego przekonania i jakby wstydliwie. Bo co to za zabytki — te niecałe dwieście lat? Został konserwatorem zabytków w mieście, które nie miało oficjalnie zarejestrowanej listy zabytków nieruchomych. Nie ma rejestracji, to nie ma zabytków. Można burzyć, przerabiać, dorabiać, obrabiać, jak się komu żywnie podoba. Widoczny na zdjęciu obywatel (jeszcze wtedy bez brody) zaczął więc czynić starania o umieszczenie w Dzienniku Urzędowym Rady Narodowej m. Łodzi wykazu zabytków. I tego trzeba było przekonać i owego, i z dołu, i z góry, i z boku wreszcie. Owszem, na konie wszyscy byli już przekonani, ale... jakby... gdzieś... coś... Więc wszyscy chcieli, wszyscy wiedzieli, tylko nic z tego nie wychodziło. To był początek brody pierwszej. Została zapuszczona, a jej właściciel (nosić?) zapowiedział, że dokona uroczystego zgolenia na zalatwieniu rejestracji zabytków.

Na ogół nie zdajemy sobie sprawy, jak trylująca potrafi być broda wśród niebrodatych. Tak drażniące działał barbarzyńcy na gładko wygolonych Rzymian, poń na niepopów, a pewien filozof na kapitalistów.

Wreszcie w Dzienniku Urzędowym RN m. Łodzi lista 230 zarejestrowanych zabytków nieruchomych ukazała się i Broda Pierwsza, po pół roku została zgodnie z przyrzeczeniem uroczystie zgolona.

Na Brodę Drugą trzeba było czekać kilka lat. W tym czasie Konserwator powołał w Ło-

dzi Pracownię Konserwacji Zabytków. Powołał, ale zanim powołał, jak zwykle wszyscy się zgadzali, że trzeba, że właściwie inaczej w ogóle nie można, że i tak dalej. I jak zwykle w ostatniej chwili wśród ogólnej zgody pojawiała się ta jakaś dziwna ogólna niemożność, ta siła tajemna, która nie pozwala. Dlaczego? Nie wiadomo. No, ale w końcu PKZ dowiedział, krótko potem przyszedł czas reformy administracyjnej. Z siedemnastu, żeby było wygodnie, powstało czterdzieści dziewięć i opróżniła się dawna siedziba Urzędu Wojewódzkiego w Pałacu przy Ogrodowej. Konserwator został dyrektorem i w Pałacu zaczął organizować Muzeum.

W zabytkowej części Pałacu, a raczej w części zabytkowej, część. Bo współlokatorem był i pozostał do dziś Urząd Dzielnicy Łódź-Bałuty. Trzeba było wyprowadzić do innych pomieszczeń pocztę, przez którą codziennie przewalały się setki ludzi z Muzeum wiele wspólnego nie mających. I jak zwykle — wszyscy się zgadzali, że trzeba. Zgoda buduje. Więc obywatel ze zdjęcia wybudował mur. Normalny mur z pustaków na wysokość wzrostu przeciętne go mężczyzny — żeby jakos to poczęść od reszty oddzielić. Począta trwała — broda rosła. Przez blisko dwa lata. W końcu pod naciskiem oczywistych potrzeb, a może i trochę pod naciskiem Brody poczęła przeniesiono.

Broda Trzecia pojawiła się wkrótce potem. Tym razem chodziło o wyprowadzenie z zabytkowych sal dawnej giełdy, siedziby zespołu filmowego „Profil” znanego w historii naszej

kinematografii z dotacji i mało znanego z produkcji. Do propozycji zmiany miejsca „Profil” (zgodnie z naturą) cały czas ustawiał się bokiem i za nic nie chciał zrozumieć, że przeznaczanie sal giełdy na galerie obrazów przyniesie kulturze większy pożytek, niż słusza linia „Profilu”. Broda Trzecia od założenia do zgolenia trwała ponad rok.

Obecna Czwarta, widoczna na załączonej fotografii, Broda za inauguracją została 15 lutego 1985 roku. Dotyczy sprawy, która ciągnie się od roku 1983. Chodzi o przekazanie dla Muzeum zabytkowych pomieszczeń Pałacu, przylegających do dawnego pałacowego oranżerii, a zajmowanych od dziś przez biura współlokatorów Pałacu, Urząd Dzielnicy Łódź-Bałuty oraz Biuro Planowania Przemysłowego dla miasta Piotrkowa (ciekawie). Zabytkowa, zajmowana przez Muzeum Historii miasta Łodzi część Pałacu posiada duże sale reprezentacyjne, ale poza tym wszędzie ciasno. W o-wych pomieszczeniach (co do których wszyscy się zgadzają, że powinny pełnić funkcje muzealne) planuje się umieścić Galerię Kultury Teatralnej i Galerię Muzyki im. Artura Rubinsteina. Zbiory są, czekają.

Widoczny na zdjęciu mężczyzna stoi w korytarzu zabytkowej części Pałacu przy ul. Ogrodowej, na tle drzwi do dalszej zabytkowej części Pałacu. Drzwi zawalone zostały stojakami do stelaży. Decyzje pozytywne na najwyższym szczeblu miejskim zostały podjęte.

Człowiek stoi na tle i czeka. Broda rośnie.

Pytanie: jak się nazywa stojący w korytarzu człowiek z brodą? Wśród uczestników konkursu, którzy udzieli prawidłowej odpowiedzi autor oświadczył rozluźnia odpowiednio nagrody.

H. POIROT

MARIUSZ WOJCIECHOWSKI, absolwent Wydziału Aktorskiego PWSFTvT w Łodzi (z 1978 roku), aktor Teatru im. S. Jaracza w Łodzi. Znamy z wielu kreacji aktorskich na tej scenie (Armand Duval w „Danie Kameliowej”, Carlos w „Krawcu”, tytułowy „Henryk IV”, Kogut w „Polowaniu na lisa”, Elis w „Wielkanocy”, Orestes w „Elektrze”, Ignac w „Trans-Atlantyku”, Vladimir w „Czekając na Godota”, Konrad w „Dziadach”, Maurycy Saski w „Adriannie Lecouvreur”), „Srebrny Pierścień” przypadł aktorowi za rolę Gustawa-Konrada w „Dziadach” w reż. Macieja Prusa. W tym samym miesiącu, na XI Ogólnopolskich Konfrontacjach Teatralnych „Klasyka Polska-85”, Mariusz Wojciechowski otrzymał kolejną nagrodę za tę samą rolę.

— Czy były to pana pierwsze aktorskie wyróżnienia?

— Były to moje pierwsze nagrody za konkretną rolę, wcześniej grałem w wyróżnionych spektaklach: „Pamiętki Soplicy” i „Trans-Atlantyku”.

— Jak duża jest satysfakcja aktora, któremu przyznaje się najwyższą nagrodę sezonu czyli „Srebrny Pierścień”?

— Dla mnie osobiście jest to szczególna satysfakcja, bo otrzymałem nagrodę za rolę Gustawa-Konrada w „Dziadach” Adama Mickiewicza. Sama propozycja zagrania tej roli była wyróżnieniem połączone z szokiem, bo skupia w sobie takie elementy, których nie można porównać z żadną inną rolą. Nie chciałbym przez to powiedzieć, że to moja jedyna rola, jaka mnie interesuje, ale przyznając nagrodę właśnie za tę rolę sprawia mi szczególną radość i satysfakcję. Doszło jeszcze miłe zaskoczenie, bo z tego co wiem jestem jednym z najmłodszych laureatów tej nagrody. poprzednio wyróżnieni koleśdzy mają większy dorobek i staż.

— Ile wysiłku i czym w efekcie okupione kosztowało pana zbudowanie postaci Gustawa-Konrada?

— Kiedyś Lidia Zamkow powiedziała, że aktor żyje od momentu, gdy wpina się na tablicę listę z obsadą danej sztuki. Tak też bywa w moim przypadku. Rola Gustawa-Konrada zabrała mi pięć miesięcy czasu i cały ten okres pracy w teatrze wyłączył mnie z innych spraw. Wszystko inne było dla mnie mniej ważne, wszelkie zdarzenia (łącznie z życiem prywatnym) były zdeterminowane tą rolą. Obciążenie było mnóstwo, a niosły je: legenda samego dzieła i roli, która grał najwybitniejsi aktorzy Sztuki była grwana w momentach, gdy coś się w kraju zmieniało, tak było i teraz na aktora odzwierciedlającego główną rolę działało to naturalizująco, z drugiej strony daje niebywały motor do pracy, jakiego nigdy nie doświadczyłem przy żadnej innej pracy. Pamiętam, że gdy przyszedłem na pierwszą próbę „Dziadów” i po raz pierwszy spotkałem się z reż. Maciejem Prusem, z którym znaleźliśmy się sami w sali prób, po trzech godzinach rozmowy wyszliśmy spoceni i to był pierwszy znak, że oczekująca praca będzie dla mnie największym przeżyciem, zarówno aktora jak i człowieka. Koszty próbowania, grania rozkładają się w różnych płaszczyznach, co związane jest z tym jak to odbiera publiczność, nie zawsze łaskawa i chcąca pomóc aktorowi. Poza tym, walcząc ze swoimi słabościami, trzeba walczyć i z publicznością. Ale jest coś co wyróżnia tę rolę nad inne. Nie ma momentu zniechęcenia, zwątpienia. Kontakt z Mickiewiczem poprzez „Dziady” też jest niepowtarzalny, dający takie siły, o które sam bym siebie nie podejrzewał. Osobną sprawą jest wytrzymałość fizyczna. Spotkanie z Maciejem Prusem było w mojej pracy niezwykle pouczające i pozwoliło mi zupełnie inaczej spojrzeć na siebie, na to co zrobiliśmy do tej pory. Sama rola zamknęła pewien etap pracy w teatrze. Stałem przed kolejnym etapem, którego koniec trudno zobaczyć. Jak w każdej pracy są momenty wzlotów i upadków, przy kontakcie z Maciejem Prusem te amplitudy były jeszcze większe, bolesniejsze, ale to wszystko warte było możliwości przeżycia czegoś takiego.

— Podobno po premierze plakal pan i nie można się było z panem porozumieć?

— To prawda, płacz wynikał z kumulacji emocji, które doprowadziły do takiego stanu, który w ten sposób się uewnętrzniał. Ale ja się tego nie wstydzę. W takich sytuacjach osoby znajdujące się bliżej lub dalej, wymagają oświadczeń, de-

lażem odpowiedź na to pytanie, aczkolwiek doskonale zdaję sobie sprawę, że zagranie tej roli będzie determinowało następne role. Porównania będą nieuniknione.

— Konrad zawsze był w pana oczekiwaniach na rolę?

— Po wyjściu ze szkoły pragnienie grania jest tak silne, że często bardzo trudno jest sprezyzować jakie są to role, które chciałoby się zagrać. Myślenie o zagraniu Konrada budziło lęk, o predyspozycjach trudno mówić. Kiedy już zmierzylem się z tą rolą, mogłem stwierdzić, że Konrad jest mi bliższy, bo myśli tak jak ja, chciałbym myśleć i w związku z tym to myślenie chciałbym kontynuować w innych rolach. Ale nie jest to zależne tylko ode mnie, co nie znaczy, że tylko romantyczny repertuar niesie te treści i problemy, bo literatura romantyczna jest tak wielka, że można ją posiadać w rękach największych literatur świata. Jestem również zafascynowany takimi myśleniami reżysera spektaklu, w którym opera się on przeda-

tułowym „Kalgula” w reż. Lidii Zamkow, z rolami w sztukach reżyserowanych przez Mikolaja Grabowskiego („Pamiętki Soplicy”, „Polowanie na lisa”, „Trans-Atlantyku”) czy w „Wielkanocy” w reż. Bogdana Hussakowskiego. Miałem szczęście, że mogłem pracować nad tak ciekawym materiałem w kontekście z tak interesującymi reżyserami, którzy rozniili się indywidualnymi metodami pracy, ale zawsze dążyli do tego samego — aktor jest najważniejszy, lubili pracę z nim, spierali się o to, aby myśl była najistotniejszym elementem spektaklu. Te odmienne od siebie doświadczenia bardzo mi pomogły. Chociaż często Maciej Prus kazał mi o nich wszystkim zapomnieć i powrócić do największej prostoty.

— Wracając do nagrodzonej roli Konrada, pamiętam, że niektórzy recenzenci pisali, że jest pan zbyt młody do tej roli, nie tylko wiekiem, ale i stażem, dorobkiem aktorskim?

— Prawdą jest, że należę do najmłodszych Konradów, nie wiem tylko — czy to dobrze czy źle, że Gustaw-Konrad ma 29 lat. Ale taki pomysł reżysera był głęboko przemyślany, gdyż kilka lat temu zrobił „Dziady” w Teatrze „Wybrzeże” z Henrykiem Bisłą w roli głównej. Moim zdaniem Konrad może być młodym człowiekiem, a myśli, które niesie ze sobą, mogą być problemami młodego pokolenia. Pozostaje żałować, że nie mogłem wszystkich przekonać, że tak właśnie jest. Wszystkie problemy, które niesie ta postać i które ma do załatwienia bohater są bliskie pokoleniu, które ją reprezentuje. Techniczne problemy związane z tą rolą są tak duże, że młodemu aktorowi trudno je w wszystkie przezwyciężyć, a także rozmowa z Bogiem zawsze sięga najgłębiej w duszę i z pewnością każe myśleć, że ktoś kto podejmuje tę rozmowę jest człowiekiem dojrzałym i w związku z tym mającym do tego prawo.

— Ile razy zagrał pan Gustawa-Konrada?

— Na festiwalu w Opolu po raz 45.

— Wciąż dodając coś nowego, rozwijającego, pogłębiającego swego bohatera?

— Każdy spektakl jest kolejną próbą zmierzania się z tym materiałem. Kiedyś jeden z widzów zauważył w rozmowie, że powiedzenie „Wielkiej Improwizacji jest praktycznie niemożliwe. Mickiewicz napisał ją w ciągu jednej nocy i cóż to musiał być za fenomen. Ży w ciągu paru godzin powstał jeden z najwspanialszych tekstów w literaturze światowej. Będąc blisko myślenia tego widza, chciałbym jak najczęściej podchodzić do kolejnej próby powiedzenia Improwizacji, zrozumienia jej. W teatrze każdy spektakl przynosi coś nowego, choć nie zawsze każdy pogłębia rolę. Każdy na pewno jest potrzebny, nawet ten nieudany. Były nieudane przedstawienia „Dziadów”, słońcaż ze sceny zdarzało się, że chciałem wejść na nią raz jeszcze i spróbować zagrać od początku. Lepšie i gorsze spektakle tworzą się w jedna całość i tworzą wspaniałą piramidę, z której trzeba czerpać, odrzucać to co zię, brać to co najlepsze.

— Nagroda aktorska w Opolu przyniosła nowe satysfakcje?

— „Dziady” były zaproszona już na poprzednie X Konfrontacje Klasyki Polskiej do Opolu, ale premiera odbyła się z tygodniowym opóźnieniem i już w czasie trwania festiwalu. Przez miniony rok wiele osób widziało „Dziady”, ukazało się wiele recenzji, opinii, odbyło się wiele rozmów. Dlatego tegoroczny wyjazd był dość specyficznym, bo jednak spektakl znany. Konkurencja była niezmienna i taka sama, isticie sportowa, trema paralizująca, co miało swoje dobre i złe strony.

Opolski spektakl przeżyłem chyba najbardziej spośród wszystkich dotychczasowych. Warunki w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu są inne od łódzkich, jest większa scena, inne rozwiązania techniczne, co ostatecznie dodało spektaklowi świeżości. Po przedstawieniu byłem okrutnie zmęczony, jak nigdy dotąd. Najważniejsze, że spektakl został zauważony, doceniony, otrzymał kilka nagród i to było największą dla mnie satysfakcją.

— Wybierając zawód aktora zapewne założył pan sobie pewne kalkule: powodzenie-niepowodzenie, sukces-porażka, po-

pularność-anonimowość, graniczywanie balabardy?

— Granie.

— Gdzie znajdując potwierdzenie, że dekonal pan sztucznego wyboru?

— Twierdzą, że szczęście w tym zawodzie odgrywa ogromną rolę. Miałem okazję grania na scenie, a pracę w teatrze przedkładam nad wszystkie inne miejsca.

— Ale nie zrobił pan ogólnopolskiej kariery, nie blyszczal w filmie, TV, jedynie w dubbingu, choć na początku zapowiadał się pan na gwiazdora?

— Potrzebne jest duże szczęście, ja go poza teatrem nie miałem.

— Nie myślał pan o przeniesieniu się do Warszawy?

— Mam świadomość, że można w Łodzi zagrać kilka głównych ról i być niezauważonym poza miastem, ale zagranie w Warszawie jednej, dużej, wysokiej oceniej roli może przynieść popularność i propozycje z filmu lub TV. Miejsce aktora jest tam, gdzie jest potrzebny, wydawało mi się, że jestem tu potrzebny i tu znajduję satysfakcję. Dziś wiem, że nie ruszę jej szukać gdzie indziej. Choć jestem również zwolennikiem pewnego ruchu w teatrze i twierdząc, że aktor powinien zmieniać zespoły możliwie często.

— Gra więc pan w Łodzi, same główne role lub czołowe, tylko że na taki luksus może sobie pozwolić niewielu aktorów?

— „Luksus”, to pana ulubione określenie.

— A zna pan inne na swoje powodzenie w teatrze?

— ...

— Gra pan wyłącznie poważne role (tragiczne lub romantyczne). Dlaczego nigdy nie próbował pan swoich sił w kabarecie, na scenie Teatru „713”?

— Należę do aktorów nie śpiewających i mówię o tym z żalem, bo zdaję sobie sprawę, że w pewnych spektaklach nie mogę grać. Oglądając je jako widz mam duży szacunek dla kolegów i zazdroścę im skrycie tych umiejętności.

— Przyznaje się więc pan, że nie jest aktorem wszechstronnym, lecz o określonych predyspozycjach do grania pewnych ról?

— Pewnie można mnie tak określić.

— Ale teraz smakuje pan sukces?

— Jeżeli to rzeczywiście jest sukces, to smakowanie polega na tym, że mobilizuje mnie do pracy, a moja kolejna rola nie była zbyt uciążliwa, więc właściwie w tej chwili smakuje porażkę.

— Ktoś mądry i uznany w branży aktorskiej powiedział, że aktorstwo to zawód ogromnie niszczący, jeżeli ten kto go uprawia nie stworzy sobie bariery ochronnej?

— Myślę, że taka bariera jest rzeczywiście potrzebna aktorowi, gdybym sam miał odpowiedzieć sobie na to pytanie, to owa bariera w moim przypadku jest niedostateczna. Podejrzewam, że tego trzeba się nauczyć, że bariera staje się grubsza, mocniejsza, silniejsza poprzez kolejne doświadczenia. Ona jest szczególnie potrzebna młodym aktorom, bo u nich łatwiej jest o załamanie i utratę wiary w siebie. Ale kiedyś powiedziałem sobie, że dopóki będę miał satysfakcję z pracy, a ona choćby w minimalnym stopniu przeniesie się na satysfakcję widza, to wtedy bariera sama będzie się tworzyła i w jakimś sensie chroniła. Jest wiele zawodów bardzo niebezpiecznych, w których ludzie pracują z narażeniem życia, a jednak wykonują je. Mam poczucie, że zawód aktora jest w tej chwili nie doceniany, stracił swoją rangę i wiele by można mówić — dlaczego tak się stało. Ale nie ulega wątpliwości, że jest to zawód bardzo potrzebny, bo sam teatr jest potrzebny ludziom i czasami zdarza się, że moje myślenie znajduje odzew wśród publiczności i to jest najwspanialsza bariera ochronna.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Zanotowane na marginesach

Strogonow z serca

Jakoś dwa lata temu ktoś (nie chce się wrazać — bądź co bądź był to gość...) podprowadził mi z biblioteki „Rozmyślenia przy gołeniu” Dygata. Dlatego uczeszyłem się, gdy uroczaj i wspaniała pani Blanka z księgarek PIW na Foksal (w stolicy, a gdzież by) obcieła mi odłożyć „Rozmyślenia...”, wychodzące właśnie w serii dzieł zebranych mistrza. Tydzień temu zrealizowałem ów kontrakt (przy okazji serdeczne podziękowania i pozdrowienia, pani Blanko), a gdy książkę wziąłem do ręki, poczułem jakieś, nieznaczące, ale jednak, ukłucie w okolicy serca: oto w jednym tomie, obok znanych mi „Rozmyślań...” wydawca pomieścił istną gratkę dla smakoszy — felietony satyryczne Dygata ze zbioru „Wiosna i niedźwiedzie”, wydanego w 1953 roku i niemal zupełnie zapomnianego.

Czytam te socrealistyczne perleki po raz któryś i na nowo odkrywając egzotyczny świat zielonych koszul, wielkich świetlic, przyfabrycznych kółek dramatycznych z Szekspirem w repertuarze, przodowników pracy z pierwszych stron gazet, chowliakowo wstecznych inteligentów i obrzydliwych biurokratów, że o parszywym Trumanie nie wspomnę. Jestem badaczem (aczkolwiek bez patentu, ot, zwykłym amatorem) tamtych czasów, mogącym pozwolić sobie na komfort podjęcia sine ira et studio, jako że nie obciążają mnie żadne osobiste emocje: urodziłem się dokładnie wtedy, gdy to się zaczęło...

Lektura ówczesnej prasy (nb. pasjonujące dziś zajęcia) i socrealistycznej literatury, oglądanie starych filmów i kronik — nie budzą we mnie żadnych nostalgicznych uczuć. Poza jedną konstatacją, którą wypowiadam nie bez żalu: podzieliłmy wtedy nie tylko śmiałość próby budowy wielkiej socjalistycznej gospodarki, ale także zachwałę i jedyną w swym rodzaju — jak dotąd — próbę kompleksowego ukształtowania zupełnie nowego człowieka. Gdy ten eksperyment zawalił się z trzaskiem pod ciężarem dogmatów i schematów z niereczywistego świata, już nigdy nie spróbowałimy jeszcze raz...

A przecież wiemy, że w procesie rewolucyjnych zmian właśnie świadomość najbardziej jest konserwatywna i najmocniej wymaga uwagi (oraz czasu). Samo przywrócenie pluralizmu idei w publicznym życiu umysłowym nie zastąpi walki o to, co pożądate.

Na nowo odkryłem też Dygata, do którego jestem bardzo przywiązany, aczkolwiek uważam, że pisarzem był raczej drugorzędny. (Zadna miara nie jest to epitet...). Ale to, jego cudowne mistrzostwo języka, dyscyplina i zwięzłość, swowista „filozofia wypowiedzi”. Nie, nie jest to objawienie ani wzór — raczej ulga dla czytelnika.

Między „Wiosna i niedźwiedziami” a „Rozmyślaniami...” upłynęło sześć lat, i to jakich — nie ma sensu porównywać obu tych zbiorów. Siegnę tylko do cytatu z „Rozmyślan przy gołeniu”: „Korzystanie z rzeczy, które nie przychodzą same do głowy, jest oszustwem, które winno być karane”. Myśl ta towarzyszy mi — bardziej może intuicyjnie niż „na rozum” — od lat. Jest to jedyna racja nie tylko uprawiania literatury — sadze, że także dziennikarstwa. Dlatego nie cierpię kompilatorów i przezwyczajonych cudzych dzieł, tak rozpaczonych w moim fachu (choć niewątpliwie czasem przydatnych). Ale niech mnie orzują z daleka, tak jak ja to robie...

A dlaczego „Strogonow z serca”? To po prostu pierwszy zapisek na marginesie „Rozmyślan przy gołeniu” — nazwa potrawy w zielonobrudnym sosie „agridulce” królującej tego dnia w mehu obiadków firmowych knajpy stowarzyszenia dziennikarzy, gdzie udałem się po nabyciu tomu Dygata (jeszcze raz dziękuję, pani Blanko). Wolałem zjeść brizol pod małą wódkę.

TOMASZ SAS

Srebrne Pierścienie 85

Tragik romantyczny



Mariusz Wojciechowski jako Gustaw-Konrad w „Dziadach” w reż. Macieja Prusa

— Decydujące i wręcz kapitalne, zamknięcia pewien etap pracy czyli mojego bardzo emocjonalnego stosunku do postaci, które grałem. Rola Gustawa-Konrada też jest taką z emocją jako element dominujący, ale kontakt z panem Prusem otworzył przede mną nowe rejony drżenięcia we mnie. Ukazały się wszystkie moje słabości, niedostatki, nad którymi mogłem tu popracować. Ta rola uświadomiła mi jak ważnym momentem było, iż właśnie ten spektakl powstał w takim a nie innym okresie, bo w momencie dość istotnym dla każdego Polaka. Mogłem sobie niebawem spojrzeć w siebie. Bardzo długo zastanawiałem się — co będzie dalej, jakie role mogę zagrać po Konradzie. Dziś zna-

wszystkim na aktorze, stawiając go na pierwszym miejscu, dając mu niepowtarzalną szerszą wypowiedzenia do końca. Ta otwartość i czystość Macieja Prusa jest mi strasznie bliska i gdybym mógł grać takie role, le we współpracy z podobnie myślącymi reżyserami, to byłbym bardzo zadowolony.

— A doświadczenia uzyskane z poprzednich zadań w teatrze, czy stworzył bazę, z której mógł pan czerpać środki potrzebne mu do budowania tej najtrudniejszej z ról?

— Zawsze jest tak w teatrze, że każde wykonywane zadanie jest tym, które w jakimś stopniu procentuje w następnym. Tak było z dyplomowym, ty-

ZAUFANIE STRACIĆ LATWO...

Nie wierzę w żadną spółdzielczość mieszkaniową działającą przy zachowaniu obecnych struktur organizacyjnych, prawnych, gdzie rolę „satelitów” spełniają społeczne komisje mieszkaniowe, rady nadzorcze i rady osiedlowe. W myśl statutu spółdzielczego, niby wszystko w porządku, poszczególne komisje działają samodzielnie, ale tylko na pozór. A tak naprawdę spełniają polecenia zarządu, prezesów, innych „etatowych” działaczy spółdzielczości, przywiązanych dożywno do zajmowanego stołka, stanowiska społecznego.

Stąd między innymi wynika bardzo nisko zainteresowanie organizowanymi corocznymi spotkaniami grup spółdzielczych w nowych osiedlach. Są to fakty, świadczące, że coś tu nie jest zupełnie w należytym porządku. Cała lawina skarg, prób i zażaleń, też mówi sama za siebie. Kto chociaż raz w życiu zetknął się z nadmiernie rozbudowanym aparatem spółdzielczym, mógł wyciągnąć dla siebie odpowiednie wnioski.

Zastanawiałem się nieraz, dlaczego niektórzy prezesi, członkowie zarządu niemal dożywno sprawują swe funkcje? Piastują te stanowiska z rozpędu, nie z woli spółdzielców, i właśnie w tym widzę poważne zagrożenie dla zdrowego ruchu spółdzielczości mieszkaniowej, która coraz bardziej kuleje, traci zaufanie wśród milionowej rzeszy członków. Stare, dobre tradycje spółdzielczości ulegają wypaczeniu z powodu niskich pobudek moralno-etycznych niektórych osób, chociażby w majestacie prawa było wszystko w porządku. Stanowczo za mało przywiązujemy uwagi przy doborze kandydatów na ekspozycyjne stanowiska w spółdzielczości, na cechy charakteru danego człowieka, te prawdziwe, nie pozorowane, ekspozycyjne na zewnątrz.

Wiem, że zostałem przykładnie ukarany za nadmierne „wychylenie” się, co mi oświadczył robotnik wręczając klucze do mieszkania rotacyjnego na XI piętrze, widząc moje ułomności fizyczne i małe dziecko. Wiadomo — inwalida. Ale ten fakt nie był brany zupełnie pod uwagę. Otrzymałem przydział na mieszkanie rotacyjne, nie docelowo, a które ubiegałem się od przeszło czterech lat. Trzeba było mieć chody, stosunki i układy, ale ja ich nie miałem. Być może dlatego zdecydowano mi przydzielić mieszkanie rotacyjne, wbrew wszelkim wymogom, przepisom spółdzielczym. To wszystko delikatnie mówiąc zakrawa na kpiny w żywe oczy.

Dla potwierdzenia mojej wypowiedzi mogę użyć odpowiednią dokumentację, zbraną w czasie starań o przydział dachu nad głową dla mnie i małoletniego synka. A namiętność się tego dość sporo. Cała pękata teczka.

A.Z.
(Nazwisko i adres znane redakcji)

ŚMIESZNE? NIE, SMUTNE!

1.

Myślałem, że ziemniaki w Polsce są tak powszechnie znane, że nie ma mowy, aby ktoś mógł je pomylić na przykład z pietruszką czy pieczarkami. Myślałem także, że skoro mamy kryzys, skoro papieru nie starcza na drukowanie prasy w ilości zaspokajającej zapotrzebowanie na nią, to gospodarowanie papierem odbywa się niemal przy użyciu aptekarskiej wagi. Myślałem, że skoro baza poligraficzna jest wyczerpana, maszyny drukarskie zużyte, części zamiennych brak, farb drukarskich brak, a dewiz na ich zakup także brak, to przy przyjmowaniu zamówień na wszelkie akcydensy następuje ostra selekcja tych zamówień. Wreszcie myślałem, że skoro cała Łódź i kraj też cierpi na brak rąk do pracy (proszę popatrzeć na ogłoszenia zamieszczane przez prasę codzienną o poszukiwanych pracownikach), to każdy zatrudniony pracownik jest wykorzystywany jak najbardziej racjonalnie i efektywnie. Bo przecież mamy kryzys, ale także mamy reformę gospodarstwa.

Otóż okazuje się, że zupełnie myślałem. Widocznie zachodzi obawa, że kupujący ziemniaki może zostać oszukany przez sprzedawcę i zamiast ziemniaków dostanie np. mrożone porzeczki. Bo czym innym można wytłumaczyć fakt, że

związek spółdzielni ogrodniczych do każdej porcji ziemniaków sprzedawanych w plastikowej siateczce, dołącza wielokolorową etykietkę o wymiarach 4x12 centymetrów, ozdobioną fotografią trzech ziemniaków i napisem: „ZIEMNIAKI — WYBÓR”. Na etykietce jest również nadruk: „data produkcji” (0), „cena zł/„netto„kg/szt”. Fakt, że nie kpinar: „kilogramów — sztuk”. Tyłko przeliczyć i wypełnić puste miejsce na to przeznaczone. Załączam zresztą tę etykietkę, bo obawiam się, że mi redakcja nie uwierzy.

Jaką funkcję spełnia ta etykietka? Nie wiem. Nie informuje o niczym, bo stosowne miejsca na niej nie są wypełnione (waga, cena). Nie informuje nawet, że ziemniaki — to ziemniaki, jest bowiem tak wcześnie w zawartość siateczki, że odnajduje się ją dopiero po zużyciu ziemniaków zakupionych w rezultacie „na wiarę” (w bezwzględnej wierze). Z pewnością wszakże powoduje wzrost kosztów, które oczywiście zostają wliczone w cenę. Klient zapłaci. Nie tylko za etykietkę. Każda bowiem etykietka opatrzona jest pieczęcią tuszową z napisem „WSOP — Łódź P-1”. Znaczący to, że jakiś pracownik Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej każdą z tych etykiet musiał ostemplować. Pracownik otrzymuje wynagrodzenie. Płace pracownicze wpływają na poziom ceny. Ale nie to! Klient zapłaci. A że pracownik wykonuje nikomu niepotrzebną pracę, to pewnie też mało ważne. W końcu i tak mamy deficyt sily roboczej.

Nie wiem, w jakim nakładzie wydrukowano te kartoflane etykietki. Wiem, że o tyle właśnie za duży. Wiem też, że niepotrzebnie zużyto farb drukarską i niepotrzebnie zaangażowano moce poligrafii. Ktoś kiedyś ukuł dowcip, że w gospodarce naszej całą parą idziemy do przodu. Z tym, że połowę tej parę zużywamy na gwizdanie. Śmieszne? Nie, smutne.

Być może, że po opublikowaniu tego tekstu redakcja otrzyma z WSOP wyjaśnienie, z którego będzie wynikało, że nie mam racji i się oziębiam. Za pracownika, to nie pracownik, tylko emeryt na pół etatu, że ziemniaki pt. „wybór” muszą być etykietowane. że na cenę ma to wpływ minimalny. że wszystko jest zgodne z przepisami. Gdyby tak jeszcze było zgodne z zdrowym rozsądkiem...

2.

Brak jest urzędowej definicji „działacza gospodarczego”. Raczej intuicyjnie czujemy, że jest to organizator życia gospodarczego, obdarzony nie tylko inicjatywą, ale także umiejętnością analitycznej oceny zjawisk i wyprzedzania z nich syntetycznych wniosków, strategii i taktyk, dostrzegający i uwzględniający w swych działaniach nie tylko partykularne interesy jednostki, w której jest zatrudniony, czy branży, do której jednostka ta przynależy, ale także interesy ogólne, społeczne i krajowe. Od działacza oczekujemy też, aby te interesy ogólne preferował ponad własny, jednostkowy interes.

Są to walory, którymi charakteryzuje się (lub powinny się charakteryzować) osoby piastujące kierownicze stanowiska w naszej gospodarce. Z racji tych walorów (lub oczekiwań, że zostaną ujawnione), dyrektora przedsiębiorstwa uważamy za działacza gospodarczego. I jest to chyba zasadne. Z pewnością bowiem dyrektor to nie tylko „urzędnik gospodarczy na kierowniczym stanowisku”, którego brak niczego w życiu przedsiębiorstwa nie zmienia, którego duża nawet nieobecność w kierowanej jednostce nie powoduje żadnych dostrzegalnych zmian w jej funkcjonowaniu.

Jeżeli wielomiesięczna nieobecność dyrektora w przedsiębiorstwie nie wpływa ujemnie na działalność i rozwój tego przedsiębiorstwa, a tym bardziej jeśli w tym czasie przedsiębiorstwo notuje osiągnięcia, jakich nie miało poprzednio, to oznacza to, że albo dyrektor nie był działaczem za jakiegoś był uważany, albo, że zastępujące go osoby cechują się nie mniejszymi bądź większymi niż on walorami. Jeśli zaś przedsiębiorstwo w tym czasie przetrwać będzie zastój lub regres, to oznacza, że długotrwała nieobecność dyrektora przynosi szkodę przedsiębiorstwu i jest niepożądana.

Wiem, że to, co napisałem nie jest odkrywcze. Napisałem to dlatego, że słyszałem o wypadkach, że dyrektorzy przedsiębiorstw w swych macierzystych jednostkach uzyskują długotrwałe urlopy bezpłatne, roczne lub dłuższe, i w tym czasie angażują się do pracy — już nie na dyrektorskich stanowiskach — na ekspor-

towych robotach zagranicznych. Praca taka, jak wiadomo, daje zarobek nie tylko w złotychkach.

Powie ktoś — i cóż w tym złego? Dyrektor też człowiek i skoro ma możliwość „podreperować się” finansowo, to dlaczego nie miałby skorzysta? Przecież ten sam dyrektor wyraża zgodę na wyjazd za granicę swojego pracownika i udziela mu na ten cel urlopu. Dlaczego sam miałby być w gorszej sytuacji?

Otóż wydaje mi się, że jest jednakże istotna różnica pomiędzy robotnikiem przedsiębiorstwa a jego dyrektorem. Ze status „działacza gospodarczego” zobowiązuje do czegoś więcej, niż do sprzedawania własnej pracy na najkorzystniejszych warunkach. Ze zobowiązuje przede wszystkim do stałej troski o przedsiębiorstwo przez niego kierowane. I że tej troski i starań o sytuację i rozwój przedsiębiorstwa nie można „zawiesić” na okres roku, ryzykując jego zastój lub regres gospodarczy, ale równocześnie — poprzez fakt urlopu — gwarantując sobie powrót, po wygaśnięciu kontraktu zagranicznego, na dotychczasowe, dyrektorskie stanowisko. Takie postępowanie uważam za niezgodne z etyką, jaka powinna cechować działacza, który z racji swej funkcji stanowi wzorzec postępowania dla innych, niższych mu ranga funkcjonariuszy aparatu gospodarczego.

Nie neguję prawa dyrektora do starań o własną sytuację materialną, o stworzenie godziwego bytu dla siebie i rodziny. Ale nie na zasadzie „i wodę przepłynąć i nogi nie zmoczyć”. Decyzja o rezygnacji z dotychczasowego statusu na rzecz robienia większych pieniędzy, powinna łączyć się z ryzykiem trwałej utraty tego statusu, tak, jak łączy się z ryzykiem szkody dla przedsiębiorstwa. Dyrektor, który angażuje się do pracy w ramach kontraktu zagranicznego, powinien przed uzyskaniem bezpłatnego urlopu na ten cel, złożyć rezygnację z zajmowanego stanowiska, ewentualnie udzielenie urlopu powinno być uwarunkowane złożeniem takiej rezygnacji. Żadne społecznie uzasadnione przesłanki nie usprawiedliwiają zachowywania dyrektorskiego fotela dla takiego działacza, który preferując interes osobisty, opuszcza własne przedsiębiorstwo na długotrwały okres.

Jeśli tak się nie dzieje, to nie jest to niestety, ani wesołe, ani śmieszne...

3.

Tygodnik „Rzeczywistość” w numerze 14/83 drukuje list czytelnika, który na własne oczy widział „trudny pieniądz”. Otóż w jednym z warszawskich kiosków usiłował kupić papierowy młody człowiek, z wyglądu — jak pisze czytelnik „Rzeczywistości” — „pomocnik malarza pokojowego lub pompowca kół na stacji CPN”. Zdenerwowany, że sprzedawczyni nie miała reszty z tysiąca złotych, którymi chciał zapłacić za zakup, obrzucił ją wyzwickami, po czym podał 1000-złotowy banknot na ośmiem części i rzucił jej w twarz. Komentując to niecodzienne zdarzenie, czytelnik „Rzeczywistości” pisze, że tak oto był „świadkiem, jak chodzi swoją „ścieżką” rządowa polityka trudnego pieniądza i „swoją” traktowanie go przez niektórych przedstawicieli „świata pracy”. Tym „niektórym”, czytelnik proponuje nie podwyższać zarobków co najmniej do 2000 roku.

I chyba ma rację. Tylko jak odróżnić rodzimych Rockefellerów, przypominających z wyglądu „pomocników malarza pokojowego” od innych, może wyglądających lepiej, ale których nie stać na takie gesty? Obawiam się, że Urzędowi Skarbowemu musi tu służyć pomoc Milicja Obywatelska.

To też nie było ani wesołe, ani śmieszne...

PIOTR SIKORSKI



OGŁOSZENIE MATRYMONIALNE CZYLI TĘSKNOTA DO ZOSI

Szanowna Redakcjo!
Zwracam się z uprzejmą prośbą o zapoznanie mnie z niejaką Panią Zosią, nazwiska — niestety — nie znam. Rzeczona Pani Zofia jest znaną Szanownej Redakcji, o czym przekonałem się w dniu 8 maja roku bieżącego.

Wyjaśniam, że zamierzam poznać Panią Zosię w celu osobistym, tzn. zawrzeć z wyżej wymienioną związek małżeński. Może być cywilny, ale lepiej również kościelny. Nadmieniam, że posiadam obrączki z próbą, nie żaden tom-bak, oraz czarny garnitur w dobrym stanie. Ewentualnie suknie ślubną można wypożyczyć ze względów praktycznych — po co kupować sukienkę na jeden raz?

Informuję dodatkowo, że jestem rencistą trzeciej grupy, ale jestem zdrowy, lat pięćdziesiąt. Dorabiam jako zdun, na boku... Mogę zdradzić sekret, że te rentę uzyskałem w sposób legalny, przy pomocy znajomego felcera, któremu wręczyłem korzyść materialną. Jestem zdrow, pale mało, wódkę pijam okazjonalnie, przy święcie państwowym albo rodzinnym, no, chyba że klient po robocie postawi, to wtedy odnowić człowiek inteligentny i wychowany po domowemu nie może.

Ja osobiście byłem w Szanownej Redakcji, jak wzmiankowałem powyżej, w dniu 8 maja roku bieżącego w celu zamieszczenia ogłoszenia matrymonialnego w gazecie pod tytułem „Express Ilustrowany” godz. 14.00”.

I w tym miejscu zmuszony jestem złożyć na Szanowną Redakcję zażalenie. Nie, do żadnych władz tego zażalenia nie składam, tylko na ręce samej Szanownej Redakcji, żeby wiedziała co i jak i ewentualnie doprowadziła do usprawiedliwienia komunikacji i orientacji w budynku, w którym Szanowna Redakcja ma zaszczyt się znajdować.

Budynek rzeczony ma wysokość — na oko — dwóch wież kościoła parafialnego w mojej wsi rodzinnej tj. w Zapalnikach, gmina Niewypały w województwie łódzkim. Mogę to spokojnie stwierdzić jako fachowiec z branży poniekąd budowlanej.

W budynku — jak zdołałem ustalić osobiście i przy pomocy jeszcze jednego obywatela, również narodowości, że tak powiem, łódzkiej, bo z miasta Konstanczyna, który także samo jak ja zbladził w Waszym Szanownym Gmachu, znajduje się pięter trzynastę, niezależnie od piętra cztertnastego, gdzie winda wprawdzie dochodzi, ale wstęp jest wzbroniony przy pomocy tabliczki „Telewizja Polska”.

Otóż krytycznego dnia udałem się do redakcji

wymienionego już tytułu przy pomocy informacji portiera, winda. W windzie był napis „Express”, co się okazało niestety złudzeniem optycznym, a raczej — żeby nie używać w stosunku do Szanownej Redakcji słów ogólnie uznanych za obelżywe i nieprzyzwoite — zwyżczajną grandą. Mianowicie dojechałem wymienionym dźwigiem osobowym aż na piętro cztertnaste, skąd zostałem wydalonny w trybie natychmiastowym.

Piętro niżej natomiast wszedłem do jednego pokoju, gdzie jakiś obywatel z brodą i w okularach pisał na maszynie. Nie chciałem przeszkadzać, wszedłem do pokoju sąsiedniego, gdzie zastałem... tego samego osobnika! Tylko że rozmawiał przez telefon. Już cokolwiek zdenerwowany zająłem do trzeciego pokoju, gdzie zobaczyłem aż dwóch takich samych, za przeproszeniem Redakcji, brodatych okularników! Wówczas także, mimo zdenerwowania, zasiadłem po raz pierwszy wymienionemu na początku mego listu imię Zosia.

Jeden brodac okularnik mówił do drugiego: — Jak będzie wreszcie Zosia to inne — powiada — życie będzie! Herbata, kanapki, kaniak. Inne życie!

Nie mam zwyczaju — podstuchiwać rozmów, zwłaszcza dotyczących osób nie znanych mi kobiet, toteż wyszedłem przedko i zapukałem do następných drzwi. Okazało się, że w pokoju urzędował tym razem zupełnie inny osobnik, normalny, tzn. nie posiadający brody, wąsów ani okularów. Nawet przedstawił się: — Gada — powiada — jestem, czym mogę służyć?

Musił to być bardzo ważny redaktor, może nawet Najważniejszy. Wiem, bo ma nawet w Łodzi własną ulicę. Szwagier mojej żony zamieszkuje w Łodzi, w dzielnicy Stoki, przy ulicy właśnie tego redaktora, czyli Gady. Co w tym przypadku wcale nie oznacza żadnego, za przeproszeniem, góralskiego pastucha, ani innego zbrojnika, tylko właśnie Wielce Szanownego Redaktora. Powiedziałem o co chodzi, pokazałem ogłoszenie.

— Tak i tak — powiada Redaktor — ogłoszenie jest do Expressu, a tu jest tygodnik „Odgłosy”. Trzeba zjechać niżej.

Do tej windy to ja już zaufanie straciłem, jako do dźwigu osobowego i zszedłem po schodach.

Piętro niżej co było, to strach pisać... Nie, ludzie, owszem, uprzejmi, próbował mnie skierować gdzie trzeba, tyle że instytucja nazywa się, wprost strach powtórzyć!

Na tablicy napisane było „Krajowa Agencja Wydawnicza”.

W tarapaty wpadłem, Józku — mówię sobie — o agencjach różnych, a to Claję, a to Irbieję to ja się w telewizji nasłuchałem, przeważnie od redaktora Barańskiego i Ubermana, wiem czym to pachnie... A to jeszcze agencja „wydawnicza”. Wydadzą człowieka, ani okiem mrugnie i już co najmniej trzy lata zapaleni... Szczerście, że chociaż krajowa. Jak krajowa, to i ludzie krajowe? Może łapówki przyjmują? Albo pijące są?

Stoję ja tak koło tej tabliczki i na placę mi się zbiera. Chciało ci się — myślę sobie — żeniaczki! Ogłoszenia matrymonialne dawać Czarny garnitur kupować! Będziesz miał za swoje... A lipna renta? A bójka na chrzcinał u Florczaka? A... Co ja będę mówił. Na sumieniu, jak każdy prawowładny obywatel, coś tam mam.

A tu korytarzem idą sobie takie sympatyczne dwie panie, nieduże, blondynekki, coś tam sobie mówią i uśmiechają się. Zamiast czekać, aż się do mnie jako poważny agent dobierze, lepiej już od razu do nich się zgłoszę.

— Szanowne Panie Agentki Krajowej Wydawniczej, ja Józef Bywały zamieszkały w Zapalnikach, gmina Niewypały, rencista, oświadczam...

Tu blondynki zaczęły chichotać i mówią: — Oświadczysz się pan możesz, ale nie z tego, bo jesteśmy zamężne. Co do agentek, to ja jestem księgową, a ta pani to jest redaktorka... Może pan niezdrows? Niech pan wejdzie do pokoju i spocznie, zrobimy herbatkę...

Robią te herbatki i pogadują, jak to kobiety: — Żeby Zosia wreszcie była, to i kawa, i herbata, i jeszcze ciasteczka byłoby na miejscu... Znow ta Zosia! Jakaś fajna kobitka musi być...

Herbatkę wypilem, zająłem jeszcze do kilku pokoi.

Dopiero przed gabinetem ichniejszego naczelnego agenta przypomniałem sobie gdzie jestem: drzwi obite, żeby nie było przez nie słyhać. Znaczą, żeby tych krzyków i jęków nie podstuchać... Przeżegnałem się ukradkiem i uciekam.

Piętro niżej. A tu drzwi zamknięte. Obszedłem, przez te nieszczęsną agencję znowu, z drugiej strony. Drzwi zamknięte! Biegiem do windy! Czy ja się z tej agencji nigdy nie wydoszczę?

Szczerście winda zatrzymała się piętro niżej. Wielki napis zobaczyłem: „Karuzela”. Dobra nasza! Zawsze lubiłem karuzelę!

Idąc korytarzem natknąłem się na człowieka i to przyjemnego: starszy, poważny, siwe włosy na jeża ostrzyżone i mrugnął do mnie. Wesoły

taki jakiś! Też do niego mrugnąłem, ale nic nie mówię, tej karuzeli szukam...

W pokoju na końcu korytarza siedział taki, też sympatyczny, od razu widać, że wsiowy. Z wąsami, a jakże. Mówię co i jak. A ten tłumaczy, że tu karuzeli żadnej nie ma, tylko redakcja. Jak tu wierzyć w pisanie! A co do ogłoszenia — powiada ten wsiowy — to po co panu się żenić? Żle panu?

Niby racja. Dowiedziałem się jeszcze, że „Express” jest piętro niżej. Znow tą windą cholerną, za przeproszeniem Redakcji Kochanej, bo drzwi wszystkie pozamykane.

Wreszcie jestem w „Expressie”. Wchodzę do pokoju, a tu panienka. Tyle że drzwi z dwóch stron pootwierane. Za jednymi siedzi redaktor jakiś, chyba zwykły, nie żaden ważny, bo pracuje jak mrówka, wcale go zza papierów nie widać. Za drugimi drzwiami inny znow, taki więc niepoważny, chodzi po pokoju i rękami nieskładnie wymachuje. A brodę miał, uczciwszy uszy, jak Koziołek Matołek...

Wycofałem się z pokoju. I znow na korytarzu słyszę:

— Żeby wreszcie Zosia tu była, nie latałyby człowiek byle gdzie, napiły się herbaty albo i piwa na miejscu...

A inny znow redaktor powiada: — Nic z tego nie będzie, póki się Mikołajczyk za to nie weźmie. Zobaczcie jak Mikołajczyk przyjedzie, nareszcie będzie porządek!

Toś ty taki — myślę sobie — na Mikołajczyka czekasz? Może jeszcze i na Andersa i Białego konia? Oj, bo pójdę wyżej, do Krajowej Agencji, to ci te londyńska tęsknotę sprzed czterdziestu lat wybiją... A swoją drogą, ta Zosia, co o niej wszyscy mówią, podoba mi się coraz bardziej...

Wreszcie i z „Expressu” — po niemalych trudach — wydoszczę się. Dowiedziałem się w pokoju, co na drzwiach miał napisane „Sekretarz Redakcji” (POP znaczący się?), że ogłoszenie trzeba dać na dole, w biurze ogłoszeń.

A co mi tam ogłoszenie, kiedy ja już i tak zakochany jestem, choć narzeczonej nie widziałem na oczy...

Dlatego zwracam się do Szanownej Redakcji o adres Pani Zofii, o której wszyscy tam w Waszym gmachu mówią. Kobita gospodarna tak ładna! I ja też tylko jej chcę albo ładnej. Załączam kopertę zaadresowaną ze znaczkiem, żeby Szanownej Redakcji na koszt i robociznę nie narażać. Oczekuję odpowiedzi pozytywnej, odwdzięczyć się potrafię, jakby Redaktorowi, nie daj Bóg! — piec dymić albo co.

JÓZEF BYWAŁY
(Wieś Zapalniki, gmina Niewypały)

1. KOGO STAĆ NA ZŁĄ ARCHITEKTURĘ?

To nieprawda, iż nie stać nas na dobrą architekturę. Jako społeczeństwo o niskim dochodzie narodowym nie stać nas na złą. Dowodem mogą być niektóre budynki przedwojenne. Proces ich starzenia się jest prawie niewidoczny. W przeciwieństwie do starzenia się współczesnych.

W ocenie ekonomicznej obowiązuje „rachunek ciągłości”, w którego skład do kosztów realizacji należy włączyć koszty eksploatacji, moralnego i estetycznego tempa zużycia użytkowych i kulturowych wartości architektury. Może paść pytanie — czy np. blacha miedziana zastosowana do krycia dachów budynku przy ulicy Zamenhofska — to nie przesada. Za granicą użyta byłaby stalowa, emaliowana, bo w Niemczech tam nowoczesny przemysł materiałów budowlanych, u nas zaś sięgać trzeba do „tradycji”. Podobnie ma się sprawa z drewnem, użytym jako wykładzina elewacji. Koszt budynku obliczany „na dziś” traktowany jako podstawa opinii o jego ekonomicznej efektywności — jest złudny. Najtańsze budownictwo mieszkaniowe, przykładowo oszczędne, dawno już zostało ocenione negatywnie.

2. CZY WIELKA PŁYTA W ŚRÓDMIEŚCIU?

Prefabrykacja wielkopłytkowa, w śródmiejskich warunkach realizacji nie jest modelem rozwiązaniem. W przypadku ulicy Zamenhofska była to decyzja „zewnętrzna”. Jedno jest pewne. Takie przykłady zagraniczne, jak i łódzkie wykazały, iż jest to system o relatywnie dużych możliwościach przestrzennego formowania obiektu (projektowanie wnęk, zalamów, wykusów, „rozwinętych” narożników). Zatem monotonia osiedli — to nie wina wyłącznie systemu prefabrykacji, lecz także innych „obiektywnych” przyczyn. Także „grzechy główne” wielkiej płyty, na przykład materiałochłonność, kosztowny transport i inne — mogą być poważnie zmniejszone — przy stosowaniu odpowiednich rozwiązań, reżimów technologicznych, organizacji produkcji i montażu.

Prefabrykacja wielkowymiarowa nie powinna być jednak stosowana w śródmieściu, albowiem:

- warunki montażu wymagają wyłączenia z „życia miejskiego” dużych rejonów urbanistycznych;
- niska jakość prefabrykatów uniemożliwia wykonanie dobrych materiałów szlachetnych elewacji;
- elastyczność systemu, choć relatywnie duża, w warunkach realizacji projektowych historycznego śródmieścia Łodzi zbyt odbiega charakterem od budownictwa cełowego.

Największym zmartwieniem autora, związanym z realizacją jest świadomość — której nie ma orzeczników oceniający budynek — iż dzisiejszy jego wygląd za parę lat stanie się odpychający. Onaśać bowiem będą tynki, luszczące się będzie farba emulsyjna, wiewrowaniu ulewać będą drewniane boazerie itp. Przyczyna? Niska jakość prefabrykatów. Potrzeba zatem stosowania makiata „contra natura”, niepokojące farby emulsyjne, mokre deski.

O jakości technicznej i architektonicznej budynków (pojęcia współzależne) świadczy także ich proces „starzenia się”. Chcemy, aby był powolny, przebiegał niewidocznie i estetycznie, czego nie da się osiągnąć bez codziennej dbałości, okresowych napraw gruntownych remontów. Świadomość bezradności wobec zła, niemocy i obrotowości jest dla twórcy budynku więcej niż doświadczenie.

Niekorzystne dla twórcy budynku jest kolaterale materiałowe i wykonawcze niedomagań — na przykład nieszczelnych okien, krzywych drzwi, wypaczonej klepki — z wadliwą działalnością architekta. Płaszczyną odniesienia jest — jak sądzę — przeniesienie w prosty świat — odpowiedzialności architektów „za wszystko” zaczerpnięte z krajów rozwiniętych gospodarczo. Tam rzeczywistość tak jest! Oni bowiem wybierają wykonawcę, odbijają materiał, przyjmują skończone prace, oni wreszcie płacą! Przy istnieniu konkurencji — partacz musi spłatawać!

3. DLA KOGO PROJEKTOWAĆ?

Wielka szkoda, iż konkretnego budynku nie można projektować dla wcześniej znanego użytkownika. Określone szablonowe rozwiązania mogą okazać się dla niego „sztywnymi gorsetami”, odbierającymi satysfakcję z posiadania nowego mieszkania. Optymalizacja użytkowa która jest celem projektowania, to za mało, to za ledwie wstęp do indywidualizacji mieszkań. Tym bardziej potrzebnej jest w pełni — bez dodatkowych kosztów — realnej. Działania zatem należy wiązać z realizacją podstawowego celu architektury — tworzenia dobrej przestrzeni użytkowej, akceptowanej przez mieszkańców, nie tylko użytkowej, nie dającej możliwości indywidualnych rozwiązań.

Wyraźne niedopiętnienia i niedosyt, tak w projekcie jak i w realizacji dostrzegam w wyposażeniu budynku. Zlewomywalki, kucharki gazowe wanny umywalki zamontowane w pomieszczeniach stoją na „straconych pozycjach” — czego mam świadomość, ale także kompletnie poczucie bezsilności. Każde rozwiązanie jest niemożliwe, jeśli nie oddaje się mieszkań „pod klucz”, z wbudowanymi stałymi meblami — co w obecnych warunkach nie jest możliwe, choć dla przykładu w Czechosłowacji jest codzienną praktyką. Konieczność przeprowadzenia adaptacji mieszkań tuż po ich otrzymaniu jest jedynym z większych niepowodzeń organizacyjnych i technicznych w krajowym budownictwie.

4. GDZIE JEST MIEJSCE ARCHITEKTA?

Architekturę tworzy to, co jest zbudowane. Można oddać „całe pieniądze” za emocje, przeżywanie w trakcie powstawania budynku. Czy potwierdzi się w naturze (lub nie) to, co przyjęło „na papierze”? Architekt — będąc „częścią” winien być „całością” tak w procesie projektowania, partnerskim związku z wieloma kolegami reprezentującymi różne specjalności, jak i w realizacji.

Łódzki Kombinat Budowlany „Śródmieście” okazał się Wielkim Realizatorem, któremu architekt winien jest szacunek. Zrobił dobrze — mógł zrobić jeszcze lepiej!

Pomyślna realizacja — to także sprawa szczęścia. Na przykład: termin oddania budynku a kaprysy aury. Przekazuje się budynek do użytku z końcem roku — w grudniu, kiedy jakże często pogoda (deszcz, śnieg, mróz) uniemożliwia prowadzenie robót. Nie zostają one jednak przerwane, ze szkodą oczywiście dla jakości technicznej i estetycznej budynków.

Druga bolączka — to pośpiech w ostatnim stadium realizacji, który gotów zmniejszyć osiągnięte już wartości wykonawcze i obniżyć ogólny standard jakościowy budynku. Trzeba zatem mieć także szczęście, aby obiekt „wyszedł”.

BOLESŁAW KARDASZEWSKI

Dziesięć pytań architekta

możliwa prowadzenie robót. Nie zostają one jednak przerwane, ze szkodą oczywiście dla jakości technicznej i estetycznej budynków.

Druga bolączka — to pośpiech w ostatnim stadium realizacji, który gotów zmniejszyć osiągnięte już wartości wykonawcze i obniżyć ogólny standard jakościowy budynku. Trzeba zatem mieć także szczęście, aby obiekt „wyszedł”.

Realizacja zatem to umiejętność pokonywania trudności. Opór materii w krajowych warunkach, w kręgu „obiektywnych” składników, jest jednak wyjątkowo duży. Mam odczucie, iż nakład wysiłków, starań, zabiegów jest nieproporcjonalnie duży do uzyskanego efektu. Trzeba dawać z siebie wszystko, aby otrzymać mniej niż się oczekuje. W krajach gospodarczo rozwiniętych, realizatorzy, postępującej się nowoczesną techniką podnoszą projektowaną jakość architektury — my ją najczęściej obniżamy.

5. JAK WALCZYĆ Z CZASEM?

Są kraje, gdzie budynek nie tylko konserwuje się „na bieżąco”, remontuje. Kiedy trzeba, ale także dba o codzienną jego „higienę” — za pomocą szczerki, wody, mydła. Znam taki dom, gdzie popękany tynk „podparto” stalowym portalem, sprawiając tym niemniej — jak sądzę — uciechę zapraszającym gościom zagranicznym. Znam inny, w którym fryzlistewki dębowych z wielkim trudem zrealizowany, zamalowano na olejno.

6. JAKIE PRAWA MA ARCHITEKT?

Biura projektów, to przedsiębiorstwa, których działalność polega na produkowaniu i sprzedawaniu dokumentacji. Ich natura jest więc sprzeczna z celami architektury. Utrudnia jej tworzenie. Jeśli powstaje — to poprzez wyłamanie się z obowiązującego systemu, na przekór niejako jego mechanizmom.

Stosowany od lat — może świetny w seryjnej produkcji system pracy akordowej — jest dla biur projektów o profilu architektonicznym najbardziej skuteczną drogą degradacji celu ich istnienia. Wyeliminowana została, w większości prawa — po przyjęciu przez Sejm odpowiednich ustaw — problematyka jakości — jako kryterium oceny pracy biur projektów. Rola głównego projektanta i autora przestała być zauważalna. Nadzór autorski, będący fundamentem działalności architekta-realizatora, po wprowadzeniu niezbyt mądrych zarządzeń i degradacji finansowej, przestał pełnić wiodącą rolę w procesie budowania.

Architekt nie ma praw autorskich! W administracji państwowej brak organu zajmującego się problematyką architektury.

Raz tylko w przeciągu trzydziestu bez mała lat usłyszałem apel, aby projekt był wspólny, godny wydarzeń, jakie ma upamiętnić, oraz czasów, w których powstaje. To „dodawanie skrzydeł” nie było w tamtym przypadku potrzebne, ale pozytywnie świadczyło o docenianiu roli architektury. Nieodzwonne są natomiast odpowiednie warunki społeczno-gospodarcze, choć jeśli są, nie oznaczają jeszcze (specyfika twórczości) powstawania dobrej architektury.

Ciekawe, iż w czasach wdrażania reformy gospodarczej, autor nie ma w zasadzie wpływu na koszt realizowanego budynku, a tylko — niewielki — nakład dokumentacji. Nie uczestniczy w „grze ekonomicznej”, którą prowadzi wykonawca z inwestorem. Architekt może powiedzieć, iż kłopoty związane z kryzysem i reformą w zasadzie do niego nie docierają. Ho-

rendalny wzrost cen metra kwadratowego powierzchni użytkowej, obciążający użytkownika, w bardzo niewielkim stopniu ma związek z nietypowością rozwiązań projektowych i wykonawczych oraz standardem obiektu.

7. JAKA JEST ROLA ARCHITEKTURY?

Poglądy na architekturę nie są i nigdy nie były jednakowe. Nawet wśród architektów trudno było, tak kiedyś, jak i obecnie, zgodzić ustalić pogląd na twórczą realizację indywidualnych oraz społecznych celów. Na szczęście przestaly rygorystycznie obowiązywać kanony sztuki plastycznej, które skłaniały do stosowania „gry formalnej”, traktowania budynku na podobieństwo np. rzeźby konstruktywistycznej, w którą wliczało się wymagania użytkowe.

W przekroju historycznym wyraźnie rysuje się malejąca rola architektury wśród innych sztuk. Dawniej była „Matką” — teraz zapożyczona, ulega inspiracji, naśladowe. Około pół wieku trwał okres uznawania w architektonicznych treściach tylko tego, co wynikało z dogmatów racjonalizmu i jego rzetelności. „Mniej” znaczyło „więcej”, „prawie nic” było synonimem zbliżenia się do ideału. Wszubliwana technika stali i żelbetu była ostoją architektury. Triumfalizm postaw nakazywał nietolerancję dla dokonanych czasów minionych. Architektura zaczynała się miała od modernizmu dwudziestego wieku. Nastąpiło zerwanie kulturowego procesu kontynuacji.

Od pewnego czasu poglądy na istotę architektury są bardziej liberalne. Powróciło pojęcie kontekstu historycznego oraz miejsca i czasu realizacji. Metafora, symbolizm, antropomorfia — jako obszary wyobraźni i tworzenia nie działają już nikogo. Powróciła także troska o polskość architektury, o własny regionalny jej charakter.

Odmienność teoretycznej orientacji architektów jest jednoznaczna. Można ją było dość łatwo osiągnąć. Materiałowa rzeczywistość — standaryzacja, prefabrykacja, unifikacja, wykształcone systemy realizacji, i w tym celu elementów i fabryki domów — wygodne dla monopolistycznych organizacji — to fakty silniejsze od najbardziej silnej teorii. One — na długie lata stymulowały będą wysiłki architektów, określać kształt ich projektów i realizacji.

Czeka nas zatem okres — miejmy nadzieję przejściowy — rozchwiania i niezgody między świadomością a możliwościami. Projekty i realizacje „dotykają” będą zaledwie problematyki współczesnych dysertacji, związanych z kształtowaniem przestrzeni, odbiegając daleko od osiągnięć światowego postmodernizmu, podobnie jak kiedyś nie sięgaly wyżyn modernizmu.

Częścią takiego obrazu jest już i będzie dalej Łódź, w której mozolne starania architektów, jakże często pozostawionych samym sobie, przynoszą skutki dalekie od wybitności.

Można więc przyjąć tezę, iż jesteśmy świadkami powstawania współczesnej teorii, która na wiele lat — jak sądzę — może uporządkować i skwantyfikować intelektualne podstwy architektury, obejmując pozytywizm, a także współczesnych jego odmian, zaprzeczając twierdzeniom, iż nowe musi powstać kosztem starego.

8. JAKIMI IDEALAMI MA WYRAZAĆ SIĘ ARCHITEKTURA?

W życiu, jak się wydaje działają funkcje symetryczne. Racjonalizm wytworzył irracjonalizm, dobro istnieje obok zła, prawda obok kłamstwa, idealizm istnieje obok materializmu. Tworzenie architektury ideałów, przestrzeni doskonałych, w wymyślonym przez architektów świecie, przez setki lat związane było z władzą świecką i duchowną, potem prestiżem majątkowym, wreszcie społecznym. Okres industrializacji, eksplozji techniczno-technologicznej rozszerzył „zapotrzebowanie” na architekturę prestiżową.

Ranga nowo kreowanych sponsorów uległa jednak obniżeniu, co nie pozostało bez wpływu na architekturę. Ich awans materialny i społeczny musiał się wyrazić w naśladownictwie w żądaniu stosowania wzorów kiedyś im niedostępnych. Historyzm utrzymał wysoką rangę, lecz jednocześnie udowodnił, iż dyktat w każdej formie prowadzi do obniżenia rangi twórczości.

Dziś nie tworzymy dla elity, od lat trzydziestych dwudziestego wieku chcemy realizować idee architektury społecznej. Wiemy już, iż nie ma przestrzeni doskonałych, a także ideałów, wymyślonych przez architektów. Jest natomiast architektura, będąca ilustracją życia „ciężka i tępa i niezjadana, słodka i głupia — jak samo życie”.

Dwie przeciwstawne tendencje — z jednej strony dążenie do porządkowania, tworzenia formy ładu — z drugiej niechęć do bycia określonym, tęsknota za anarchią i chaosem, w którym człowiek odnalazłby własną drogę — nie powinny pozostawać bez wpływu na nasze poglądy, dotyczące kształtu otoczenia oraz wartościowania przestrzeni.

9. CO DALEJ Z „MISTER ŁÓDZI”?

Trzy już razy podejmowano w Łodzi konkursy na najlepszy, nowo wzniesiony budynek roku: „Mister Łódzi” i trzy razy trzeba było tę sympatyczną, społeczną inicjatywę przerwać. W milionowej bez mała aglomeracji brak bowiem dokonanych architektonicznych o randze ponadprzeciętnej, w ilości umożliwiającej jej kontynuację! Jeśli uwzględnić fakt, iż w Warszawie, Krakowie, Gdańsku, Wrocławiu trwa ona nieprzerwanie od ćwierć wieku — wniosek jest oczywisty — Łódź cierpi na niedorozwój wartościowej architektury. Czy jest to sprawa braków wyobraźni, woli i ambicji społeczności łódzkiej, wynikających z wieloletniej pozycji „zgarbionych pleców”?

Brak fachowej krytyki w dziedzinie architektury nie dotyczy tylko Łodzi. Wynika — jak sądzę — z szeregu faktów, wśród których daję się wyodrębnić:

- skomplikowane sprawy autorstwa, wobec „pomocy” wielu osób i instytucji, które poprzez opiniowanie, uzgadnianie, przyjmowanie, zatwierdzanie naruszają autonomię twórcy, odkształcając projekt;
- złożone uwarunkowania realizacji wpływające, determinujące wręcz jakość budynku, odbiegając od założonej;
- niesprzyjające warunki inwestorsko-wykonawcze, powodujące a priori rezygnację z bardziej śmiałych myśli, w imię realizmu.

Kogo i co krytykować w tej wielkiej „grze” pozorów, w której nie może istnieć indywidualna odpowiedzialność i kompetencja, w której nie można realizować jak trzeba, lecz jak się da?

Sądzić można, iż w skomplikowanym materii pomieszczeniu architekt ulega anomii, poddaje się, rezygnuje. Poinformowany jest wszak o zagranicznych zarobkach i śmiałych realizacjach kolegów. Przypuszczenie to nie byłoby błędne. Wielu wyjechało. Ci, którzy powrócili patrzą — jak mi się czasami wydaje — z pobłażaniem na zabieganych miejscowych kolegów oraz ich architektoniczne „osiągnięcia”. Oni są „na luzie” — mogą nie korzystać w przyszłości z państwowej emerytury. Są tacy, którzy nie wyjechali i nie wyjadą — z różnych względów. Ukrywają powstającą niekiedy gorzkość, z tytułu relatywnego niedostatku, podpierają się pojęciami idei, ideologii, „wyższego” sensu życia. Można ich zrozumieć — jak sądzę — jeśli mają szansę na zawodową nobilitację. Dla ambitnych potrafi ona zastąpić wartości komercyjnej. Wymowa przytoczonej, alternatywnej postaci życia jest jednak (lub może być) w istocie swojej — bulwersująca.

10. CZY STANĘ NA DACHU?

Kiedy szkicuję projekt obiektu, prześladuje mnie myśl taka: czy stanę kiedyś na dachu, wieńczącym koniec pracy? Tak było i przy ulicy Zamenhofska i Piotrkowskiej. Chciałbym wierzyć, że ta myśl prześladuje mnie nie po raz ostatni, byłoby to bowiem przerwanie wypowiedzi „współ zdania”.

P. S.
„Dziennik Łódzki” przeprowadził konkurs na nazwę budynku przy ul. Zamenhofska. Pomysł sympatyczny, zaś poprzez zamierzone, albo mimowolne propagowanie architektury — pozytywne. Chciałbym jednocześnie znaleźć w sobie tyle poczucia humoru i wspólnej zabawy, aby zaakceptować nazwę będącą trawestacją mojego imienia.

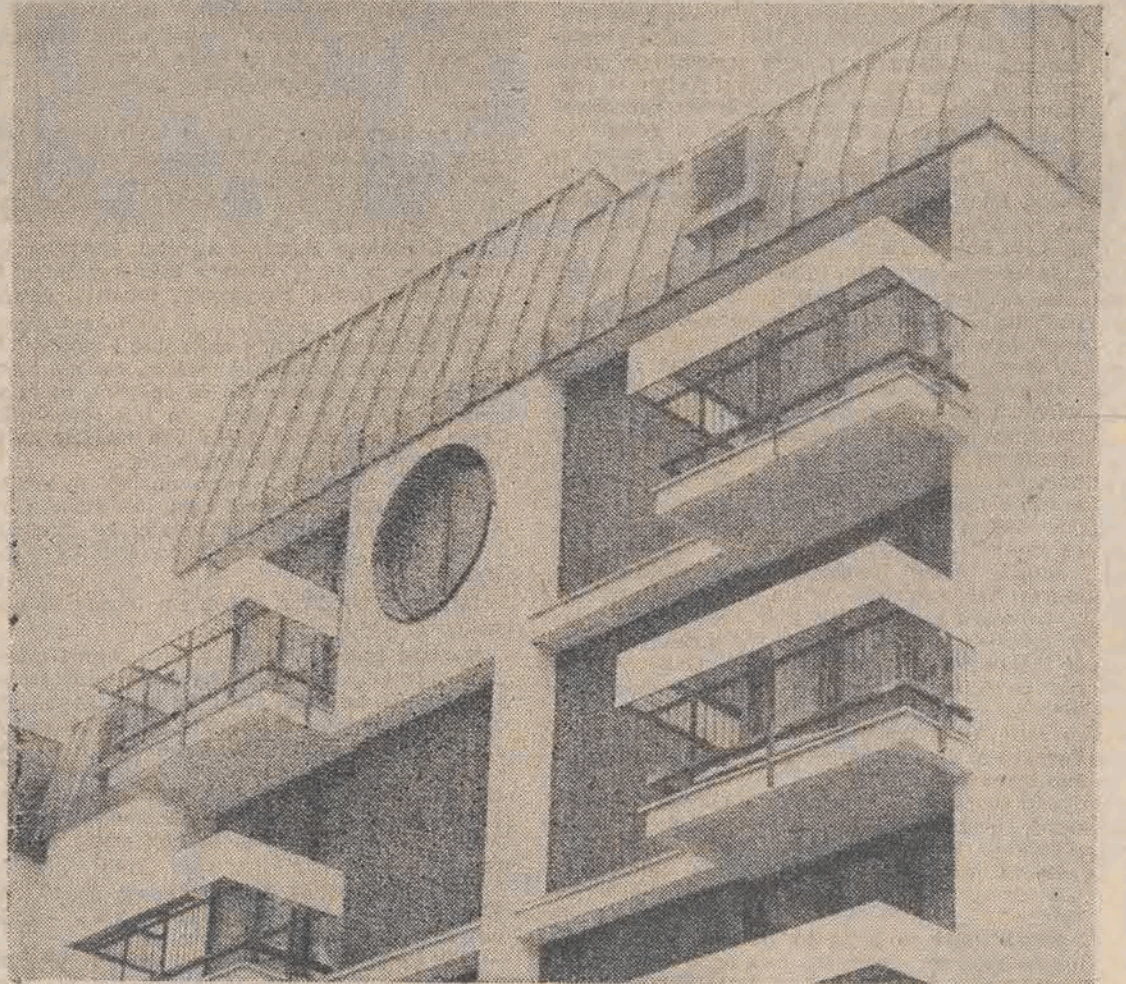


Foto: Eugeniusz Kudał

Czyby Watykan przygotowywał jakiś manewr odciążający dla uspokojenia opinii publicznej? Jeżeli tak, to ze sposobu, w jaki przedstawił potem te badania lekarskie, maszynowo wyciągnięte przekonywujące wnioski, że przedsięwzięcie to jednoznacznie nie powiodło się, że badanie musiało potwierdzić podejrzenie, iż papież padł ofiarą morderstwa.

Po wieczornych badaniach nie było żadnego oficjalnego komunikatu, a wydział prasowy Watykanu, mimo zalewu pytań ze strony przedstawicieli środków masowego przekazu, zachowywał całkowite milczenie na temat tego, co odbyło się w Bazylice św. Piotra. Milczenie, które miało być przerwane dopiero po pogrzebie papieża. Jedynie nieoficjalnie, włoska agencja informacyjna, ANSA, dowiedziała się, że podczas badań lekarskich chodziło o normalne sprawdzenie stanu konserwacji ciała; obecni byli przy tym profesor Gerin i bracia Arnaldo i Ernesto Signoracci. Agencja ANSA poinformowała ponadto, że do ciała wprowadzono jeszcze dodatkową porcję płynu balsamującego.

Kiedy na ten temat wypowiedział się wreszcie oficjalnie watykański urząd prasowy, skrócił najpierw półtoragodzinne badania do dwudziestominutowych. Badanie wykazało, jak stwierdzono, że wszystko było w porządku i po jego zakończeniu ponownie wypuszczono pielgrzymów z Canale d'Agordo. Poza pomysły i świadomymi nieprawdami, jakie zawiera to oświadczenie, należy zwrócić uwagę na sporo innych, niepokojących faktów: wbrew twierdzeniom świadków watykańskich, na których powoływała się ANSA, profesor Cesare Gerin nie był obecny przy badaniach. Również bracia Signoracci w rozmowie z mną zaprzeczali, że uczestniczyli w owej niesamowitej, wieczornej wizycie. „Badanie stanu zakonserwowania” pod nieobecność kompetentnych w tej sprawie i odpowiedzialnych za nią ekspertów jest niewątpliwie zadziwiałe!

Jeżeli, jak wielu w to wierzy, rzeczywiście dokonano autopsji (lub też autopsji częściowej — 90 minut nie wystarczyło na pełną, standardową procedurę) i jeżeli wyniki były negatywne, wówczas z pewnością ogłoszono by je na całym świecie — w jaki lepszy sposób bowiem byłoby można zmusić do milczenia nie języki? **CORRIERE DELLA SERA** pisał: „W ostatniej minucie dołączył do specjalnego oddziału sławny lekarz z Uniwersytetu Katolickiego”. Ten „sławny lekarz” znikł nie rozpoznany w unoszącej się nad Tybrzem porannej mgłę.

Psycholog katolicki, Rosario Moccia, następującymi słowami skomentował zachowanie się ludzi, którzy w okresie osłabienia tronu kierowali Kościołem rzymskokatolickim: „Swego rodzaju „omerta” (przemilczenie) według recepty mafijnej, przebrana w szaty chrześcijańskich względów i etykiety”.

Serdce stosunki, jakie Albino Luciani nawiązał z masami wiernych, utrzymywały się. Nie bojąc się ciągłego deszczu, 4 października na mszy pogrzebowej zebrało się na placu św. Piotra około 100 tysięcy osób. W ciągu czterech poprzedzających ją dni przed ciałem przeszło prawie milion ludzi. Pierwsze z trzech czytań liturgicznych, wzięte z objawienia Jana kończyło się słowami: „Jestem Alfa i Omega”, początkiem i końcem. Chcę darować napój spragnionych ze źródła wody życia”.

Ciało Albino Lucianiego, hermetycznie zamknięte we wnętrzu trzech, włożonych jedna w drugą, trumien z drewna cyprysowego, ołowiu i drewna hebanowego, przyniesiono na miejsce wiecznego spoczynku w sarkofagu marmurowym w krypcie bazyliki św. Piotra. Jednakże również po tym, jak doczesne szczątki umieszczono w mrocznym chłodzie Świętej Groty, między Janem XXIII a Pawłem VI, nadal trwała dyskusja na temat tego, czy wieczorem, przed zgonem dano, być może, Albino Lucianemu coś innego do picia niż lyk źródła wody życia.

Bardzo wielu ludziom nadal nie dawało spokoju to, że nie dokonano autopsji, jednym z nich był zaufany lekarz Lucianiego Giuseppe Da Rosa. Do zastanowienia powinien skłonić fakt, że osobisty lekarz Lucianiego wyrażał pogląd, iż „być może bardziej szczęśliwe byłoby naukowe zweryfikowanie przyczyn śmierci”.

W zasadzie było niewyobrażalne, by Kuria dała się nakłonić do tego po tym, gdy szczęśliwie, w potrójnej trumnie, umieszciano Jana Pawła I pod ziemią. Sprawę wniosku przedłożonego oficjalnie Trybunałowi Watykańskiemu przez Civiltà Cristiana miał rozstrzygnąć jeden jedyny sędzia, Giuseppe Spinelli. Nawet gdyby człowiek ten był jednoznacznie przekonany o konieczności przeprowadzenia autopsji i pełnych badań, to jedynie z trudnością można sobie wyobrazić, jak miałby on przeforsować to wbrew nagromadzonej władzy Watykanu i czołowych ludzi Kurii — ludzi, którzy z dumą mogli wskazywać na historyczny fakt, że oni i ich poprzednicy rządzą Kościołem rzymskokatolickim już od prawie 2000 lat.

Pięknie i dobrze było porównanie przez jezuitów śmierci Lucianiego z kwiatem na łące, związającym na noc swoje płatki, lub zwrócenie przez franciszkanów uwagi na to, że śmierć przychodziła czasem nocą, jak złodziej. Mniej rozmarzeni ludzie nadal szukali trzeźwego wytłumaczenia. Wątpiący byli po obu stronach Tybru. Do najbardziej podejrzliwych w Watykanie należeli ci, którzy znali prawdę o odkryciu ciała przez siostrę Vincenzę. Ich niepokój wzrastał w takim samym stopniu, jak mnożyła się liczba oficjalnych kłamstw. Kiedy papieża pochowano, niektórzy z nich zaczęli mówić. Najpierw zwrócili się do agencji informacyjnej ANSA, a niedawno także mnie. Zyczenie zbadania przez mnie okoliczności śmierci Albino Lucianiego dotarło do mnie rzeczywiście z szeregu tych ludzi.

Krótko po południu, 5 października, opowiadali oni redaktorowi ANSY to, co wiedzieli w szczególności o odkryciu zmarłego przez siostrę Vincenzę. Na temat kartek trzymanyh w ręku przez Lucianiego zgodnie z prawdą zauważyli, że miały one coś wspólnego z „określonymi zmianami personalnymi w Kurii Rzymskiej i wioskim episkopacie”. Ujawnili też, że papież wypowiedział się na temat tego problemu, że Baggio odmawiał przejęcia funkcji patriarchy w Wenecji. Kiedy ANSA wybuchła z tymi informacjami, Watykan zareagował na to w sposób przypominający owe dementi, jakimi monsignore Henri Riedmatten odpowiadał na pytania o sformułowane na piśmie przez Lucianiego stanowisko wobec regulacji urodzeń: jako „wymyśły” udobył informację o istnieniu takiego dokumentu. Teraz dyrektor watykańskiego urzędu prasy, ojciec Panciroli, na pytania setek reporterów związane z informacjami, które ostatnio przekazywały z Watykanu, odpowiadał lakonicznym stwierdzeniem: „Informacje te są pozbawione wszelkich podstaw”.

Wśród tych, na których to dementi nie wywarło wrażenia, było także kilku kardynałów przybyłych na konklawe. Ich niezadowolone wybuchło podczas kongregacji kardynalskiej, jaka odbyła się 9 października. W ogniu krzyżowej krytyki poczuł się szczególnie kardynał Villot. **To on jako kamerling podjął decyzję i pobogosławił oświadczenia, z których jasno wynikało, że zatuszowano okoliczności śmierci Albino Lucianiego. Wielu dostojników kościelnych spoza Włoch domagało się dokładnego wyjaśnienia, co tu zatuszowano. Chcieli wiedzieć, dlaczego nie**

określono jednoznacznie przyczyny śmierci, pozostawiając ją w sferze przypuszczeń. Chcieli wiedzieć, dlaczego nie określono dokładnej godziny zgonu i dlaczego żaden lekarz najwyraźniej nie chciał przyjąć odpowiedzialności za wystawienie świadectwa zgonu, które można byłoby zaprezentować opinii publicznej.

Ich próby dokładnego zbadania tych spraw pozostały bezowocne. Zatrzaszczyła się o to mała grupa kardynałów, swoją decyzją możliwie najszybszego rozpoczęcia konklawe. Myśli kardynałów zaczęły zwracać się ku temu, kto powinien zostać następcą Jana Pawła I, i ku związanym z tym intrygom oraz porozumieniom (Sprawdzenie się tej taktyki pokazuje, jak dobrze ludzie z Kurii Rzymskiej opanowali lekcję ze skumulowanych doświadczeń liczącej prawie 2000 lat historii Kościoła).

Dwunastego października, mniej niż 48 godzin przed rozpoczęciem konklawe, Watykan przedstawił swoje ostatnie publiczne stanowisko w sprawie zgonu Jana Pawła I. Oświadczenie wydał rzecznik prasowy Watykanu, ojciec Romeo Panciroli. (...)

Podkreślił, że całe wydarzenie „we właściwy sposób przedstawiono w komunikacie z piątku, 29 września. Komunikat ten zachowuje w pełni swoją ważność. Podpisane przez prof. Mario Fontana i dra Renato Buzzonettiego świadectwo zgonu zreferowano w nim tak wiernie, że opublikowanie tego dokumentu było zbędne”. (...)

Ponieważ nie występuje chętnie z „obraźliwymi insynuacjami”, zamiast tego wystąpię z kategorycznym stwierdzeniem: jestem całkowicie przekonany o tym, że papieża Jana Pawła I, Albino Lucianiego, zamordowano.

Do dziś nie ma żadnego publicznie dostępnego świadectwa zgonu i mimo wielokrotnych prób, Watykan odmówił przedstawienia mi do wglądu takiego dokumentu. Niewątpliwie jako przyczyna zgonu może być w nim podany zawał mięśnia sercowego. Uporczywie odmawianie przez Watykan wydania takiego świadectwa może oznaczać tylko, że żaden lekarz nie chce przy-

jąć urzędowej i prawnej odpowiedzialności za diagnozę przyczyny zgonu. Fakt, że diagnozę tę postawiono na podstawie jedynie zewnętrznych oględzin zwłok — co z medycznego punktu widzenia jest procedurą całkowicie niewystarczającą — ma, być może, coś do czynienia z tym ciemnym, tajemniczym postępowaniem.

(23)

„W imieniu Boga” — tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Poważną poszlaką wskazującą, że papieża zamordowano, jest to, że mimo uczucia niesmaku zademonstrowanego na całym świecie, mimo zaniepokojenia i żądań wyraźnych z wielu stron, nie dokonano ważnej z punktu widzenia autopsji. Jeżeli zmarł śmiercią naturalną, to dlaczego nie przeprowadzić autopsji, która zmusiłaby krytyków do milczenia?

Faktem jest, że Watykan nie wie, przynajmniej oficjalnie kiedy i na co zmarł Albino Luciani. „Przypuszczalnie około godziny 23.00” i „nagły zgon, który mógł być następstwem zawału mięśnia sercowego”, to stwierdzenia świadczące o wielkiej niepewności. Jest bardzo prawdopodobne, że bardziej fachowo i z większym zainteresowaniem dla ustalenia godziny i przyczyny zgonu zbadano by ciało każdego nie znanego włóczęgi, znalezione gdzieś na skraju drogi.

Cała sprawa wygląda jeszcze bardziej skandalicznie, gdy się uwzględni, że lekarze badający zwłoki nigdy nie opiekowali się Albino Lucianem za jego życia. Kiedy rozmawiałem w Rzymie z doktorem Buzzonettim, zapytałem go, jakie leki zażywał papież w tygodniach poprzedzających jego śmierć. Odpowiedział: „Nie wiem, jakie leki zażywał. Nie byłem jego lekarzem. Moje pierwsze z nim spotkanie jako lekarza nastąpiło wtedy, gdy był już martwy”.

Dr Seamus Banim jest specjalistą chorób serca z ponad dwudziestoletnim doświadczeniem zawodowym. Jest najstarszym stażem wśród pełniących kierownicze funkcje lekarzy w londyńskich szpitalach św. Bartolomeja i Nuffield. Oświadczył mi:

„Lekarz, każdy lekarz, który w diagnozie podaje zawał mięśnia sercowego jako przyczynę zgonu, popełnia błąd. Nie uważałbym tego za wystarczające. Jeżeli znał przedtem pacjenta, jeżeli dłuższy czas leczył go, opiekował się nim już przedtem podczas ataku serca, jeżeli zastąpił go jeszcze żyjącym podczas ataku serca, który okazał się śmiertelny (a potem był obecny przy jego zgonie), wówczas w razie potrzeby można byłoby dopuścić taką diagnozę. Jeżeli jednak nie znał wcześniej pacjenta, nie może postawić takiej diagnozy. Naraża się na bardzo poważne ryzyko, i w naszym kraju z pewnością nie przepuszczono by mu tak ryzykownej i lekkomyślnej diagnozy. Diagnozę tego rodzaju można postawić tylko po autopsji”. (...)

- Dwie rzeczy są bezspornie pewne:
1. Nie wiemy, na co zmarł Albino Luciani.
 2. Niemożliwa jest żadna nie budząca wątpliwości opinia o tym, o której godzinie nastąpił zgon.

Kiedy w sierpniu 1978 r. umierał papież Paweł VI, był otoczony lekarzami, sekretarzami i kapłanami. (...)

Odpowiedzialni lekarze w chwili śmierci stwierdzili następujący ogólny obraz kliniczny: „Kardiopatyczny arteriosklerotyczny poliartrytyzm, chroniczne pyelonefryty i ostre zapalenie pęcherza moczowego. Bezsposrednia przyczyna zgonu: kryzys hipertoniczny, niewydolność lewej komory serca, ostre odma płuc”.

Niecałe dwa miesiące później, „jak kwiat w nocy”, zmarł następca Pawła VI i żaden lekarz nie interesuje się dokładnym zbadaniem przyczyn jego zgonu.

Ważne jest przeciwstawienie faktów stosowi wychodzących z Watykanu kłamstw na temat historii chorób Albino Lucianiego.

W swoim dzieciństwie Luciani wykazywał oznaki schorzenia gruźliczego; symptomami były obrzęmy gruczoły. W wieku 11 lat usunęto mu migdały. Cztery lata później nastąpił kolejny zabieg chirurgiczny usunięcia polipów. Obie operacje przeprowadzono w Szpitalu Powszechnym w Padwie. W 1945 r. i ponownie w 1947

r., z podejrzeniem o gruźlicę, skierowano go do sanatorium. W obu wypadkach odpowiednie badania dały wyniki negatywne, a dolegliwości występujące w płucach określono jako bronchit. Od tego czasu regularne prześwietlenia płuc dawały zawsze negatywne wyniki. Pod tym względem wyleczono go więc całkowicie.

W kwietniu 1964 r. poddał się operacji usunięcia zamknięcia jelita grubego oraz usunięcia kamieni żółciowych, a w sierpniu tego samego roku operowano go z powodu hemoroidów. Profesor Amedeo Alexandre ze szpitala Pordenona w Treviso, który przeprowadził obie operacje, po przejrzaniu dokumentów z tamtego okresu zapewnił mnie, że przy wszystkich przed- i pooperacyjnych testach i badaniach Albino Luciani okazał się człowiekiem całkowicie zdrowym. Badania te obejmowały prześwietlenia i liczne testy EKG, ukierunkowane specjalnie na wczesne rozpoznawanie nieprawidłowości w pracy serca. Profesor oświadczył, że jego pacjent przyszedł wówczas całkowicie i trwale do siebie, po tych obu stosunkowo lekkich operacjach. „Badałem go jeszcze raz latem po drugiej operacji. Również wtedy stan jego zdrowia był wysmienity”.

Ilustracji tego dobrego stanu zdrowia dostarczył opis przebiegu jego normalnego dnia, przedstawiony mi przez monsignore Taferala, pracującego u jego boku w Vittorio Veneto. Luciani utrzymał ten porządek dnia praktycznie nie zmieniony również później, w Wenecji i w Watykanie. Wstawał między 4.30 a 4.45 rano i w 16 godzin później, między dziewiątą, a dziesiątą wieczorem kładł się spać. Jak mi powiedział monsignore Taferal, Luciani, poza wypełnianiem swoich wielu obowiązków, odwiedzał kolejno wszystkie 180 parafii swojej diecezji i miał już za sobą około dwóch trzecich swego drugiego cyklu tych wizyt, kiedy odwołano go do Wenecji. W grudniu 1973 r. w głównej żyłce siatkówki jego lewego oka utworzył się skrzep krwi. Operacja nie była jednak konieczna. Leczący go specjalista, profesor Rama, powiedział mi na ten temat:

„Leczenie miało tylko ogólny charakter i opierało się na terapii hemokinetycznej — środki antykoagulacyjne i lekkie leki na rozszerzenie naczyń krwionośnych, jak również przede wszystkim kilka dni spokojnego leżenia w szpitalu.

Wynik był prawie niezwykły: całkowite przywrócenie zdolności widzenia i ogólna rekonwalescencja. Nie był on w żadnym wypadku typem, o którym można byłoby powiedzieć, że ma przysłowiową „konstytucję wołu”, ale był człowiekiem naprawdę zdrowym i przeprowadzane regularnie badania nigdy nie ujawniły jakichkolwiek dolegliwości sercowych”.

Profesor Rama wskazał mi na to, że Luciani miał stosunkowo niskie ciśnienie krwi, wahające się w granicach 120/80. Dwudziestu trzech lekarzy, z którymi rozmawiałem, było zgodnych co do tego, że niskie ciśnienie jest „najlepszym z możliwych wskaźników długiego życia”.

Podczas pełnienia swej funkcji w Wenecji, Luciani cierpiał od czasu do czasu na opuchlinę kostek. Jego lekarze, uważali, że należało to przypisać niskiemu ciśnieniu krwi i niedostatkiwemu ruchowi. W lipcu 1978 r. spędził 10 dni w Instytucie Stelli-Maris na Lido, by poddać się kuracji profilaktycznej przeciw możliwemu powrotowi kamieni żółciowych. Wyznaczono mu lekką dietę, a rano i wieczorem udawał się na długie spacery, mające sprzyjać zanikaniu lekkiej opuchliny kostek. Rutynowe badanie lekarskie po tym pobycie w sanatoryjnym ośrodku wykazało, że był w wysmienitym stanie zdrowia.

Powyższe stanowi pełny, bez żadnych luk, opis biografii medycznej Albino Lucianiego. Dane opierają się na rozmowach z lekarzami, którzy go leczyli; z krewnymi, przyjaciółmi i kolegami. Wskazane jest dokonanie porównania między tymi dającymi się sprawdzić danymi a wypuszczonym przez Watykan potokiem kłamstw na temat jego rzekomych dolegliwości. Pierwsze pytanie, jakie cisnę się na usta, brzmi: po co te wszystkie kłamstwa? Im więcej zajmować się Albino Lucianim i jego życiem, tym się jest pewniejszym, że tego człowieka zamordowano. Puszczono przez Watykan w obieg kłamstwa na temat Jana Pawła I latami pozostawały niezbadane i niezaprzeczone. Kuria Rzymska chciała, i chce by świat uwierzył, że Albino Luciani był człowiekiem o prostym, a nawet o ograniczonym umyśle, do tego ciężko chorym, a jego wybór był pożałowania godnym „wypadkiem przy pracy” i w gruncie rzeczy Kościół powinien być zadowolony z jego śmierci. Mieli oni nadzieję, jak gdyby 400 lat historii cywilizacji przeszło bez śladu obok Kościoła — ma się uczucie, jak gdyby człowieka przeniesiono do okresu papieża Borgia.

Podczas gdy środki masowego przekazu na świecie z zapalem nadal rozpowszechniały lansowane przez Watykan legendy o rzekomych cierpieniach Lucianiego, nikt nie zwracał się z pytaniami do tych, którzy znali tę sprawę lepiej. Ich wypowiedzi zaprezentowałyby przy tym zupełnie inny obraz: autor cytuję tu wypowiedzi kilku osób, bliskich współpracowników, dobrych znajomych i lekarzy Lucianiego, potwierdzających jedynomyślnie, że nigdy nie miał on żadnych poważniejszych, godnych odnotowania schorzeń. (...)

Wszyscy właśnie zacytowani, jak i ponad 20 dalszych osób, które znały Albino Lucianiego od dzieciństwa, potwierdzili, że nigdy nie palił, alkohol pił tylko rzadko i zawsze jadł skromnie. Ten sposób życia wygląda właśnie jak poglądowy przykład tego, jak należy się odżywiać, by możliwie najlepiej zapobiegać problemom z sercem. (...)

Jak więc powinniśmy wytłumaczyć rzecz trudną do wyjaśnienia? Według teorii, którą chętnie prezentowano po zgonie Jana Pawła I, przyczyną był „stres”. Prawie żaden z lekarzy, z którymi rozmawiałem, nie uznaje tej teorii. Wzduł z uszczypliwą ironią wyrażało się o „konjunkturze na stresy”, jak to nazywali, o intratnym interesie na określonych, szeroko rozpowszechnionych niepokojach — zbyt dużo stosunków płciowych powoduje stres, zbyt mało tych stosunków też powoduje stres, widowska z kaset magnetowidowych wywołują stres, transmisje sportowe w telewizji wywołują stres, zbyt duży wysiłek fizyczny wywołuje stres i zbyt mało tego wysiłku też. (...)

Jak wykazały badania medyczne, w określonych warunkach stres może prowadzić do chronicznych schorzeń serca, a czasami także do ostrych i śmiertelnych jego ataków, ale uwarunkowane stresem schorzenia tego organu nie pojawiają się nie zapowiedziane w ciągu jednej nocy. Kształtowanie się właściwych symptomów ciągnie się miesiącami, a nawet latami. Żaden z lekarzy, u których Albino Luciani leczył się za swego życia, nigdy nie zauważył u niego któregoś z tych symptomów.

Watykan kłamał, twierdząc, że postanowienia prawa kościelnego zabraniały autopsji.

C.D.N.

Fragmety książki Davida Yallopa
„In God's Name”

W kręgu fantastyki

Samochód zatrzymał się w piśniem hamulców. Dwaj mężczyźni, którzy opuścili szoferkę, udali się wprost do Komendanta. Byli zmęczeni i pokryci kurzem.

— O'Hara, Scoyt — przedstawili się małemu, śniademu krajowcowi, który zdawał się ginać za swoim masywnym blukiem. Przyglądał się przybyszom przenikliwym, niecodziennie wzrokiem. Przemówił dopiero po chwili.

— Dostałem telefonogram przed tygodniem. Do waszej dyspozycji jest chata trzciniowa, nieśtety, niczego lepszego nie mogłem przygotować. Jedną z tutejszych dziewcząt będzie wam pomagać, nazywajcie ją Baloo. Gdybyście potrzebowali czegoś, zwróćcie się bezpośrednio do mnie. Czy są jakieś pytania?

O'Hare uprzedzono o surowości obyczajów szczezu Baali i niechęci do obcych, mimo to poczuł wzburzenie i skierował się ku wyjściu. Nie zamierzał zaczynać od sprzeczek. Lecz piśkiławy głos Komendanta osadził go na miejscu.

— Jeszcze chwileczkę. Chciałem udzielić wam pewnej rady, dla waszego bezpieczeństwa. Dopóki nie będziecie niepokoić naszych ludzi, oni też dadzą wam spokój. W przeciwnym wypadku... Po prostu, u nas przetrwało wiele zwyczajów z dawnych czasów. Ci przybysze, którzy o tym pamiętali, zawsze opuszczali osadę zadowoleni. I jeszcze jedno — weźcie te amulety. Na znak, że jesteście ze mną w zgodzie — dodał wyjaśniająco.

Komendant osiedla czy zabobny szaman? Oto do czego prowadzi polityka nieinterwencji — pomyślał O'Hara z niesmakiem. Wziął jednak amulet i schował go do kieszeni.

Wyszedł w duszny, tropikalny zmrok, który zapadł nagle, zdawałoby się, że jeszcze w trakcie trwania pełnego dnia. Dżungla piętrzyła się groźnie wokół, wałiła się jakby szara, ogromną falą ze wszystkich stron na rachityczne chaty osiedla.

Jak spod ziemi wyrosła przed nimi drobna, naga dziewczyna, wskazała drogę do rozpadającej się trzciniowej chaty, rozwiesiła hamaki i przyrzadziła strawę. Potem zniknęła równie nagle, jak pojawiła się.

Jeszcze długo w noc mężczyźni przynosili i ustawiali w nacie sprzęt i aparaty. Wreszcie legli zmęczeni w hamakach, lecz sen nie chciał przyjść. Otaczało ich nienaturalnie bujne, rozpasane życie tropików, słyszeli jak pulsuje tysiącami dźwięków, niemal czuli przewalanie się dziwnych stworów w lepkiem błocie między mangrowcami, ciche zbliżanie się drapieżników i siski ruch węża pośród lian. Duszne powietrze dawało im niby gęsta podgrzana ciecz.

Gdy nagły, tropikalny brząsk wsyczył się przez szpary w trzciniowych ścianach, mężczyźni z ulgą zlekli się z hamaków, przelknęli śniadanie i niezwłocznie rozpoczęli pracę. Trzeba zrobić co należy i wynosić się czym prędzej z tego nieprzyjaznego zakątka do cywilizowanych okolic, gdzie można wziąć prysznic i gdzie ludzie stwarzają pozory wzajemnej życzliwości.

O'Hara miał trudności z wyzerowaniem aparatu, pokręła i przyciski wydawały mu się toporne, a konstrukcja urządzenia zupełnie niepraktyczna. Czuł się niemiłosiernie podekscytowany, zupełnie jak po kilku filiżankach mocnej kawy.

Skinął na Baloo, która siedziała w kuci pod trzciniową ścianą. Gdy podszła, sięgała mu za lewy łokieć. O'Hara był mężczyzną słusznego wzrostu i wagi, wyglądał przy niej jak niedźwiedź. Dziewczyna zgodziła się na kilka elektronicznych pomiarów.

O'Hara musiał usiąść, aby umocować na głowie Baloo kilka elektrod. Musnął przypadkowo łokciem jej naga, jędrną pierś i poczuł łagodny zapach kobiecego ciała. Dotychczas miał ją za dziecko jeszcze, za podlotka. Poczuł wzmagające się laskotanie, przebiegające brzuch i uda. Raptownie wstał, sięgnął do skrzyni i rzucił dziewczynie przesieczadło.

— Zakryj się tym — warknął. Baloo pokazała w uśmiechu szereg białych zębów. O'Hara mógłby przysiąc, że wszyscy krajowcy mają w twarzach coś drapieżnego, niezależnie od nastroju, w jakim się znajdują.

— Jak pan sobie życzy, sir. — I noś to zawsze. — Dobrze, sir.

Szybko dokonał pomiarów i odprawił dziewczynę, albowiem jej wdzięki, chociaż spowite teraz w białą tunikę, stopniowo przesłaniały mu ekrany i wskaźniki. Przebadał jeszcze kilku krajowców, lecz ciągle widział Baloo i czuł delikatny zapach jej skóry.

— Co tam u klimatologa? — rzucił w stronę Scoyta, aby odwrócić tok myśli. — Potwierdzasz czy obalasz teorię?

— Do licha z teorią — burknął niegrzecznie Scoyt, lecz zaraz zreflektował się i dalej ciągnął już normalnym tonem. — Z danych odbiegających od przeciętnej warto zanotować podwyższony poziom promieniowania jonizującego, a w glebie spore stężenie litu, cynku, no i dużo kadmu. Poza tym nic specjalnego.

— Czy gdzieś na świecie występuje podobna kombinacja? — Owszem, w Norwegii i na Alasce — odczytywał Scoyt z ekranu komputera. — A między zwrotnikami? — Tylko na Florydzie mamy coś podobnego. Oczywiście biorę pod uwagę jedynie dane skatalogowane. A co u ciebie?

— W wszystkich osób, które przebadalem, stwierdziłem podwyższone ciśnienie krwi, podrażnienie centralnego ośrodkowego nerwowego, silne reakcje emocjonalne i cały zespół innych cech, charakterystyczny osoby w stanie stresu lub gotowości do konfrontacji. Jeśli dane pozostaną podobne w ciągu dłuższego okresu, będą oznaczać tutejszy stan normalny. A wtedy... — Mówisz jak zwolennik teorii — przerwał Scoyt, a jego żółte oczy zwięzły się.

— Mówię o faktach — prawie krzyknął O'Hara i zarisnął wielkie pięści. Przez chwilę mierzył się złym wzrokiem. Pierwszy opadł na trzciniowy fotel Scoyt.

— Oto był dowód na wiarygodność twoich wyników. Kończmy szybko robotę i zwijajmy obóz, bo będzie źle.

Mężczyźni wzięli się rażno do pracy. Nazajutrz zdołali zgromadzić pokaźny materiał. Jednakże niewiele z niego wynikało.

— To tylko poszlaki, a nie dowody — O'Hara był zniechęcony. Przeciagnał potężne ramiona, aż zatrzeszczały stawy.

— Sporo jednak tych poszlak — Scoyt próbował być optymistą. — Zauważ, że w punktach o podobnej charakterystyce geologicznej w innych miejscach kuli ziemskiej też występują poważne zaburzenia atmosferyczne. Morze Północne lub Ochockie, Trójkąt Bermudzki...

— Nigdzie tak silne jak tutaj. Te niszczytelne cyklony!

— Ale też ludzie Baali żyją bardziej gromadnie, całe plemię tworzy jakby jedną rodzinę. Wszyscy zajmują się i przejmują dokładnie tym samym.

— Myślałem już na ten temat. Ale to wszystko poszlaki, a nam potrzeba dowodów. Nic więcej tu nie zdziłamy, jutro pakujemy sprzęt. A teraz idź rozerwać się trochę. Obejrzą grę w piłkę w wykonaniu tubylicznych reprezentacji, podobno ciekawe widowisko.

— Poczekaj, pójdę z tobą — Scoyt również miał już dosyć jałowej pracy, polegającej na kolekcjonowaniu danych.

— Obaj mężczyźni ruszyli w duszny żar tropikalnego popołudnia. Mimo potwornego upału napięcie wokół rosło; krajowcy biegali między

był bardzo daleko od składania ofiar Bogom ludu Baali.

— Jak wygląda takie składanie ofiar? — zainteresował się Scoyt.

— To bardzo dawny zwyczaj. Nie dla białych.

— Z tańcami, śpiewami?

— Tak, na początku.

— A później?

Znow nie odpowiedziała, tylko schyliła głowę i ciemna fala drobno splecionych włosów opadała na delikatne ramiona i subtelny łuk pleców. O'Hara ledwie powstrzymał się, żeby ich nie odgarnąć; czuł, jak pula wiał mu w skroniach. Otarił pot z czoła.

— Często odbywają się takie ceremonie? — badał dalej Scoyt.

— Nie — dziewczyna usiłowała sobie przypomnieć. — Chyba... w tym roku dwa lub trzy razy.

Scoyt założył jej kask, uruchomił baterie i wsunął w otwór kasetę synchronizującą.

— Spróbuj przypomnieć sobie kiedy to było.

— Zaraz... na pewno trzeciego dnia stycznia, potem chyba dziesiątego czy jedenastego kwietnia, no i w maju. Dokładnie piętego dnia wieczorem. Wszyscy dorosli członkowie szczezu idą do lasu, pozostają dzieci i starcy.

Lecz Scoyt już nie słuchał, tylko wywoływał dane z komputera. Po chwili wydał triumfalny krzyk i odczytał.

— Dwa cyklony, Daisy i Betty, i tajfun Cleopatra. Z tego zbieżność dwóch zupełnie niezła. Co ty na to?

— Więc ten mój przyjaciel, zresztą stał się on wkrótce przyjacielem wielu osób, a nawet osobistości, które przedtem raczyły zwykle nie zauważać jego istnienia, tak więc Lamour obliczył swoją całkę. Wartość entropii, a raczej wartość jej spadku wyszła monstrualna, nieprawdopodobnie wielka. Było jasne, że w rozumowaniu tkwi błąd, lub że... w otoczeniu musi równoległe zachodzić ogromny wzrost entropii, aby zachowana była zgodność z podstawowymi prawami termodynamiki. A wzrost entropii — to ujednocnienie, usrednienie. Jeśli w głębi ziemi istniały naprężenia, powinno nastąpić ich gwałtowane wyrównanie, jeśli w atmosferze były różnice, napięcie, to wedle hipotezy ładunek miał przepływać w postaci piorunu. To samo przy różnicy ciśnienia między dwoma obszarami, która powinna być niwelowana huraganem lub tylko wiatrem, w zależności od gradientu wielkości fizycznej i od mocy impulsu emocjonalnego. Stąd burze i wiatry wiosenne, kiedy to wszystko, co żywe dostaje gorączki rozmnażania, stąd też straszliwe tajfuny i cyklony w obszarach tropikalnych, bo ludzie są tu szaleni, a życie zwariowane w porównaniu z zimną północą.

O'Hara gadał urywanymi zdaniem jak nakręcony, zupełnie jakby wypływał z siebie ten najkrótszy w życiu wykład. W nerwowym podnieceniu zaciskał wielkie, spoczone pięści. Pragnął wyrzucić stąd tę drobną dziewczynę, i to jak najprędzej; tylko jeszcze chciał raz spojrzeć na jej smukłe plecy i wiotką talię.

— Jaka to piękna hipoteza — zawolała z podziwem, patrząc zdumiona na O'Hare — i jaka naciągana! Przecież...

— Ależ oczywiście! — jednym szarpnięciem zerwał jej kask z głowy. — Wiem, że są jeszcze tysiące innych czynników!

Lecz gniew zgasł w nim natychmiast, gdy ujrzał jej zalekione oczy i skłoną postać. Poczuł się paskudnie, jakby zabił noworodka.

— Zimno tutaj, sir. Czy ja... spałam?

— Nie, to jest... tak, przez chwilę.

— Przepraszam!

To był eksperyment, pomiar — tłumaczył niegrzecznie. Czuł, że dłużej nie znieśie widoku tej dziewczyny, a raczej kobiety, podlotka czy wampa — wszystko jedno. Chciał wybiec, uciec, lecz wtedy ona podszła i dotknęła go. Zwyczajnie dotknęła, idąc za głosem naturalnego, pierwotnego odruchu. Zobaczył wokół czerwień i już nie czuł nic — tylko jej mokrą, rozgrzaną twarz, twarde piersi, jędrny brzuch i biodra. Czas zatrzymał się i pędził jednocześnie w obłądnym rytmie osuwającego się świata, a gorąca rozkosz rozlewała się po trzewiach jak stopiony ołów.

Poczuł słony smak krwi. Dopiero drugie uderzenie dotarło do jego świadomości. Zwalnił się ciężko na ziemię, między zębami zagrzętał piach. Czyjaś twarda dłoń przewróciła go na plecy, zobaczył czerwoną, wściekłą twarz i żółte ślepią Scoyta. — Coś ty narobił, skurwysynie!

O'Hara podniósł się na łokciu. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak Komendant i kilku krajowców opuszcza chatę; pozostał sam ze Scoytem, który usiadł ciężko i złapał się za głowę. Powoli wracali do równowagi.

Powietrze było gęste od strasznego, dusznego gorąca. Ubrania oblepły dokładnie ciała obu mężczyzn. Na zewnątrz drżące wrzaski krajowców przybierały na sile.

— Odprawiają taniec wojenny. Trzeba uciekać — Scoyt mówił z trudem, po raz pierwszy jąkał się.

— A aparaty? — O'Hara dźwignął się z trudem i bezskutecznie usiłował doprowadzić ubranie do porządku.

— Jaki ty jesteś głupi — wycedził Scoyt, a jego żółte oczy zwięzły się do szpaku.

Wybiegli w ciężki żar popołudnia. W szoferce nie było czym oddychać, a fotele parzyły niby rozgrzany piec. Silnik prychnął parę razy i zgasł. Scoyt zaklął i spróbował ponownie — tym razem zapalił i zawył na najwyższych obrotach, lecz wóz zarucił i zakopał się w piachu. Wszystkie detki były przedziurawione.

O'Hara poczuł ucisk strachu na krtani. Rzucił się ciężko w siad za biegającym Scoytem. Wkrótce dotarli do podmokłej dżungli, gdzie spadli w głębokie błoto między korzeniami mangrowców, ostre kolce boleśnie ranili skórę, a tysiące moskitów cisnęły się do ust i oczu. Lecz nawet tam doganiały ich wrzaski rozwścieczonych tubylców. Już po chwili zdali sobie sprawę z beznadziejności sytuacji; nie mieli żadnych szans.

Wtedy dżungla zamilkła. Zwierzęta jakby straciły głos i wpełzły w najgłębsze zakamarki swoich kryjówek. W złowrogiej ciszy nawet krajowcy zaprzestali nawoływania.

Nagle uderzył huragan. Rozszalał się od razu całą mocą, jakby chciał natychmiast wyładować długo gromadzoną wściekłość. Dżungla krzyknęła strasznie jak rozdzierany i miądzony potwór i poddała się. Wielkie drzewa padły z łoskotem, a mangrowce legły od razu niby trawa pod kosą. Powietrze wypełniły strzępy lian, liście i grudy ziemi; martwe ptaki przypomniały wirujące strzępy rozdmuchanego pie-rza.

O'Hara, który jako jedyny jakimś cudem ocalał z pogromu, czasami wspomina te wydarzenia jak nierealny, zły sen, choć musi przyznać, że przez całe swoje spokojne życie nie doznał tylu wrażeń, co w ciągu owych kilku szalonych dni.

Natomiast teoria, jak to często bywa, nie została nigdy ani całkowicie obalona, ani dowidziona ponad wszelką wątpliwość; po prostu zastąpiono ją tnną, lepszą i nowocześniejszą. Co nie znaczy, że ostateczna, a tym bardziej prawdziwa.

ANDRZEJ ZIMNIAK

Tchnienie szaleństwa

chatami, a na głównym placu pośrodku wioski zebrał się już czarny, rozwrzeszczany tłum. Graze obu drużyn, z naszej osady i sąsiedniej, blisko położonej wioski, rozgrzewali się już niotając na siebie obelgi, popychając się lub nawet tocząc krótkie bójk. Straszliwy harmider zaglusał nawet odwieczne glosy dżungli.

Rozpoczął się mecz. Ogólnie gra polegała na waleniu małej piłeczki wielką pałką w taki sposób, aby kaucezkuwa kulka spadała na pole przeciwnika. Zarówno graze, jak i kibice darli się ile sił w płucach, wymachiwali rękami, tańczyli, niektórzy wpadali w ekstazę. Coraz częściej wybuchaly bójk lub większe awantury. O'Hara i Scoyt woleli wycofać się z awantury, krajowcy byli bowiem coraz bardziej nieobliczalni i niebezpieczni. Widmo szaleństwa unosiło się nad rozjuszonym tłumem.

Tej nocy obydwa mężczyźni nie zasnęli oka. Czuwali, łowiąc niecierpliwie odgłosy z zewnątrz. To jeden, to drugi podnosił nagle głowę, aby lepiej ocenić jakieś słabe, ledwie uchwytnie dźwięki. Gdy wreszcie uciuchy chrapliwie nawoływania krajowców, którzy nie spieszyl się do swoich chat, zeszpad dobiegalo tylko granie milionów cykad. I nic ponadto.

Mysł O'Hary błądził wciąż wokół tego samego tematu. Tak, teraz właśnie, jeszcze tej nocy wszystko powinno się wyjaśnić. Może nie będzie to rozwiązanie ostateczne, ale przynajmniej bardzo istotna przesłanka. A wszystko zaczęło się tak niedawno, zaledwie kilka lat temu, kiedy Lemour wziął się do obliczania entropii informacji i emocji. O'Hara pamiętał, jak łysy niby wygolone kołano, lecz za to brodaty Lemour przychodził do niego i grzmiał: no, stary, mam problem akurat na nasze możliwości! Jaka jest różnica w entropii między tomem encyklopedii i książką, w której hasła i lityry tego tomu zostały wydrukowane chaotycznie? Albo jak zmienia się entropia człowieka przeżywającego silną emocję? He? To przecież proste — bierziesz całkę...

Nie było to proste, ale w końcu Lemour ułożył równania i rozwiązał je. Uznano wtedy, że jest nieszkodliwym wariatem lub w najlepszym razie szarlatanem.

Wspomnienia O'Hary przerwał gwałtowny podmuch wiatru, który z furją uderzył w ażurowe ściany chaty. Obaj mężczyźni, jak na komendę, zeskoczyli na ziemię i wybiegli w ciemność. Po niebie pędziły niskie, wleńsiaste chmury, a poma rozbudzonych krzyków dżungla sięła się pod nagłymi ciösami wichury.

Oto dowód! — Scoyt usiłował przekrzyknąć szum huraganu.

Powiedzmy, że połowa dowodu — O'Hara był nieco ostrożniejszy, lecz jego oblicze promieniało.

Nazajutrz obydwa mężczyźni wzięli się od rana do pracy; nie zauwżyli nawet, że Baloo przysła dopiero koło południa. Była naga, a włosy miała zaplecone w misterne warkoczyki.

— Dlaczego nie ubrała się? — spytał szorstko O'Hara. Dziewczyna spuściła oczy.

— Przynajmniej... pożegnać się.

— Co?

— Wczoraj urodziło się białe dziecko. To znak. — Czego?

— Znak do składania ofiar Bogom. Ja będę... dawała ofiary. Nie mogą potem wam służyć.

— Dlaczego?

Nie odpowiedziała, schyliła tylko jeszcze bardziej głowę. O'Hara spoglądał na jej kształtne piersi i wysokie sklepienie bioder i myślał

1

Spojrzenie znad szachownicy

Uwolnić Isaurę!

W maju wzięłam sobie odrobinę zaległego urlopu i ten urlop zaczął się niestety źle. Oto zwiły przeglad sytuacji na pierwsze dni miesiąca.

Śnieg napadł na ogródek działkowy i to, co nie wymarło zimą, mogą diabli wziąć wiosną. Polska przegrała z Belgią. Parę osób wyraziło niezadowolony wywołane pomieszczeniem w tej rubryce tekstem „Nowy, wspaniały smach” zaś Isaura nadal przebywa w niewoli. Starczy? Mam wrażenie, że starczy.

2.

Co do śniegu to najgorsze, że nijkak nie można znaleźć winnych. W barbarzyńskich czasach powszechnej ciemności jedno z drugim plemie strugało sobie drewnianego bożka, którego czyniło odpowiedzialnym za porode. Gdy pogoda była nie taka, jak potraza pertraktowano z bożkiem do dobroci, potem zaś stosowano sankcje, aż do uwiecznienia w lochu włącznie. I to pomagało — zawsze, choć nie zawsze w odpowiednio szybkim czasie.

Postęp niesie jednak pewne niedogodności i choć takiego bożka dsioby się może znaleźć, brakuje odpowiednio głębokich wilgotnych i zarobaczywionych łochów, oraz mocy przerobowych niezbędnych do ich wykonania. Pogoda będzie więc taka, jaka będzie i nie na to nie można poradzić.

3.

Z całą pewnością znajdziemy natomiast winnych przegranej z Belgią i postawimy ich pod przegierz: z serialu „Niewolnica Isaura” wiemy wreszcie jak to wygląda. Osobiście jednak nie radziłbym się przesadnie śpieszyć.

Owa chwalebna wstrząsliwość pozwoli nam dowiedzieć się przy okazji, jakie to kolejne świństwo zrobił Isaurze Leoncio, co powinno być wysoce inspirowane zarówno dla sportowych komentatorów, jak i dla kibiców.

4.

Teraz, nieprawdaz, chciałbym złożyć ważkie oświadczenia, obowiązujące w czasie przeszłym, przysłym oraz wszystkich czasach równoległych, jeżeli takie istnieją, rzecz jasna.

Niemal wyłącznie dowcipkuje na temat ludzi, których lubię i podejrzewam o poczucie humoru. Kiedyś wyzwałem na tych łamach Franciszka Kaszaka z „Przegladu Tygodniowego” (od ostatnich, albo na mecz szachowy — było to tak dawno, że już dobrze nie pamiętam) i no wymianie przeczności popadliśmy nawet w pewna zażyłość. A to dlatego iż K. — choć przy mnie młodzik, mimo że nie gotowas — jest człowiekiem pogodnym, co nas zbliżyło.

Oczywiście zdarzają się ludzie wyprani z poczucia humoru (z tych nie śmiałym żartować, nie wypada bowiem nagrywać się z ulomności człowieka), bądź uwrążliwieni na inny rodzaj humoru niż ten, który mnie śmieszy. Ale i na to jest rada, wystarczy przesłać do niżej podpisanego zwiły bilecik takiej mniej więcej treści:

„Ty P-synu! Posiadam odmiennę (nie posiadam wcale — niepotrzebne skreślić) poczucie humoru, dlatego też od P-skinij się ode mnie, dobrze?”

I ja się natychmiast odpkne, autor bileciku stanie się dla mnie fizykalnym niebytem, czarna dziura — w której, jak

wiadomo, zapada się czas i przestrzeń — w wesołym mrugającym wszystkich gwiazdami kosmosie.

5.

Isaurę zostawiłem sobie na deser, ponieważ z Isaura sprawa nieprosta. Po obejrzeniu n-tego odcinka, w którym głęboko upokorzona Isaura zmywa podłogę w kuchni pewna pani magister zaprzęgnęła cowrotu do lubyh czasów niewolnictwa, twierdząc namolnie, że ona też zmywa, przodem jednak była w oracy, musi ugotować obiad, a co gorsza zrobić zakupy.

Inna pani magister, skadnad zurnalistka, opanowała do perfekcji zesa dośrodkowego którym Isaura czaruje swoich wielbicieli. Pani magister obrasta w sławę, redakcji wyczerpała do jednak bokiem, wszyscy przychodzą bowiem oglądać zesa, zamiast pracować. O amopoczuciu naczelnego już nie wspomnie — co by nie zrobił wyjdzie albo na brutalną, albo na cztery litery.

6.

Trzeba też otwarcie powiedzieć, iż obojętność wobec Isaury Isaury poświęca dowodnie, jak dalece liderzy byle od „Solidarności” oderwali się od życia. Gdyby organizowali swoje kontrmanifestacje pod jakie chwytliwym hasłem „UWOLNIĆ ISAURE”, mieliby zapewne trochę lepszą frekwencję, stawiając nadto siły porządkowe w kłopotliwej sytuacji. No bo i te siły, i tamte siły, okazałyby się zapewne podobnego zdania w tej materii, zaś na najmniejsze nawet kroki w stronę porozumienia — choćby wykonywane z ociąganiem i niechętnie — nigdy nie jest za późno.

JERZY P.

2

Lewym okiem

Znikający druk

Od paru lat wszystko co nowe w zakresie techniki bierze początek w Japonii. Wszystkie wynajdują Japończycy, a potem to co wynajdują zmniejszają, poprawiają i znów zmniejszają. Najlepszym rozwiązaniem mnóstwa problemów światowych byłoby, gdyby zmniejszowali samych ludzi do rozmiarów szpulki. Ale by się zrobiło dużo na świecie!

Ostatnio wynaleźli znikający druk. Kupujesz sobie w kiosku gazetę, czytasz, kładziesz na stole — nazajutrz leży tam czysty papier, który na nowo można zapelnąć wiadomościami o wojnach, katastrofach i zbrodniach. A co się dzieje z poprzednią farbą drukarską? Wyparowuje, a to znaczy, że nad głowami ludzi poza wszystkimi smrodami i truciznami niedługo już krążyć będą obłoki tustych, smolistych wyzlewów, ciężkich od treści, które kazano im prezentować choćby przez dwadzieścia cztery godziny na szpaltach milionów gazet całego świata. O ile dojdzie do eksploatacji tego wynalazku. Bo może w Japonii dojdzie, ale na przykład u nas? A po co? Co byśmy robili z odparowanym papierem? Żaden skup surowców wtórnych nigdy jeszcze się nie udał, żaden się nie opłacił, czemuż miałby nastąpić wyjątek dla zregenerowanego papieru gazetowego? Szkoda facy!

Ten wynalazek ma zresztą swoje niedogodności. Już nie byłoby można sięgnąć po wczoro-

rajsza czy sprzed tygodnia gazetę, żeby sprawdzić jakąś wiadomość. Biura wycinków prasowych musiałyby się szybko zlikwidować i nikt nigdy nie dowiedziałby się o tym, co gdzieś tam po świecie o nim pisano. A może to dobrze? Tak jak w radio: leci wiadomość, po której już za parę dni można nadać coś odwrotnego i nikt nigdy sprzeczności nie przyspili, bo albo zapomniał, albo nie ma z czym porównać. Rady prasowi nie potrzebowałyby odpowiadać na zaczepki, bo w serwisie prasowym, rzucanym im na biurka, półowa byłaby już sterta czystego papieru, a druga połowa w różnych stadiach pływienia, blaknięcia i zanikania zadruku. A jak robić przeglądy prasy? A co z egzemplarzami dla bibliotek, instytucji, dla abonentów zagranicznych, dla maniaków zbieraczy, dla tych, co chcą i mogą czytać dzienniki po południu lub wieczorem?

Pewnie to nieważne. Pewnie to prawda, że każda wiadomość jest i tak towarem łatwo się psującym i żadna lodówka nie zachowa w niej witaminy nowości, aktualności, niespodzianki. Ale przy takim założeniu nie bierzmy pod uwagę sporej wycieczki szkolnej, która dziś stanowi połowę widowni i przyjmijmy, że każdy z tych widzów zapłacił po osiemdziesiąt złotych za bilet. Czy sądzisz, że wynagrodzenie aktora za jeden spektakl wynosi za ledwie 160 zł? Jest znacznie wyższe. Doliczyć do tego najrozsądniejszą kosztą związane z wystawieniem takiego spektaklu... zresztą nie musimy tego robić. Wiadomo, że dopłata do każdego biletu w łódzkich teatrach przekracza siedemset zł.

Spróbuj zastanowić się, dlaczego minister Zygulski w porozumieniu z ministrem Nieckarzem sprawiła ci dzisiejszego wieczora taki prezent?

— Mecenat nie jest wcale wynalazkiem naszych czasów. Sztuka zawsze wymagała dotacji. Od rzymskiego cesarza, od feudalnego księcia, od burżuazji-filantropa. Dziś jest to mecenat państwa, a więc całego społeczeństwa. Nie nowego nie mówisz, Ameryki nie odkrywasz!

— Nic nowego nie mówię... rzeczywiście — mruknął Jacek A. — Wiesz zapewne, że był pożar w Teatrze Narodowym w Warszawie? Słyszałeś zapewne, że zespoły artystyczne wielu teatrów w całej Polsce postanowiły dochód z niektórych przedstawień przeznaczyć na odbudowę Narodowego? Spróbuj teraz wydedukować, co za dochód mają deficytowe teatry, skąd wezmą pieniądze na odbudowę Narodowego? Moga tylko powiększyć swój deficyt, czyli wziąć te pieniądze z kieszeni ministra kultury, aby przelać je znów na konto ministra kultury...

— Jesteś cyniczny! To jednak piękne odruchy zawodowej solidarności ludzi sceny, to patriotyczna troska o kulturę narodową, a ty sprowadzasz wszystko do brudnych pieniędzy.

— Te brudne pieniądze wypłaci zresztą PZU, przeciw gmach teatru musiał być ubezpieczony. Stajemy zatem wobec dwóch pytań: Skąd teatry wezmą pieniądze na odbudowę Narodowego i co się stanie z tymi pieniędzmi, skoro remont teatru sfinansuje PZU. A między tymi pytaniami — oczywiście, nie przeczę — między tymi pytaniami mieści się cały bezmiar ludzkiej szlachetności i poświęcenia...

Pomówmy o czym innym. Czy oglądasz w telewizji dzieło pod tytułem „Niewolnica Isaura”? Nie? To szkoda... Mógłbyś zauważyć — na przykład — że jest to film niesłychanie tani. Kilkuosobowa obsada, nie licząc grupki statystów, trzy czy cztery wnętrza, trochę kostiumów. Myśle, że produkcja odbywała się w tempie jeden odcinek dziennie. I rekordy powodzenia! A co ma z tego widz? Dowiaduje się, że zdarza się iż dwoje ludzi się kocha, a porządek społeczny stoi na drodze ich szczęścia. Co uważniejsi z widzów mogą jeszcze do-

Ekonomista i informatyka Jacka A. spotkałem w foyer Teatru Powszechnego. Była przerwa w spektaklu „Kartoteka” Różewicza. Nie ukrywałem zdziwienia:

— Twój chłodny, nawykły do ekonomicznych spekulacji umysł jest w stanie także bez zgrzytów percepcować poezję i dra-

mat? A może chodzisz także na koncerty i wystawy sztuk plastycznych? Niebywale...

— Oczywiście. Mówiłem ci już wiele razy, że ekonomia a także teoria informacji są naukami na tyle uniwersalnymi, że mogą objaśnić swym zasięgiem nawet dzieła sztuki i sformułować i w tej dziedzinie prawa. Ponadto jestem człowiekiem i nic co ludzkie — dalej znasz?

— Nie jest ci obce — dokończyłem z czymś w rodzaju skruchy w głosie. A jakież to prawa może sformułować ekonomista i informatyk tutaj, w teatralnej palarni?

— Może nie od razu prawa, zacznijmy od spostrzeżeń, konstatacji, z których można wyciągnąć wcale interesujące wnioski. Ot, choćby sprawa frekwencji. Czy zadałeś sobie trud policzenia widzów i aktorów w czasie dzisiejszego spektaklu? Zwróć uwagę na fakt, że sztuka Różewicza wymaga dużej obsady. Przy dzisiejszej frekwencji przypada około dwa i pół widza na jednego aktora. Jeśli doliczyć pracowników technicznych, bileterki itp itd., sądzę, że dojdziemy do proporcji: dwóch widzów na jednego pracownika teatru. Dla jasności nie bierzmy pod uwagę sporej wycieczki szkolnej, która dziś stanowi połowę widowni i przyjmijmy, że każdy z tych widzów zapłacił po osiemdziesiąt złotych za bilet. Czy sądzisz, że wynagrodzenie aktora za jeden spektakl wynosi za ledwie 160 zł? Jest znacznie wyższe. Doliczyć do tego najrozsądniejszą kosztą związane z wystawieniem takiego spektaklu... zresztą nie musimy tego robić. Wiadomo, że dopłata do każdego biletu w łódzkich teatrach przekracza siedemset zł.

Spróbuj zastanowić się, dlaczego minister Zygulski w porozumieniu z ministrem Nieckarzem sprawiła ci dzisiejszego wieczora taki prezent?

— Mecenat nie jest wcale wynalazkiem naszych czasów. Sztuka zawsze wymagała dotacji. Od rzymskiego cesarza, od feudalnego księcia, od burżuazji-filantropa. Dziś jest to mecenat państwa, a więc całego społeczeństwa. Nie nowego nie mówisz, Ameryki nie odkrywasz!

— Nic nowego nie mówię... rzeczywiście — mruknął Jacek A. — Wiesz zapewne, że był pożar w Teatrze Narodowym w Warszawie? Słyszałeś zapewne, że zespoły artystyczne wielu teatrów w całej Polsce postanowiły dochód z niektórych przedstawień przeznaczyć na odbudowę Narodowego? Spróbuj teraz wydedukować, co za dochód mają deficytowe teatry, skąd wezmą pieniądze na odbudowę Narodowego? Moga tylko powiększyć swój deficyt, czyli wziąć te pieniądze z kieszeni ministra kultury, aby przelać je znów na konto ministra kultury...

— Jesteś cyniczny! To jednak piękne odruchy zawodowej solidarności ludzi sceny, to patriotyczna troska o kulturę narodową, a ty sprowadzasz wszystko do brudnych pieniędzy.

— Te brudne pieniądze wypłaci zresztą PZU, przeciw gmach teatru musiał być ubezpieczony. Stajemy zatem wobec dwóch pytań: Skąd teatry wezmą pieniądze na odbudowę Narodowego i co się stanie z tymi pieniędzmi, skoro remont teatru sfinansuje PZU. A między tymi pytaniami — oczywiście, nie przeczę — między tymi pytaniami mieści się cały bezmiar ludzkiej szlachetności i poświęcenia...

Pomówmy o czym innym. Czy oglądasz w telewizji dzieło pod tytułem „Niewolnica Isaura”? Nie? To szkoda... Mógłbyś zauważyć — na przykład — że jest to film niesłychanie tani. Kilkuosobowa obsada, nie licząc grupki statystów, trzy czy cztery wnętrza, trochę kostiumów. Myśle, że produkcja odbywała się w tempie jeden odcinek dziennie. I rekordy powodzenia! A co ma z tego widz? Dowiaduje się, że zdarza się iż dwoje ludzi się kocha, a porządek społeczny stoi na drodze ich szczęścia. Co uważniejsi z widzów mogą jeszcze do-

strzec, że dziesiętnastowieczni feudalowie skrzyżnicy chodzili w fatalnie skrojonych ubraniach...

Tak, mój drogi, kicz jest najtańszym gatunkiem sztuki i najbardziej opłacalnym!

Czy teraz rozumiesz, dlaczego Zygulski i Nieckarz szczerze dopłacają siedemset złotych do tego, żebyś ty poszedł do Powszechnego na „Kartotekę”? Nie, rozumiesz? Obydwa ministrowie mają cichą nadzieję, że wybierzesz się do teatru właśnie we wtorek i darujesz sobie kolejny odcinek „Isaury”. Skoro jednak i tak nie oglądasz tego serialu to znaczy, że już poprzednicy Zygulskiego i Nieckarza dobrze zainwestowali pieniądze na dopłaty do biletów teatralnych...

— Po co w takim razie ministrowie zakupili „Isaurę”?

— Mówisz jak dziecko. „Niewolnica Isaura” zakupił prezes Wojciechowski. Zupełnie inny resort...

Nie wiem, dokąd zaprowadziłyby nas dyskusja w foyer. Dzwonek wezwał nas na widowisko...

ANDRZEJ KAROL

4

Sport

Albo euforia, albo rozpacz

Naszych sprawozdawców telewizyjnych cechuje wyjątkowa skrajność. Relacjonują imprezy sportowe albo w pełnej euforii, albo w skrajnej rozpacz. Żadnego dystansu, racjonalizmu, rzeczowej oceny sytuacji. Ledwie Polacy pokonali 4 do 1 nie najlepiej grających Greków, a już komentatorzy wznosili okrzyki o bliskim wyjeździe do Meksyku. Hala! Panowie! Jeszcze trzeba wygrać z wcale nie tak słabymi Albańczykami i bardzo niebezpiecznymi Belgią. Potem będzie można wznosić bezlitosne okrzyki zachwyty. Na razie — odnośnie — Antoni Piechniczek coś zrozumiał. Przyznał się, że w meczu z Belgią popełnił błąd i że ustawił piłkarzy. Wprawdzie po miesiącu krążyły plotki, że to zawińł nowy prezes PZPN, który odrzucił ambitne finansowe żądania naszych wspaniałych piłkarzy, a ci na złość nowemu prezesowi przegrali mecz z Belgią, ale ja tam plotkom nie wierzę.

Na telewizyjnym ekranie widzę znakomitą jazdę polskiej ekipy kolarskiej w Wyścigu Pokoju i widzę uśmiechniętą twarz Ryszarda Szurkowskiego. Pewnie, że piłka można to nie kolarstwo, ale Ryszard Szurkowski w znacznie krótszym czasie zrobił drużynę kolarską niż Antoni Piechniczek drużynę piłkarską. I wcale nie narzekał, że nie ma kto jeździć na rowerze. Pojechali ci sami, którzy przedtem jeździli i ciągle kogoś pilnowali zamiast atakować i wygrywać. Okazuje się, że trener, kiedy jest dobrym fachowcem i sam jeździć potra-

fi, to i innych do aktywnej jazdy potrafi zacięć. Wie, jak rozgrywać taktycznie i strategicznie poszczególne etapy.

Zastanawiam się natomiast poważnie nad tym, czy w telewizji pracują fachowcy i jakiej są oni klasy. Czesi znakomicie pokazywali przebieg wyścigu na swoich trasach. Niemal od startu towarzyszyliśmy kolarzom, mogliśmy oglądać poszczególne walki na lotnych premiach. Bardzo ładnie pokazane były radzieckie etapy. No, ale gdy Wyścig Pokoju wjechał na tereny Polski zaczęło się. Już na pierwszym etapie był to pokaz nieudolności, bałaganu, indolencji.

Mamy, oczywiście, kryzys. Jesteśmy biedni i nie stać nas na motocyklistę i helikopter. Nie możemy więc towarzyszyć z kamerą całemu wyścigowi. Trudno. Ale stać nas przynajmniej na podawanie widcom rzetelnej informacji. Stać nas na to, aby sprawozdawca wiedział, kto jedzie i którego, czy to czółowka jedzie po raz drugi tą samą ulicą Częstochowy, czy też to już druga grupa. Sprawozdawców jest trzech, a widzowie siedzą przed telewizorami i nie nie wiedzą. Dużo lepiej robi to radio. Więc może sprawozdawcy telewizyjni słuchaliby przynajmniej radia i opowiadali swoimi słownymi telewizjom to, co mówią ich koleży z radia? Dobrze, że kolarze opuścili już Polskę. NRD stać będzie chyba na motocyklistę i helikopter?

Kibic laknie zwycięstw. Są mu one potrzebne dla dobrego samopoczucia. Dzięki temu widzi i wie, że przynajmniej w sporcie nie dajemy się innym i potrafimy zwyciężać nawet potężniejszych od nas. To go cieszy. Pozwala uwierzyć, że jak zechcemy, jak się zaważmiemy to i z innymi kłopotami sobie poradzimy. Mamy zdolnych ludzi. I kolarze znakomicie podtrzymują to dobre samopoczucie kibica. Lech Piasecki ma już sympatię kibiców zaskarbiająca za to co zrobił do tej pory. Niech zrobi więcej, ale jeśli nawet to mu się nie uda, to i tak pokazał razem z innymi kolarzami, że Ryszard Szurkowski prowadzi zespół dobrą drogą. Nie popadajmy tylko w euforię. Wiele ma jeszcze do zrobienia. Kolarzom po prostu nie wolno spocząć na laurach.

Tym bardziej na laurach nie wolno spocząć piłkarzom. Wysokie zwycięstwo nad nie najlepiej dysponowanymi tego dnia Grekami pokazało jedynie to, że drużyna można lepiej ustawić, wykorzystać predyspozycje poszczególnych piłkarzy i zachęcić ich do ataku. Ale nie jest to jeszcze ta drużyna, która jest nam potrzebna. I nieprawdą jest, że nie ma młodych zdolnych piłkarzy w ligowych zespołach. Trzeba tylko chcieć ich poszukać i nie bać się tego. Przykładem jest choćby Przybyś.

Antoni Piechniczek ciągle jednak z uporem korzysta z ograniczonych zasobów, którzy na dodatek nie są w najlepszej formie. Mam na myśli Andrzeja Buncola. Zrobił się tak wygodny, że nie potrafi strzelać z pierwszej piłki, tylko musi ją sobie ustawić, przymerzyć się, a przez ten czas bramkarz i obrona też się ustawi, przymerzy i gola nie ma. Z taką szybkością Andrzej Buncol powinien grać w trzeciej lidze, tam by go może jeszcze czegoś nauczyli. Ale trener reprezentacji jakby tego nie widział.

Sprawozdawcy telewizyjni na szczęście już nie wdychali do Kazimierza Deyna i Andrzeja Szarmacha, tylko — też niepotrzebnie — oczyma wyobraźni widzieli już naszych dzielnych chłopców w Meksyku. Ale — powtarzam — po drodze jest przeszkoda w Tiranie, a we wrześniu decydujący mecz, jeśli weźmie się tę pierwszą przeszkodę. A łatwo raczej nie będzie. Bo drużyna nadal nie ma. Antoni Piechniczek buduje ją już trzeci rok i nie idzie mu to lekko.

BOGDA MADEJ

Chodził powoli, licząc płyty trotuaru, dla zabicia czasu, dość oczek w drucianej siatce ogrodzenia, spoglądał co jakiś czas na zegarek, ale niezbyt często, gdyż wiedział, że niczego się tu nie uda przyspieszyć i na nic z całą pewnością liczyć nie ma prawa, gdyż informacja pastora miała sens tak ogólny i niekonkretny, że nie zdziwiłby się, gdyby była wykretem i kłamstwem.

Tego, co się zdarzyło, nie oczekiwał w najmniejszych nawet smach: gdy stał na rogu uliczki odbiegającej w bok poczuł, że ktoś dotyka go w ramię.

— Halo, czy może to Dag Larsson? — usłyszał w swoim języku.

— Stucham? — popatrzył ze zdziwieniem na mężczyznę w średnim wieku, który uśmiechał się jak znajomy, lecz równocześnie taksował go przenikliwymi oczyma.

— Telefonowałem do hotelu, potem do Helli. Znam jej numer z tego samego źródła, co pan, dał mi go Hamsun i powiedział, że ona skontaktuje mnie z panem.

— Tak? — Dag przestał się dziwić. Nastawił czujnie uszy.

— Pan się martwi zapewne jak przestać materiały do Malmo, czy tak?

— Niestety, nie wiem jak...

— Proszę się nie kłopotać, Dag. Ja to panu załatwię.

— A skąd wiedział pan, gdzie mnie szukać?

— spytał, wciąż jeszcze nieufny.

— Oczywiście od Helli. To nie zdrada z jej strony — dodał śpiesznie tamten, widząc grymas niechęci na wargach Larssona. — To był jej obowiązek.

— Obowiązek? — Dag przez chwilę nie rozumiał. Dopiero potem przestał się dziwić. Wszystkiemu.

— Chodźmy do niej — zaproponował mężczyzna. — Mam do obgadania kilka spraw, Dag. Przepraszam, czy możemy mówić sobie po imieniu?

Jasne! Dag czuł, że odkrywa się przed nim jakaś nowa, nieznana jeszcze karta, której był ciekaw w sposób niemal chłopięcy: czyżby oznaczało to, że oni i on, że...

— Mów mi zatem Olaf — mężczyzna wyciągnął rękę. — Olaf Nilsson. Okey?

— Okey, Olaf. Idziemy.

Jakby zelzało w powietrzu

Jakby zelzało w powietrzu, burza jeszcze trwała, ale już widać było zapowiedzi, że zaczyna się przesilenie. Prowadzono rozmowy ze stocznią. Wiedzieli, że są twardzi, że słowa w zderzeniu ze sobą, jak krzemienie iskry tak, że można było poczuć w nozdrzach zapach tych sinawych błysków. Ale były rozmowy. Nie znał dokładnie ich przebiegu, miał jednak nadzieję, że w końcu dojdzie do porozumienia. Nie było też tajemnic — czego można było i należało się spodziewać — że tak długo będą trwały te nieustępliwe dyskusje — wciąż na skraju gniewu, lekku, stanowczych żądań i niemal upadku — jak z wahlweij trampoliny na beton, dopóki nie wydarzy się to najważniejsze: zmiana tam, w Warszawie.

Nikt tego nie mówił wprost, w każdym razie nikt, z kim udało mu się rozmawiać, ale oni, w wyrazie spokojnych oczu, w beznadziejnym opuszczeniu rąk, w pochyleniu pleców jak pod nadmiernym ciężarem, wyrażali bez słowa swe oczekiwania. Aby można było uwierzyć w to, że ciężkie drzwi zamknęły się wreszcie i że nikt już nie będzie mógł nigdy powrócić do tamtej odciętej nimi przestrzeni, do owej pustki wypełnionej atmosferą wewnątrz dawno nie przewietrzanych, bez światła i pełnych starego kurzu, musiał odejść odzwiertni, którym już nie ufano, iż nie otworzą ukradkiem znowu owych drzwi, a ktoś inny powinien przejąć te klucze i złamać je, rozkruszyć na metaliczne drobiny na oczach wszystkich widzów.

Impas więc trwał. A miasto czuwało w pozornym bezruchu. Jechały rano do stoczni samochody z chlebem, mlekiem, żywnością dla tysięcy ludzi. W fabrykach, jeśli nawet trwała praca — radzili wciąż komisje strajkowe, biegali łącznicy do bram stoczni, na budynkach łopotały sztandary, przeżyły się transparenty, łopoczące pod wrywym wiatrem. Tramwaje jeździły normalnie, ale wielkimi literami widocznymi z dala napisów roznosząc wieść wszem i wobec, że tramwajarze solidaryzują się z Waryńskimi. Wszyscy wiedzieli, że dlatego działa komunikacja, są otwarte sklepy i funkcjonują wodociągi, bo stoczniowcy żądali tego, wbrew chęciom tamtych załóg, w trosce o miasto, które musiało żyć, a były tam przecież w domach także ich własne rodziny, przyjaciele, znajomi i obcy, ale przecież z krwi i kości ludzie. Nie chciał brać na siebie Waryński ciężaru takiej decyzji, która by zmieniła Szczecin w martwe gruzowisko i węzeł rozpacz. Była w tym i mądrość taka, że gdyby zamarył czy wzwezili się nadmiernie życiodajne arterie wówczas nastąpiłby zawał, za który winą ludność obarczyłaby stocznię.

W nocy otrzymał Bogusław elektryzującą wiadomość w deszczach dalekopisów. Ktoś, po informacjach agencyjnych dodał kilka słów, powtórzonych dwa razy. Uwaga! jutro biuro, uwaga jutro biuro. To wystarczyło, więcej nie musiał napisać. Oznaczało to bowiem w sposób jednoznaczny, że nadziedz moment przesilenia.

Bogusław wziął kąpiel. Gdy wycierał się ręcznikiem, Elżbieta postawiła śniadanie. Wypił tyk herbaty, zjadł jajecznicę. Potem zapytał: — I co, zostaniesz tutaj?

Wzruszyła ramionami bez słowa. Była zmęczona zdenerwowana, robiła, co było niezbędne, ale talerze wyjadały jej z rąk, zaś usta drgały nieustannie, jakby w powstrzymanym szlochu.

Wczoraj ktoś nieznanemu zatelefonował do domu i powiadomił ją, że należy ewakuować się, choćby do dalszych części, gdyż może być niebezpiecznie, trzeba się liczyć z tym, że będą chodzić po domach...



Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Kto, na Boga? — zapytała zdenerwowana.

— Przecież to jasne. Mają gotowe listy. — Jesteście na nich — usłyszała beznamiętny głos.

Rzuciła słuchawkę. Usiadła bezsilnie w kątku i płakała.

— Nie pójdę nigdzie — szeptała. — Czy coś komuś zrobiłam, żeby miała się bać? A jeśli to ma się stać, niech stanie się tu, w moim domu...

Na pytanie niech odparła więc: — Nigdzie nie pójdę. Nie pójdę, słyszysz?

Bała się o nią. Nie mógł jednak Elżbieta przekonać ani zmusić. I pomyślał podobnie jak ona, że przecież nic złego nie uczynili, więc czego się bać?

A poza tym, nie ufał nikomu i nikomu. Cokolwiek się zatem wydarzy, będzie to ich własny los i tylko z ich własnej woli. Elżbiety i jej męża, nie zaś dlatego, że pod wpływem strachu będą biec donikąd, w dal, ku czerni, co jest niewiadomą lub nieodwracalne. Wtedy zaś poptoch pomnoży strach, niechaj więc przyjdą tu, pod drzwi, jeśli mają odwagę...

Cały czas od chwili, gdy mu to powiedziała lkając przez telefon, był jak ścięty; pracował machinalnie, czytał nie rozumiejąc, wciąż słyszał jej głos.

Dzisiaj była już spokojniejsza, chociaż wyczerpana do granic wytrzymałości. Nigdy nie była silna ani oschła i nieczuła, jej łagodność i ufnosć zostały poddane wielkiej próbie. Czy zdoła to wytrzymać? — martwił się, obserwując jej ruchy, jej twarz, zmęczona ręce.

— Jak długo to będzie trwało? — zapytał cicho. — Powiedz, niech chociaż to wiem, Boguniu...

Spojrzał zdziwiony, przez kilka sekund zbierając myśli.

— Tego nikt przecież ci nie powie — odparł. — To niewiadoma. Ale mam nadzieję, że już, że może wkrótce...

— I czegoś narobili? — powiedziała gniewnie. — Trzeba było do tego doprowadzić?

— Doprowadzić? — powtórzył. Zaskoczyła go, gdyż i jemu przychodziło na myśl w godzinach ciszy nocnej, że zbyt wiele tu zbiegów okoliczności i roli przypadku, aby nie krył się za tym jakiś chłodny zamiar, lecz czy? Losu? Człowieka? Ale pojął po chwili, że Elżbieta nie to ma na myśli, lecz oschłość władz, sprawę cen, grożące ludziom zabiedzenie, piętrzące się kłopoty, które jak wszyscy, wiązała z brudną polityką.

Zamilkli, mężowi zamykały się oczy, Elżbieta to widziała.

— Położ się wreszcie — powiedziała z pretensją trochę nielegitymną, gdyż to właśnie jej słowa zatrzymywały go przy stole. I wtedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę. Kobięty głos zapytał o numer aparatu.

— Proszę chwilę zaczekać, łączę z Rygą.

Zdziwił się i przez moment nie pojmował. Dlaczego z Rygą? Dopiero potem uświadomił sobie, że to może być tylko Ilmar.

Ilmara poznał przed kilku laty, obaj kierowali gazetami, zaś Szczecin współpracował z Rygą, to było powodem, że i redakcje miały z sobą kontakty. Był raz w tamtym mieście, raz gościł go serdecznie w domu, gdyż zaprzyjaźnili się, normalnie, jak to ludzie. Podziwiał jego rozmach, energię i nieustanną ciekawość życia. Ilmar był ranny podczas wojny z Niemcami, ułtykał na lewą nogę, ale to w niczym nie przeszkadzało mu w ruchliwym sposobie bycia, w bystrym dostrzeganiu elementów świata. Gdy Bogusław był u niego, nad Dangawą, pokazał mu Ilmar każdy zakątek miasta, każdy niemal kamień, który był śladem wieków życia jego kraju — i marmurowe płyty nagrobne wielkich poetów tego małego narodu i smukłe wieże oraz spadające dachy starego miasta, nowoczesne wnętrza sal teatralnych, muzeów i czystą, lecz czynnym laboratorium znaną fabrykę radiową, a także zielony kształtny jak misieński półmisek stadion, gdzie co roku dziesiąt tysięcy śpiewaków w ludowych strojach lotewskich brało udział w święcie pieśni, tańca i radości, wraz z milionem rodaków — na trybunach, przy radiu i telewizorze.

Poznał również jego żonę, Marę. Umiała jeszcze powiedzieć z trudem kilka polskich słów;

była córką Rosjanina, lecz babka jej to Polka, od której jako berbec nauczyla się tego języka. Tego języka, czy swego? Nie, jej mowa rodzinna to ruszczyzna po ojcu, a po mężu lotewski. Była jak piękny kwiat o niespotykane delikatnych płatkach, które powstały z troskliwych zabiegów ogrodnika, cierpliwie krzyżującego co roku odmianę, przez długie lata, przez wieki. Los, jakiego była wytworem i częścią, to stan podobieństwa i różnic zarazem, tak jak natury dwu rzek są podobne, gdy płyną tak samo ku morzu, a całkiem inne, ponieważ bieg ich mija krajobrazy, drzewka, miasta i wsie, których gdzie indziej nie ma. Ale gdy Bogusław patrzył na panoramę Rygi z drugiego brzegu Dangawy, w najogólniejszym zarysie sylwetek dachów, barw murów podobna była do pejzażu Szczecina, widzianego od strony jezajdu warszawskiego; taka sama rzeka, podobny miejski horyzont i zieleni nadbrzeżnych drzew.

Myslał, pogrążony w zdumieniu, że oto daleki świat objawił się w tym domu głosem obcego człowieka, gdyż nikt z bliskich nie zdołał wejrzeć tu, ani zapytać... A jednak łączyła do nas? Może więc zdjęto blokadę? Sprawdzić to — postanowił.

Byli razem z Ilmarem w podryskiej miejscowości, zjechali z szosy w bok, niedaleko od drogi. Szeroka aleja dla pieszych prowadziła prosto ku porośniętej trawą ogromnemu placowi. Na skraju i w głębi stały rzędy, powstałe z brutalnych wspomnień, jakby nie wykonczone, ciete w kamieniu ostrymi uderzeniami duża, które wydobywały tylko ludzki kształt i ogólny zarys cierpienia, buntu, męki, zgonu, tak aby nie można było ich zapomnieć. Ostre płaszczyzny, szorstki materiał kamienny, płaskowiec albo beton, tego już nie pamiętał. Człowiek, który stoi, człowiek upadający, który po raz ostatni chce się podźwignąć na rękach i odpycha od ziemi, człowiek który leży bezwładnie, twarzą w trawie. Henryk pamiętał ogólne wrażenie, ów widok rozległej przestrzeni wśród wysokich drzew i te postacie wciąż w ruchu, lecz zastygłe na zawsze.

Chodzili tu w milczeniu. Ślady baraków obozowych utrwalane zarysem prostokątów ułożonych z cegieł, a między nimi dawne ścieżki wydeptane stopami więźniów w drewniakach, łączące te baraki i plac apelowy. Była tu cisza, rozległość, a te kamienne postacie, wysokości sosen były jak krzyk zastygły; pamiętały o nas — i tego miejsca w sposób zamierzony przez twórcę, bezgłówna swoją obecnością i myślami, które budziły w każdym, kto tu przyszedł. Stał wśród zieleni, na szerokim placu, między tymi monumentalnymi, zagubionymi — i chyba dlatego wydawało się Bogusławowi, że znalazł się jakby w świątyni, nieco dziwnej, szeroko otwartej, bez ścian i bez dachu — tworzyły je tylko ściany sosnowych pni odsuniętych, lecz bliskich i przepływające mu nad głową chmury białozare, klebaste, z przebiłykami błękitu.

Zdawało mu się, że słyszy jakiś nieznaną głos, rytmiczne stukanie, jakby gdzieś w oddali drwał ścinał drzewo lub dzieciół bił dziobem w korę sosny. Poszli w stronę betonowego bunkra — symbolicznej budowli ukrytej na wpół w ziemi; jej płaski dach tworzył z oddali linię długą i twardą, a prześwit między nimi a niskimi ścianami nie trwożył i nie zamykał tej wolnej przestrzeni, lecz podkreślał się i przyciągał wzrok.

Wewnątrz rozległe wnętrza połączone tą przerwą między ścianą a płaskim sufitem wprost ze światem zieleni. Stuk rytmiczny, lecz jakby żywy, wychodził właśnie stąd, spomiędzy ścian pokrytych nazwiskami ludzi: kolorowe kwiaty, szarość, światło i ów pulsujący rytm...

Spojrzał zdziwiony na Ilmara.

To bije serce narodu — odparł mu szepem. I wówczas Bogusław zrozumiał, że od pierwszego momentu to właśnie pulsujące stukanie przypominało mu w sposób nienazwany głos bijącego serca, który słyszał kiedyś z nagraniem i wzmocniony w jakimś filmie lub może audycji. Słuchał też w milczeniu. Ta przestrzeń, zastygłe momenty i ów odgłos żywego wióła tego myśli do ludzi, którzy tu zgineli, uwznioślała ją i naprowadzała z nadzieją ku czemuś dobremu, Henryk był pod wrażeniem, jakiego nie

oczekiwał. Wieczny ogień, wieczna pamięć — myślał — wieczne bicie serca. Ten obóz śmierci był dowodem, że hitlerowcy zgotowali jeden los wszystkim tym, którzy byli odmiennych przekonań, innej wiary, innej rasy i z innego narodu. Polakom i Lotyszom, Rosjanom i Ukraińcom, Żydom i Włochom czy Białorusinom bo wszyscy tu umierali w tym obozie tak jak gineli w Majdanku, Auschwitz czy Birkenau, w Gross-Rosen lub Mauthausen.

Myslał wtedy: wspólny los, podobne życie i jednaką śmierć...

W słuchawce lekki, natrętny brzek, jakiegoś trzaski.

— Halo, to ty, Bogusław? — usłyszał głos Ilmara.

— To ja, Ilmar — odparł i czekał.

— Zyjeś?

— Żyje.

— A twoi zdrowi?

— Wszystko w porządku, Ilmar.

— I będzie w porządku?

— Co? — nie rozumiał w pierwszej chwili.

— Tak, wszystko będzie w porządku.

— Mara całuje Elżbietę! I ja ciebie całuję!

— Dziękuję.

— Bądź zdrow. I trzymaj się! Stale myślimy o was.

— Będzie dobrze, Ilmar, musi być dobrze! — powiedział i zaraz potem znów trzaski, brzęczenia, nagła cisza. Odezwiała się telefonistka.

— Czy skończył pan rozmowę?

— Tak — odparł. — To znaczy nie wiem, chyba tak...

Coś takiego — myślał wzruszony. — Z tak daleka, on Ilmar, a tu nikt, nikogo tu nie obchodzi...

Ale wiedział przecież, że te trudności, które Ilmar musiał pokonać, aby go połączyć z nim, są niczym w porównaniu z lekkiem i niemożliwością, której poddawać się musiała matka, na pewno trwoniła miotająca się w swym wrocławskim pokoiku, Zosia w Bydgoszczy...

To przecież nie ich wina — myślał — one są równie zdenerwowane i przestraszone. A to, że nikt ze znajomych tu w Szczecinie? To nie znaczy: sami może oczekują na jakiś głos, na życiowe pytanie, lub są przecież zajęci tak jak ja. Kto mógłby do nas zadzwonić? — myślał. A gdy wyliczył sobie imiona i nazwiska, jedno po drugim, dostrzegł, że byli to ludzie z tego samego kręgu, tylko literaci, dziennikarze, politycy, ale nikogo zwykłego, z kim przychodziłyby się daleko tylko, że do prostu go lubił, za to, że jest, a nie że jest kimś. Przeważnie były funkcją stosunków towarzyskich, spraw zawodowych, które łączyła a mogą i dzielić: nie zaś ciepłem ludzkich zbliżeń, jedności, która tylko cieszy, albo może boleć i trwożyć. Nikt więc trwoży się o nas — pomyślał z gorzka i poczuł się samotny.

Gdy obudził się, był znowu rzęski i wrócił do śpi. Nie spodziewał się dotąd, że krótki sen może tak odświeżyć. Przez te dni spał niewiele, żył w ciągłym napięciu, czarował energię z ukrytych zasobów ciała, jak z akumulatora. Na jak długo wystarczy? — pomyślał, ale nie zastanawiał się nad tym. Czas już iść do drukarni, tam czekała na niego:

— Trzymaj się, Elzuniu — powiedział w drzwiach.

— Przyjdiesz znowu?

— Jak tylko będę mógł.

— Nie zostawiaj mnie samej — porosila cicho.

— Zatelefonuj. I przyjdź. Przyjdź na pewno! — obiecał zatrzasnąc drzwi. Co miał jej powiedzieć? Że nie wie, co jutro będzie? Zbiegł po schodach, w dół.

Za biurkiem, w redakcyjnym boksie w drukarni siedli jakby tylko odszedł by na moment i tamty dalekopisów jeszcze nie zdążyły ostygnać, jeszcze drżały, rzucone tu w pośpiechu przez niego.

Przejrzał gazetę; to co wczoraj wydawało się całkownie oczywiste, dzisiaj już było trochę inne, bardziej płynne, nieco odmienne. Ale nie już nie można zmienić. Jeszcze brzmiała mu w uszach twarde słowa premiera. A dzisiaj zamiasł „wszystkich niezbędnych środków” rozpoczęto rozmowy ze stocznią. W Warszawie zbiera się Biuro, coś wijs w powietrzu, możliwość rozładowania napięć, zapowiedź zmiany i ulgi, której powód był może niepewny co do ciężaru i formy, ale przecież do przewidzenia i tylko jeden, jedyny.

Gniew tych ludzi z ulicy był ślepy i niszczyący. Lecz czy stoczniowcy — myślał — tego chcieli. Jeśli byli wśród nich tacy, którzy pchali gniewem i odczuwaniem bezsilny, się właśnie pragnęli pokazać, uderzenie pięścią czy brukowcem w szyby, reszta, większość była tam, u Waryńskiego, pilnowali maszyn, budynków, porządku. Zrobili właśnie strażę, nikt nie mógł pić wódki, pierwszego pijanego wyrzucili za brame, nikomu nie przepuścili. To, że mieli sprawę z rządem i władzą traktowali przecież poważnie, chociaż sposób, który stosowali, był szokiem, stał w sprzeczności z wyobrażeniami, do których Bogusław przywykł jak do prostych schematów, łatwo objaśnianych życie, które biec winno wedle ustalonych reguł. A reguły już nie było, przestały obowiązywać. I trudno teraz zważyć czyja w tym większa wina lub zasługa, tamtych z Waryńskiego, czy...

Czytał swój komentarz z pierwszej strony nie mogąc już w nim zmienić ani słowa... tak mało myślała o konsekwencjach swych nierozważnych działań ta grupa ludzi, która porzucając pracę w stoczniach wyszła na ulice. Dala bowiem metem społecznym, wicherzyliście i wrogom okazji do poddania rabunków i gwałtów...